tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 30 (1281)
22-28.07.2024
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Edward Redliński
– kronikarz wielkiej zmiany

Radosław Piesiewicz
– prezes z bilbordu

Krzysztof Pilawski
Konfederacja jak AfD

J.D. Vance
– pupil Trumpa idzie po swoje

Między Lublinem a Londynem

Celem PKWN była granica na Odrze i odbudowa Polski

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
30 >
9 771509 311409

eprasa.pl bbea4abf0d

WARSAW Rocks '24

PIĄTEK 26 LIPCA
PGE NARODOWY

SCORPIONS

EUROPE

LEM

OMEGA TESTAMENTUM

BILETY:
TICKETMASTER.PL
LIVENATION.PL

WP CGM STRÖER RMF

LIVE NATION

Jerzy Domański

Hipokryzja pod ramię z bezczelnością

Polaków wiele różni. Nawet stosunek do złodziejstwa. Miliony naszych rodaków to wyznawcy poglądu, który tak opisuje polityków PiS: kradną, ale się dzielą. I takie podejście do złodziei zeszło na dół. Do struktur lokalnych. Dobry, a przynajmniej akceptowalny jest ten, od którego coś skapnie do stojących niżej w hierarchii. Godzenie się na takie postawy rujnuje elementarne zasady współżycia społecznego. Dwie kadencje rządów Kaczyńskiego spustoszyły relacje między ludźmi. I rozchybotały fundamenty instytucji państwa. Białe zrobiło się czarne i odwrotnie. Takie pojęcia jak prawo i sprawiedliwość zostały ośmieszone, odarte z powagi.

Nic dziwnego, że przyszedł czas na rozliczenie winnych dewastacji państwa. Oczywiste jest wśród wyborców nowej władzy oczekiwanie na skuteczne działania ze strony tych, którzy mają postawić to, co leży, na nogi. I rozliczyć winnych zrobienia z prawa pośmiewiska.

Łatwo się to pisze. Ale w realnym życiu zrobienie tak gigantycznych porządków jest bardzo trudne. Na pograniczu możliwości. Raz, że rząd jest koalicyjny i w związku z tym wiele stanowisk przypadło partiom z parytetu, a nie kompetencji. A dwa, stara władza miała osiem lat na to, by się okopać i pozabezpieczać swoje interesy partyjne i towarzyskie. W strukturach państwa ciągle są tysiące nominatów Zjednoczonej Prawicy. W większości mają dwie lewe rączki do roboty. I lewe interesy do zrobienia, póki nie zostaną wyrzuceni.

Politycznych reprezentantów tej armii maruderów widzimy w stacjach telewizyjnych i innych mediach. Od dziesiątków lat nie było w Polsce aż tylu ludzi, którzy zawsze kłamią. Nawet powieka im nie zadrga, gdy robią to, czego ich uczyli fachowcy od manipulacji. Pamiętamy z nagrań zrobionych przez Mraza, że nawet gdy cię złapią za rękę, mów, że to nie jest twoja ręka. Afera z aresztowaniem byłego wiceministra Romanowskiego jest potwierdzeniem determinacji, z jaką te środowiska opóźniają rozliczenie. Przez lata miotali pod adresem instytucji europejskich najgorsze i najgłupsze zarzuty. A gdy im się zrobiło gorąco, schowali się pod europejskim parasolem. Hipokryzja wraz z bezczelnością to znak firmowy polityków Suwerennej Polski. Wiedzą, że choć machina rozliczeń dopiero wystartowała, zarzuty wobec nich są bardzo poważne. A na horyzoncie, który szybko się przybliża, widać już więzienne kraty. Winni muszą za nie trafić, by politycy zapamiętali tę nauczkę na długo.

Chcących wspomóc PRZEGLĄD proszę o wpłaty na konto:
Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BĄKOWSKI

eprasa.pl bbea4abf0d

W NUMERZE

HISTORIA
8 **Między Lublinem a Londynem**
Celem PKWN była odbudowa Polski

KRAJ
13 **Prezes Piesiewicz – złoty i „skromny"**
Za złoty medal dwa pokoje
16 **Pogłębiać dno i trzymać się koryta**
Przekop mierzei za każdą cenę
18 **Ostatnie podrygi rektora hejtera**
Sopiński – wilczek w szkole więzienników
40 **Przystanek Pokrzywna**
Tour de Konstytucja i rozmowy o równości
42 **Biskupia Górka – miejskie laboratorium**
Od zapomnienia do raju Airbnb?

SYLWETKI
22 **Edward Redliński: nasze transformejszen**

ZAGRANICA
26 **Król bidoków**
Trump i J.D. Vance duetem doskonałym?
30 **To nie turystyka, to inwazja**
Mieszkańcy chcą odzyskać miasta

EURO 2024
34 **Moja jedenastka turnieju**
Wygrała właściwa drużyna

OPINIE
36 **Krzysztof Pilawski**
AfD to taka niemiecka Konfederacja
37 **Grażyna Zawadka**
Sąd nie jest twierdzą (cd.)

KULTURA
46 **Nowy faszyzm nie ma już twarzy mężczyzny**
– rozmowa z Markiem Cousinsem
49 **Qulturalia**
66 **Zjednoczeni w Sztuce – United in Art**

NAUKA
50 **Złoto na nowotwory**

OBSERWACJE
52 **Przerwana cisza**
10. edycja Ślimakowych Rytmów
54 **Pikantny temat**
Papryka na każdy gust
56 **Błoto wciąga**
O bagnach i rozlewiskach

ZWIERZĘTA
60 **Ptakodeweloperka**
Strategie budowlane i obronne

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Hipokryzja pod ramię z bezczelnością
21 **Jan Widacki**
Nie bronię Romanowskiego, bronię ABW
25 **Andrzej Romanowski**
W Europie zaraza
39 **Roman Kurkiewicz**
Jak trwoga, to do praw człowieka
45 **Tomasz Jastrun**
Teoria chaosu
59 **Wojciech Kuczok**
Do lasu (odc. 4)
Chyża Ala od zadręczyn

30
ZAGRANICA

TO NIE TURYSTYKA, TO INWAZJA
Mieszkańcy chcą odzyskać miasta

52
OBSERWACJE

PRZERWANA CISZA
10. edycja Ślimakowych Rytmów

60
ZWIERZĘTA

PTAKODEWELOPERKA
Strategie budowlane i obronne

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl bbea4abf0d

Przegrany Wołyń

Polska niczego nie przegrała. Nawet włodarze niczego nie przegrali, ponieważ o nic w tej materii nie walczyli. Ofiary ludobójstwa czy zbrodni wojennych są od lat politykom potrzebne wyłącznie do bicia piany w aktach bezgranicznej nienawiści do Rosji, utrwalania mitu założycielskiego III RP, podkreślania własnego kombatanctwa i antykomunizmu. Do tego nadaje się Smoleńsk, powojenne podziemie oraz powstanie warszawskie, politycznie wymierzone w ZSRR. Ale rzeź na Wołyniu do niczego politycznie im nie pasuje, podobnie jak przedwojenna „operacja polska" NKWD, której ofiarami byli w dużej mierze polscy robotnicy, komuniści i socjaliści mieszkający w Rosji radzieckiej.

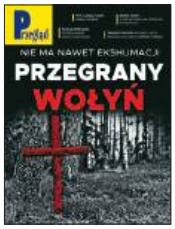

Polscy politycy wykorzystują ofiary cynicznie, wybiórczo, wyłącznie do celów politycznych i zaspokajania swoich najniższych instynktów. Widzą różnice w ważności tych ofiar tam, gdzie naród ich nie widzi. *Michał Błaszczak*

•

Pozwalamy banderowcom pluć nam w twarz nawet teraz, nawet w Polsce. W 2016 r. na uroczystości składania wieńca przez Poroszenkę pod pomnikiem ofiar zbrodni wołyńskiej towarzysząca mu pilotka i deputowana Sawczenko, skazana w Rosji za udział w zamordowaniu dziennikarzy, „całkiem przypadkiem" pojawiła się w czerwonej koszuli i czarnych spodniach, pasujących kolorami do banderowskiej flagi. Że też nie miał kto na to zdecydowanie zareagować!

Krzysztof Grabczak

•

Wołyń nie jest przegrany. Przegrani są nasi pseudopolitycy, którzy nie umieją walczyć o prawdę. Umieją tylko załatwiać sprawy w obcym interesie. *Amon Amon Mony*

Zatrzymać gigantów

Może się mylę, ale uważam, że mandatariusz powinien być zależny od wyborców w okręgu, w którym otrzymał mandat. W przeciwnym razie będzie uzależniony od silnych lobbystów. Episkopat czy ambasador Stanów Zjednoczonych faktycznie mają większy wpływ na sejmitów niż naród polski.

Józef Brzozowski

Dziwne przypadki Glapińskiego

Główne zarzuty pod adresem Glapińskiego to oczywiście prowadzenie polityki monetarnej banku centralnego, która wywołała w kraju inflację. NBP prowadził bezpośredni skup obligacji rządowych, ale taką politykę prowadziły wszystkie banki centralne, by ich kraje nie wpadły w głęboką recesję. Ta polityka wzięta jest z podręcznika Keynesa. Obłudą jest zatem stawianie prezesa banku przed Trybunał Stanu, jeśli obecna koalicja prowadzi identyczną politykę (na razie wyrażaną wysokim deficytem budżetowym). Myślałem, że jako tygodnik opinii jesteście bardziej rzetelni w wyjaśnianiu świata niż tabloidalne informacje o zakupie działki w Zalesiu Dolnym, Górnym czy innym. *Artur Kozłowski*

Złe wiadomości

I to się nazywa „praworządna Rzeczpospolita"! Ryba psuje się od głowy. To sądy powinny czuwać nad praworządnością, a one czuwają nad tym, aby nie urazić instytucji państwa i osób wywindowanych wysoko. Etos sędziego nie istnieje. Etyka to abstrakcja. Można wykuć do egzaminu istotę pojęć etyka, moralność, ale nie można nauczyć się moralnego postępowania. Zapomniane Kantowskie „niebo gwiaździste nade mną, prawo moralne we mnie". *Marek Karczewski*

ZDJĘCIE TYGODNIA

Wyraz poparcia dla Donalda Trumpa podczas konwencji Partii Republikańskiej w Milwaukee w stanie Wisconsin, 16-17 lipca 2024 r.

FOT. REUTERS/ FORUM

eprasa.pl bbea4abf0d

Stopa bezrobocia w czerwcu wyniosła **4,9%**. W urzędach pracy zarejestrowano 763,7 tys. bezrobotnych.

•

Prawie 100 redakcji brało pieniądze za reklamy z Funduszu Sprawiedliwości, choć ten miał pomagać ofiarom przestępstw, a nie mediom. Najwięcej **Wirtualna Polska** (7,1 mln zł), **Time SA**, właściciel m.in. **Radia Eska** (5,17 mln zł), **„Do Rzeczy"** (4,1 mln zł), **„Sieci"** (3,68 mln zł), **RMF** (3,6 mln zł) i **Polsat** (3,1 mln zł) **(„Press")**.

•

Czy **Robert Lewandowski**, kapitan reprezentacji Polski, kupił tytuł licencjata i magistra łódzkiej Wyższej Szkoły Edukacji Zdrowotnej i Nauk Społecznych? Dr Barbara Mrozińska poinformowała, że Lewandowski nie zdawał u niej żadnego egzaminu, a w karcie ocen ma jej zaliczenia z dwóch przedmiotów.

•

W Sejmie jest **projekt zakazu hodowli zwierząt na futra**. Do 2029 r. wszystkie fermy, których jest obecnie ok. 360, muszą być zamknięte za odszkodowaniem. Co roku ginie w Polsce ok. 5 mln norek, 20 tys. lisów i 4 tys. jenotów. Branża futerkowa, z potentatem Szczepanem Wójcikiem na czele, będzie walczyć o swoje wszelkimi metodami.

•

68,7 tys. osób zostało w 2023 r. **poszkodowanych w wypadkach przy pracy. 168 zginęło.**

•

Od 17 czerwca obowiązuje przepis mówiący, że kierowcy taksówek muszą mieć polskie prawo jazdy i przebywać na terenie Polski minimum pół roku. Branża przejazdów na aplikację jest zdominowana przez cudzoziemców, którzy stanowią 63% ogółu kierowców. W Warszawie 80% tych kierowców nie ma polskiego prawa jazdy i stanowi nieustanne zagrożenie dla wszystkich uczestników ruchu.

•

Prokuratura Okręgowa w Zamościu przedstawiła zarzuty politykowi PiS, byłemu eurodeputowanemu **Ryszardowi Czarneckiemu**. Zarzuca mu wyłudzenie z Parlamentu Europejskiego ponad 200 tys. euro za delegacje do Brukseli i Strasburga. Przestępstwa zostały popełnione w latach 2009-2013. Czarneckiemu grozi do 10 lat pozbawienia wolności.

•

Na wniosek Karoliny Bućko, nowej przewodniczącej Państwowej Komisji ds. Pedofilii, marszałek Szymon Hołownia wystąpił o odwołanie dwóch członkiń komisji: Hanny Elżanowskiej, wskazanej przez PiS, i związanej z Solidarną/Suwerenną Polską Barbary Chrobak.

•

Około 1 tys. rachmistrzów liczyło **bociany w Polsce** w ramach Międzynarodowego Spisu Bociana Białego, który odbywa się co 10 lat. W latach 2004-2005 na świecie żyło 230 tys. par bocianów białych, z czego 52,5 tys. gniazdowało w Polsce. W tym roku jest ich mniej. A ile, dowiemy się jesienią.

•

Od 2014 r. wydano w Polsce **321 tys. wiz studenckich dla chętnych z 200 krajów**, ale studia skończyło tylko 118 tys. osób.

•

W 2023 r. pozwolenie na pracę w Polsce otrzymało **45 tys. obywateli Indii**, **35 tys. Nepalczyków i ponad 29 tys. Filipińczyków.**

PRZEBŁYSKI

Jak Olszewski rozumie małostkowość

Nie wiemy, co ma w duszy Michał Olszewski z „Gazety Wyborczej". I nawet nie chcemy wiedzieć. Bo mimo naszej legendarnej tolerancyjności trudno o wyrozumiałość dla autora tekstu „Polska krzywda, ukraińskie ofiary". Pisze on: „Wypominanie ukraińskiemu prezydentowi, że w momencie, kiedy pod gruzami zniszczonych budynków giną jego współobywatele, nie dostarcza ukojenia wiecznie znękanej duszy polskiej, jest wyjątkową małostkowością. Polska krzywda znowu okazuje się najważniejsza". Dla Olszewskiego bezskuteczne prośby o ekshumację 120 tys. Polaków zamordowanych w najokropniejszy sposób to małostkowość. Bo wojna! Czy Olszewski jest aż tak naiwny? Ekshumacje – oczywisty obowiązek państwa ukraińskiego – są celowo blokowane przez tych Ukraińców, którzy świadomie fałszują prawdę o ludobójstwie.

Niewypał Trotyla

Od dnia, gdy Cezary Gmyz znalazł trotyl na wraku samolotu, który rozwalił się pod Smoleńskiem, minęło sporo czasu. Ale przez osiem lat dojna zmiana nie zdołała potwierdzić śmiałej koncepcji Gmyza. Z wielkiego bum została mu tylko ksywka Trotyl. I skłonność do fake newsów. Za rządów PiS Gmyz i Gociek korzystali

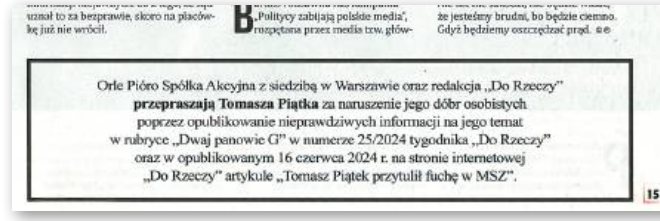

uznał to za bezprawie, skoro na placówkę już nie wrócił.

„Politycy zabijają polskie media", rozgłaszana przez media tzw. głów-

że jesteśmy brudni, bo będzie ciemno. Gdyż będziemy oszczędzać prąd.

Orle Pióro Spółka Akcyjna z siedzibą w Warszawie oraz redakcja „Do Rzeczy" **przepraszają Tomasza Piątka** za naruszenie jego dóbr osobistych poprzez opublikowanie nieprawdziwych informacji na jego temat w rubryce „Dwaj panowie G" w numerze 25/2024 tygodnika „Do Rzeczy" oraz w opublikowanym 16 czerwca 2024 r. na stronie internetowej „Do Rzeczy" artykule „Tomasz Piątek przytulił fuchę w MSZ".

15

z wycieków od zaplecza władzy. Znacie te śledztwa dziennikarskie, czyli kumpel tu i kumpel tam. Panom G. granie dobrze poinformowanych skończyło się po wyborach. Zaczęły się schody. W „Do Rzeczy" (nr 25) dwaj panowie G. piszą, że „Tomasz Piątek przytulił fuchę w resorcie dyplomacji", a trzy tygodnie później redakcja „przeprasza Tomasza Piątka za naruszenie jego dóbr osobistych poprzez opublikowanie nieprawdziwych informacji". Ten, kto zrobił z Gmyza korespondenta TVP w Niemczech, też powinien przeprosić.

Po Balcie nie ma czego zbierać

Marek Balt długo liczył, że Czarzasty pozwoli mu na kolejną kadencję w Parlamencie Europejskim. Chodził więc po mediach i plótł partyjne komunały. Setki występów i nic. Prawie zerowa popularność. Są ludzie, których nie da się zapamiętać, bo nie potrafią wyjść poza oklepane frazesy. Balt jest w tym nie do podrobienia. Gdy zaś chodzi o własne interesy, to Balt nie jest gapą. Potrafił o nie zadbać. W 2012 r. został liderem śląskiego SLD. Jaki jest efekt jego rządów? Klęska kadrowa i programowa.

W rozmowie z Elizą Olczyk („Rzeczpospolita") Balt ogłosił, że lewica jest dzisiaj na etapie śmierci klinicznej. Z winy Czarzastego, Biedronia i Zandberga. Swojej odpowiedzialności, a był przecież wiceprzewodniczącym SLD, jakoś nie widzi.

FOT. YOUTUBE.PL (2)

eprasa.pl bbea4abf0d

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jak Polacy pojmują słowo Europejczyk?

PROF. MAREK BELKA,
poseł do Parlamentu Europejskiego IX kadencji, były premier RP

To pojmowanie jest zazwyczaj dość płytkie, ogranicza się bowiem do kogoś mieszkającego w Europie. Myślę, że mało kto w Polsce łączy je z odpowiednim zestawem wartości, które dla Europejczyka są albo powinny być charakterystyczne.

DR HAB. MICHAŁ WENZEL,
socjolog, profesor Uniwersytetu SWPS

Słowo Europejczyk jest niejednoznaczne i można je rozumieć na kilka sposobów. Pierwszy zakłada, że wszyscy jesteśmy Europejczykami, bo Europa składa się z narodów, więc to, kim jesteśmy jako Polacy, oznacza *ipso facto*, że jesteśmy Europejczykami, ponieważ stanowimy część Europy. Drugie rozumienie to pewien zbiór wspólnych wartości, tożsamość europejska, która łączy mieszkańców Starego Kontynentu. W ujęciu trzecim bycie Europejczykiem to jest to, co promują instytucje europejskie.

Są różne grupy społeczne, w tym różne elektoraty. Lewica np. rozumie Europę jako projekt oświeceniowy, a prawica jako element dziedzictwa chrześcijańskiego. To wcale się nie wyklucza i pozwala różnym grupom społecznym identyfikować się z Europą na swoich warunkach. Stąd tak wysokie poparcie dla Unii Europejskiej.

ZIEMOWIT SZCZEREK,
pisarz, dziennikarz, tłumacz

Polacy z jednej strony myślą o sobie jako o Europejczykach, z drugiej strony jednak nie do końca. Można to przyrównać do mieszkańców Nowej Huty, którzy niby mieszkają w Krakowie, ale gdy jadą do miasta, mówią, że jadą do Krakowa. My podobnie jako Polacy czujemy się Europejczykami. Płyty winylowe miały stronę A i B. Ta pierwsza to główna Europa, która tak naprawdę stworzyła tę cywilizację i bez której trudno sobie kontynent wyobrazić. To Europa na zachodzie, na południu, na południowym zachodzie. Na stronie B jesteśmy my. Oczywiście też jako część Europy, ale można sobie wyobrazić jej rozwój bez naszego udziału. Jesteśmy takimi późnymi wnukami. Wkręciliśmy się w to, co już było, i dołożyliśmy do tego swoje. Być może dlatego pozostaje w nas pewien kompleks, że jesteśmy trochę zbyt późni.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl bbea4abf0d

Między Lublinem a Londynem

Manifest ogłoszony 22 lipca 1944 r. wyraźnie wskazywał, że celem PKWN jest odbudowa Polski, a nie włączenie jej do sowieckiego imperium

Paweł Siergiejczyk

Lublin trzykrotnie był miejscem kluczowych wydarzeń w polskiej historii. Po raz pierwszy w 1569 r., gdy na sejmie lubelskim doszło do zawarcia ścisłej unii polsko-litewskiej, przeforsowanej przez króla Zygmunta Augusta. Po raz drugi w listopadzie 1918 r., gdy w Lublinie utworzono Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej – pierwszy gabinet II Rzeczypospolitej, kierowany przez przywódcę galicyjskich socjalistów Ignacego Daszyńskiego. I wreszcie trzeci raz – w drugiej połowie 1944 r., gdy Lublin stał się pierwszą stolicą nowej Polski, odbudowanej na terenach wyzwalanych spod niemieckiej okupacji.

Wybór Lublina na siedzibę władz tej nowej Polski nie był przypadkowy. Trudno powiedzieć, czy Stalin – od którego w tamtym czasie zależały dalsze losy naszego kraju – znał tradycję unii lubelskiej i rządu Daszyńskiego, ale z całą pewnością znał geografię i wiedział, że Lublin to pierwsze duże miasto na zachód od linii Curzona, która miała być nową granicą polsko-radziecką. Warto przy okazji wspomnieć, że granicy tej nie wymyślili moskiewscy komuniści. Jej nazwa pochodzi od nazwiska brytyjskiego ministra spraw zagranicznych George'a Curzona, który w lipcu 1920 r. zaproponował linię demarkacyjną pomiędzy wojskami polskimi i bolszewickimi, biorąc za podstawę zachodnią granicę zaboru rosyjskiego po III rozbiorze Polski.

W Manifeście PKWN nie ma ani słowa o komunizmie, rewolucji czy wprowadzaniu w Polsce wzorców radzieckich. Jest za to gorąca retoryka patriotyczna, czasem wręcz endecka.

„Rząd lubelski" – takiej nazwy, chcąc podkreślić jego nieprawomocność, a pewnie i gorszość wobec „prawowitego rządu RP na wychodźstwie" czy też „rządu londyńskiego", używa się dziś w antykomunistycznej polityce historycznej. Londyn brzmi bowiem o wiele lepiej niż prowincjonalny Lublin, bardziej światowo i zachodnio. Jednak rzeczywistość historyczna była inna, to w Lublinie odradzała się prawdziwa Polska, która swoją prawomocność budowała siłą faktów dokonanych. Prawdziwa, bo obejmująca polską ziemię i zamieszkującą na niej ludność, a nie tylko bezsilną i w gruncie rzeczy tragiczną, choć bez wątpienia patriotyczną emigrację na Zachodzie.

Brytyjska geneza tej linii niewątpliwie pomogła Stalinowi w uzyskaniu jej akceptacji przez Churchilla w 1943 r. i od tego czasu było oczywiste, że przyszła Polska na wschodzie będzie się zaczynała od Bugu.

20 lipca 1944 r. tę właśnie rzekę przekroczyły wojska 1. Frontu Białoruskiego Armii Czerwonej, a wraz z nimi pierwsze jednostki 1. Armii Polskiej w ZSRR. Tego samego dnia odbyło się w Moskwie zebranie „Polaków Stalina", czyli przedstawicieli Krajowej Rady Narodowej i Związku Patriotów Polskich, oraz władz radzieckich w celu ukonstytuowania Delegatury KRN dla terenów wyzwolonych. Ostatecznie jednak z woli Stalina przyjęto nazwę Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego na wzór analogicznych tymczasowych organów władzy we Francji (pod przywództwem gen. de Gaulle'a) i we Włoszech.

Chłodna kalkulacja

„Grzechem pierworodnym" PKWN – podnoszonym dziś przy każdej okazji, zwłaszcza przez historyków IPN-owskich – były jego narodziny w Moskwie. Tam ustalono skład Komitetu, tam też napisano i wydrukowano jego Manifest, oficjalnie ogłoszony w Chełmie 22 lipca 1944 r. Daje to podstawę do prostych analogii z konfederacją targowicką z 1792 r., którą grupa polskich magnatów utworzyła w Petersburgu, a tylko formalnie ogłosiła w ukraińskiej wsi Targowica, należącej do rodu Potockich.

Różnica między targowiczanami a członkami PKWN jest jednak zasadnicza: ci pierwsi dali cesarzowej Katarzynie II pretekst do interwencji zbrojnej przeciwko Rzeczypospolitej, ci drudzy zaś nie mieli na nic wpływu, bo Armia Czerwona już od siedmiu miesięcy była na wschodnich terenach II RP (zresztą nieuznawanych już przez zachodnich aliantów za część Polski), a teraz zajmowała ziemie Polski środkowej. Czy w tej sytuacji można mówić o „lubelskiej targowicy"? I czy można zrównywać Katarzynę II ze Stalinem, skoro ta pierwsza ostatecznie zadecydowała o likwidacji państwa polskiego, ten drugi zaś – o jego odbudowie, choć w nowych granicach?

Byli zatem ludzie PKWN niewątpliwie narzędziem w ręku Stalina – tak samo, jak członkowie władz RP w Londynie byli narzędziem w ręku Churchilla. Różnica polega na tym, że ci drudzy w 1944 r. mieli już znikomy wpływ na losy Polski. Jedynie

eprasa.pl bbea4abf0d

Posiedzenie PKWN, Lublin 1944. Od lewej: dowódca 1 Armii WP gen. Zygmunt Berling, członek PKWN Andrzej Witos, przewodniczący PKWN Edward Osóbka-Morawski, przewodniczący Krajowej Rady Narodowej Bolesław Bierut, naczelny dowódca WP gen. Michał Rola-Żymierski, szef resortu kultury i sztuki PKWN Wincenty Rzymowski i szef Sztabu Głównego WP gen. Marian Spychalski.

ci pierwsi mogli zrobić cokolwiek pożytecznego dla przyszłości narodu polskiego. W ten sposób polscy komuniści i ludzie, którzy im zaufali w ramach „Polski lubelskiej", chcąc nie chcąc nawiązywali do tradycji polskiej ugody z Rosją – ugody wynikającej nie z miłości do Rosji (bo tej u nas nigdy nie było), lecz z chłodnej kalkulacji. Nawiązywali do tradycji Poniatowskich i Czartoryskich, Druckich-Lubeckich i Staszicow, Wielopolskich i Dmowskich, choć teraz, w latach 40. XX w., siłą rzeczy inny musiał być kostium ideowy i „klasowy". Z Rosją Stalina musieli się układać już inni Polacy niż z Rosją Romanowów – a jednak to także byli Polacy!

Ale żeby mogło dojść do ugody, trzeba było nie tylko ugodowców, lecz i tej drugiej strony, większej i silniejszej, a przy tym widzącej dla siebie korzyść w porozumieniu ze słabszymi. W 1944 r. Stalin taką korzyść w odbudowaniu Polski widział. Mieliśmy więc bez porównania więcej szczęścia niż Litwini, Łotysze i Estończycy, nie mówiąc o Ukraińcach czy Białorusinach. Dla nich żadnych „komitetów wyzwolenia narodowego" nie trzeba było tworzyć – ich losem miały być tylko republiki w ramach ZSRR. Jeżeli ktoś nie widzi różnicy między „Polską lubelską" a możliwą przecież „Polską Republiką Radziecką", to znaczy, że niewiele rozumie z najnowszych dziejów naszego kraju.

Manifest ogłoszony 22 lipca 1944 r. wyraźnie wskazywał, że celem PKWN jest odbudowa Polski, a nie włączenie jej do sowieckiego imperium. Można oczywiście – jak to robią dzisiejsi antykomuniści – uważać ten dokument wyłącznie za propagandowe oszustwo, którego Stalin i „jego Polacy" nigdy nie zamierzali realizować. Ale to myślenie ahistoryczne, zupełnie ignorujące społeczną i polityczną rzeczywistość ostatniego roku wojny. Nieprzypadkowo bowiem Manifest zaczynał się od słów: „Rodacy! Wybiła godzina wyzwolenia. Armia Polska obok Armii Czerwonej przekroczyła Bug. Żołnierz polski bije się na naszej ziemi ojczystej. Nad umęczoną Polską powiały znów biało-czerwone sztandary".

I dalej: „Naród polski wita żołnierza Armii Ludowej, zjednoczonego z żołnierzem Armii Polskiej w ZSRR. Wspólny jest wróg, wspólna walka i wspólne sztandary.

Zjednoczeni ku chwale ojczyzny w jednym Wojsku Polskim pod wspólnym dowództwem wszyscy żołnierze polscy pójdą obok zwycięskiej Czerwonej Armii do dalszych walk o wyzwolenie Kraju.

Pójdą poprzez Polskę całą po pomstę nad Niemcami, aż polskie sztandary nie załopocą na ulicach stolicy butnego prusactwa, na ulicach Berlina".

Wspólnota narodowa

Po pięciu latach wojny to, że polscy żołnierze pod biało-czerwonymi sztandarami walczą ze znienawidzonym okupantem, stanowiło argument, z którym żaden myślący Polak nie mógł dyskutować. Zemsta na Niemcach i chęć zdobycia Berlina również były emocjami, wokół których konsolidowała się polska wspólnota narodowa. A zdrowy rozsądek podpowiadał, że to armia Stalina zada śmiertelny cios III Rzeszy, więc popularny dziś pogląd, jakoby w 1944 r. „jedną okupację zastąpiła druga", jest kompletnie ahistoryczny.

W dalszej części Manifest PKWN przekonywał, że „Naród walczący z okupantem niemieckim o wolność i niepodległość stworzył swą reprezentację, swój podziemny parlament – Krajową Radę Narodową. Weszli do Krajowej Rady Narodowej reprezentanci stronnictw demokratycznych – ludowcy, demokraci, socjaliści, członkowie PPR i innych organizacji. Podporządkowały się Krajowej Radzie

eprasa.pl bbea4abf0d

Narodowej organizacje Polonii zagranicznej i w pierwszym rzędzie Związek Patriotów Polskich i stworzona przezeń Armia. Krajowa Rada Narodowa, powołana przez walczący naród, jest jedynym legalnym źródłem władzy w Polsce. Emigracyjny »rząd« w Londynie i jego delegatura w Kraju jest władzą samozwańczą, władzą nielegalną, opiera się na bezprawnej faszystowskiej konstytucji z kwietnia 1935 roku. »Rząd« ten hamował walkę z okupantem hitlerowskim, swą awanturniczą polityką pchał Polskę ku nowej katastrofie".

Podkreślano przy tym, że KRN i PKWN „działają na podstawie Konstytucji 17 marca 1921 roku, jedynie obowiązującej konstytucji legalnej, uchwalonej prawnie. Podstawowe założenia Konstytucji 17 marca 1921 r. obowiązywać będą aż do zwołania wybranego w głosowaniu powszechnym, bezpośrednim, równym, tajnym i stosunkowym Sejmu Ustawodawczego, który uchwali jako wyraziciel woli narodu nową konstytucję".

Cały ten prawno-historyczny wywód miał jeden cel: podważenie autorytetu rządu londyńskiego w oczach polskiego społeczeństwa. A ponieważ rząd ten składał się z ugrupowań, które przed wojną tworzyły opozycję antysanacyjną (PPS, Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Pracy i Stronnictwo Narodowe), wypomnienie im, że opierają się na sanacyjnej konstytucji kwietniowej, i uznanie przez „Polskę lubelską" demokratycznej konstytucji marcowej było zręcznym posunięciem politycznym, na które polskich komunistów nigdy dotąd nie było stać. Jak widać, Wielka Wojna Ojczyźniana prowadzona pod wodzą Stalina nauczyła dawnych KPP-owców sprawnego używania argumentów narodowych, którymi w okresie międzywojennym w zasadzie gardzili. Polscy komuniści w 1944 r. wyraźnie mieli na celu pozyskanie jak najszerszych grup społeczeństwa, zwłaszcza tych, które dotąd sympatyzowały z ruchem ludowym i socjalistycznym.

W Manifeście PKWN nie znajdziemy ani słowa o komunizmie, rewolucji czy wprowadzaniu w Polsce wzorców radzieckich. Mamy za to gorącą retorykę patriotyczną, w niektórych momentach wręcz endecką: „Chwytajcie za broń! Bijcie Niemców wszędzie, gdzie ich napotkacie! Atakujcie ich transporty, udzielajcie informacji, pomagajcie żołnierzom polskim i sowieckim! Na terenach wyzwolonych wypełniajcie karnie nakazy mobilizacyjne i śpieszcie do szeregów Wojska Polskiego, które pomści klęskę wrześniową i wraz z armiami Narodów Sprzymierzonych zgotuje Niemcom Nowy Grunwald!

Stawajcie do walki o wolność Polski, o powrót do Matki-Ojczyzny starego polskiego Pomorza i Śląska Opolskiego, o Prusy Wschodnie, o szeroki dostęp do morza, o polskie słupy graniczne nad Odrą!

Stawajcie do walki o Polskę, której nigdy już nie zagrozi nawała germańska, o Polskę, której zapewniony będzie trwały pokój i możność twórczej pracy, rozkwit kraju!

Historia i doświadczenia obecnej wojny dowodzą, że przed naporem germańskiego imperializmu ochronić może tylko zbudowanie wielkiej słowiańskiej tamy, której podstawą będzie porozumienie polsko-sowiecko-czechosłowackie".

Obok stwierdzenia, że „uregulowanie granicy polsko-radzieckiej powinno nastąpić w drodze wzajemnego porozumienia", i deklaracji o trwałym sojuszu z ZSRR i Czechosłowacją w Manifeście znalazły się i takie zdania: „Braterstwo broni uświęcone wspólnie przelaną krwią w walce z niemiecką agresją jeszcze bardziej pogłębi przyjaźń i utrwali sojusze z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej. Polska dążyć będzie do zachowania tradycyjnej przyjaźni i sojuszu z odrodzoną Francją, jak również do współpracy z wszystkimi demokratycznymi państwami świata. Polska polityka zagraniczna będzie polityką demokratyczną i opartą na zasadach zbiorowego bezpieczeństwa".

Trudno oprzeć się wrażeniu, że i to miało służyć pozyskaniu przychylności większości Polaków, widzących przyszłość Polski w związku z demokratycznym i antyfaszystowskim światem. Ale przecież cały ten świat był także sojusznikiem Stalina w walce z Hitlerem – o czym zapominają dzisiejsi antykomuniści, bezzasadnie stawiający znak równości między tymi reżimami.

Przyjęto nazwę Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego na wzór analogicznych tymczasowych organów władzy we Francji i we Włoszech.

Powojenny ład

Manifest PKWN miał też znaczenie praktyczne. Zapowiadano w nim m.in. natychmiastowe rozwiązanie organów administracji okupacyjnej, w tym tzw. policji granatowej, którą miała zastąpić nowo tworzona Milicja Obywatelska podlegająca wojewódzkim, powiatowym, miejskim i gminnym radom narodowym. Zapowiadano szybkie ściganie niemieckich zbrodniarzy wojennych i „zdrajców narodu". „Uroczyście" deklarowano „przywrócenie wszystkich swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodowości, wolności organizacji politycznych, zawodowych, prasy, sumienia", zaznaczając, że „demokratyczne swobody nie mogą jednak służyć wrogom demokracji", a „organizacje faszystowskie, jako antynarodowe, tępione będą z całą surowością prawa".

Najważniejsze zapisy owego dokumentu dotyczyły powojennego ładu społeczno-gospodarczego. Zapowiadano więc naprawienie krzywd zadanych przez okupanta, w tym zwrot własności zrabowanej obywatelom polskim przez Niemców, konfiskatę majątków niemieckich, prawne i faktyczne równouprawnienie Żydów, a przede wszystkim radykalną reformę rolną, w wyniku której ziemie po Niemcach, „zdrajcach narodu" i gospodarstwach obszarniczych liczących ponad 50 ha „rozdzielone zostaną między chłopów małorolnych, średniorolnych, obarczonych licznymi rodzinami drobnych dzierżawców oraz robotników rolnych".

eprasa.pl bbea4abf0d

Dwaj przewodniczący: PKWN – Edward Osóbka-Morawski i KRN – Bolesław Bierut.

PKWN deklarował ponadto ustawowe podniesienie płac robotniczych i pracowniczych, odbudowę i rozbudowę ubezpieczeń społecznych (które miały być oparte „na zasadach demokratycznego samorządu"), wprowadzenie „nowoczesnego prawodawstwa w dziedzinie ochrony pracy", rozpoczęcie „rozładowywania nędzy mieszkaniowej", popieranie „szerokiego rozwoju spółdzielczości" oraz „inicjatywy prywatnej, wzmagającej tętno życia gospodarczego".

„Jednym z najpilniejszych zadań" Komitetu miała być „odbudowa szkolnictwa i zapewnienie bezpłatnego nauczania na wszystkich szczeblach. Przymus powszechnego nauczania będzie ściśle przestrzegany. Polska inteligencja zdziesiątkowana przez Niemców, a zwłaszcza ludzie nauki i sztuki zostaną otoczeni specjalną opieką. Odbudowa szkół i szpitali zostanie natychmiast podjęta". PKWN zapowiadał przy tym, że „dążyć będzie do najszybszego powrotu emigracji do Kraju i podejmie kroki dla zorganizowania tego powrotu. Jedynie dla agentów hitlerowskich i dla tych, którzy zdradzili Polskę we wrześniu 1939 roku, granice Rzeczypospolitej będą zamknięte".

Nie był to program komunistyczny. Wręcz przeciwnie, mogły się pod nim podpisać niemal wszystkie środowiska „Polski londyńskiej". Z całą pewnością ludowcy i socjaliści, również chadecy ze Stronnictwa Pracy (partii najbliższej gen. Sikorskiemu), w najmniejszym może stopniu narodowcy, choć antyniemiecki i antysanacyjny wymiar Manifestu także do nich mógł trafiać.

W tym kontekście nie powinien zaskakiwać skład PKWN, czyli 15 nazwisk podpisanych pod Manifestem. Próżno tam szukać przywódców PPR – spośród oficjalnych komunistów mamy tylko Stanisława Radkiewicza jako kierownika resortu bezpieczeństwa publicznego, Stanisława Skrzeszewskiego (doktora filozofii po UJ i Sorbonie) jako kierownika resortu oświaty oraz Stefana Jędrychowskiego (doktora prawa po uniwersytecie w Wilnie, gdzie był związany z grupą poetycką Żagary) jako kierownika resortu informacji i propagandy.

Ludzie PKWN niewątpliwie byli narzędziem w ręku Stalina – tak samo, jak członkowie władz RP w Londynie byli narzędziem w ręku Churchilla.

Najbardziej widoczną grupę stanowili ludzie kojarzeni z PPS: przewodniczący Komitetu Edward Osóbka-Morawski, wiceprzewodnicząca Wanda Wasilewska, kierownik resortu pracy, opieki społecznej i zdrowia Bolesław Drobner (nestor krakowskich socjalistów, a przy tym doktor chemii), kierownik resortu gospodarki narodowej i finansów Jan Stefan Haneman. Nie zabrakło też ludowców: wiceprzewodniczącym PKWN oraz kierownikiem resortu rolnictwa i reform rolnych został Andrzej Witos (młodszy brat Wincentego), resortem administracji publicznej kierował Stanisław Kotek-Agroszewski, resortem sprawiedliwości – Jan Czechowski, a resortem komunikacji, poczt i telegrafu – inżynier Jan Michał Grubecki. Dodajmy jeszcze kierownika resortu kultury i sztuki Wincentego Rzymowskiego (przedwojennego literata i liberalnego piłsudczyka), który miał reprezentować Stronnictwo Demokratyczne, kierownika resortu odszkodowań wojennych Emila Sommersteina (lwowskiego adwokata i wieloletniego posła na Sejm II RP z ramienia ruchu syjonistycznego) oraz dwóch generałów, których nazwiska widnieją pod Manifestem: Michała Rolę-Żymierskiego i Zygmunta Berlinga. Ten pierwszy występował jako kierownik resortu obrony narodowej, drugi jako jego zastępca. W rzeczywistości kariera gen. Berlinga jako twórcy i dowódcy Wojska Polskiego w ZSRR dobiegała wówczas końca (z funkcji dowódcy 1. Armii WP został odwołany decyzją samego Stalina już 30 września 1944 r.), a jego miejsce jako najważniejszego żołnierza „Polski lubelskiej" zajmował Rola-Żymierski. Był to dawny legionista Piłsudskiego i przedwojenny generał, zdegradowany za korupcję i przebywający we Francji, gdzie nawiązał kontakty z KPP i radzieckim wywiadem, od stycznia 1944 r. zaś naczelny dowódca Armii Ludowej, podległej podziemnej KRN.

Odrodzenie

Większość tych postaci nie odegrała już później żadnej roli. Ich nazwiska pojawiają się jedynie w przypisach do książek historycznych. Byli

FOT. PAP

eprasa.pl bbea4abf0d

niewątpliwie figurantami, i to w podwójnym sensie: jako najczęściej fikcyjni szefowie tworzonych dopiero ministerstw – faktyczną władzę będą przejmowali wiceministrowie z PPR – i jako ludzie wyniesieni z woli Stalina do roli członków pierwszego rządu, który powstał po wyzwoleniu części ziem nowej Polski przez Armię Czerwoną. Ich niespodziewany awans (wszak byli to nieraz ludzie jeszcze niedawno przebywający w sowieckich łagrach) świadczył o tym, że przywódca ZSRR potrzebuje nie tylko polskich komunistów – do których zresztą nie miał zbyt dużego zaufania – lecz także Polaków ze środowisk niekomunistycznych, najlepiej takich, którzy mieliby wyższe wykształcenie lub osobistą pozycję jeszcze sprzed 1939 r.

Po pięciu latach wojny trudno było takich znaleźć, więc z dzisiejszej perspektywy skład PKWN nie robi wielkiego wrażenia, ale wtedy taki zestaw nazwisk pozwalał sądzić, że w Lublinie powstaje jakaś nowa, ulepszona i bardziej postępowa wersja II Rzeczypospolitej, odwołująca się do jej lewicowo-ludowych początków (konstytucja marcowa, reforma rolna itd.), a nie do ponurego zmierzchu. Kolejne kroki dyktowane przez Stalina miały Polaków w tym utwierdzać: przekształcenie PKWN w Rząd Tymczasowy RP od stycznia 1945 r., przeniesienie jego siedziby do wyzwolonej Warszawy, którą zdecydowano się odbudować, wreszcie utworzenie w połowie 1945 r. Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej z udziałem przybyłego z Londynu Stanisława Mikołajczyka jako lidera opozycyjnego wobec komunistów PSL. To wszystko stworzyło atmosferę, w której mogło się odradzać normalne życie społeczne, gospodarcze, kulturalne i naukowe z udziałem wielu ludzi z elit II RP, ale równocześnie przy niespotykanej dotąd możliwości awansu społecznego. To prawda, że po kilku latach Stalin zmienił taktykę wobec Polski i innych krajów naszej części Europy, narzucając odgórną sowietyzację w każdej dziedzinie życia. Trwało to jednak zaledwie kilka lat i po 1956 r. władze Polski Ludowej w dużym stopniu wróciły do programu zarysowanego w Manifeście PKWN – oczywiście już w innej sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej. Najważniejsze święto państwowe PRL – 22 lipca – wyraźnie wskazywało, że przywódcy tego państwa potrzebowali takiej tradycji, która byłaby możliwa do zaakceptowania przez jak najszersze kręgi społeczeństwa, nie tylko przez członków rządzącej partii.

Paweł Siergiejczyk

POLITYCZNY TESTAMENT PROF. ANDRZEJA WALICKIEGO

Trzy tomy najważniejszych pism wybitnego intelektualisty

PAKIET
~~228 zł~~ 190 zł

I TOM
75 ZŁ
• JARUZELSKI
• SOLIDARNOŚĆ
• ZDRADA ELIT

II TOM
76 ZŁ
• ANTYKOMUNIZM ZAMIAST WOLNOŚCI
• PORACHUNKI INTELIGENCKIE

III TOM
77 ZŁ
• FAŁSZOWANIE HISTORII
• NACJONALIZM
• NIEGODZIWOŚCI III RP

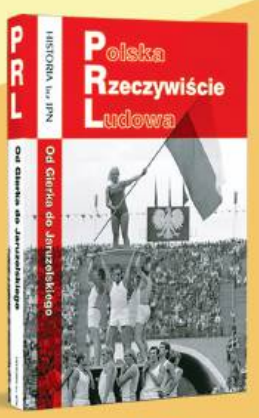

PRL NIE DA SIĘ WYMAZAĆ Z HISTORII

TEKSTY ZNAKOMITYCH AUTORÓW PRZEGLĄDU

Tom II
Od Gierka do Jaruzelskiego

~~43 zł~~
29 zł

Książki dostępne także jako e-booki!

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl bbea4abf0d

Maciej Mikołajczyk

Prezes Piesiewicz – złoty i „skromny”

Po pisowcach został model olimpizmu oparty na dojeniu spółek skarbu państwa

W igrzyskach olimpijskich w Paryżu weźmie udział 10,5 tys. sportowców płci obojga z 206 państw. Czeka na nich 329 kompletów medali, z czego płynie oczywisty wniosek: dla wszystkich nie starczy. Radosław Piesiewicz, prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego, twierdzi, że biało-czerwoni mają szansę na 16 krążków. Jednak z powodu wrodzonej skromności nie dodaje, że sam zasłużył na medal. I to z najszlachetniejszego kruszcu, bo choć na stolcu szefa PKOl zasiada raptem od kwietnia zeszłego roku, udało mu się skłonić do zdumiewającej ofiarności spółki skarbu państwa. To dzięki niemu polityka godnościowa Zjednoczonej Prawicy objęła sport i po raz pierwszy w historii sportowcy z orłem na piersi mogą liczyć na zapłatę godną osiągnięć, czyli wysokie premie finansowe oraz – to absolutne novum – nagrody rzeczowe. I to nie puchary z plastiku, ale diamenty, dzieła sztuki, bony na wakacje i – uwaga! – mieszkania.

Wredne pytanie: co będzie, jeśli silnie zmotywowani sportowcy zamiast planowanych kilku złotych krążków zdobędą ich setkę? Czy sukcesy naszych olimpijczyków doprowadzą do rozchwiania rynku mieszkaniowego? Odpowiedź: to scenariusz mało prawdopodobny. Ale po kolei.

Prezes PKOl przez złośliwców zwany jest Pisiewiczem. Od prawej: Radosław Piesiewicz, Andrzej Duda i Kamil Bortniczuk na II Europejskim Kongresie Sportu i Turystyki. Zakopane 2023 r.

Samochód z sikawką

Laikom może się wydawać, że kamienie szlachetne i nieruchomości są słabo związane z ideami głoszonymi przez barona de Coubertina i Kartę Olimpijską. W dokumencie MKOl mowa jest o radości z wysiłku, poszanowaniu uniwersalnych zasad etycznych, duchu przyjaźni, solidarności i fair play; o diamentach i Piesiewiczu nie ma tam ani słowa. Ale pięknoduchom narzekającym na sprzeniewierzenie się olimpijskim zasadom pora powiedzieć gromkie „precz!”.

Bo na szyi Radosława Piesiewicza złoto winno zadyndać z wielu powodów, także dlatego, że w fotelu prezesa PKOl zasiadł w dramatycznych okolicznościach i po zaciętym, pełnym dramaturgii boju z konkurencją. Opowieść o tym, jak hartowała się stal, należy rozpocząć od jego poprzednika. Andrzej Kraśnicki w minionym roku nieoczekiwanie zrezygnował z szefowania Polskiemu Komitetowi Olimpijskiemu. I to miesiąc przed wyborami mającymi wyłonić nowego szefa. Powodów nie podano. Kraśnicki rządził komitetem 13 lat (zastąpił Piotra Nurowskiego, który zginął w katastrofie smoleńskiej). W kuluarach mówi się, że do rezygnacji przymuszono go metodą zwaną „na straż pożarną”, przećwiczoną przez polityków Suwerennej Polski przy okazji dysponowania środkami z Funduszu Sprawiedliwości: „Wicie, rozumicie, dostaniecie samochód z sikawką, ale musicie na nas głosować”. Tu zamiast wozu ratowniczo-gaśniczego stawką były pieniądze: „Albo odejdziesz i zrobisz miejsce Piesiewiczowi, albo PKOl nie dostanie od państwa ani złotówki”.

Występ w szatni

Wykorzystywanie aparatu państwa i państwowych pieniędzy do osiągania korzyści osobistych i partyjnych politycy ze stajni Ziobry i Kaczyńskiego mają we krwi, ale zasługa Piesiewicza polega na tym, że potrafił wykorzystać ich genetyczne

eprasa.pl bbea4abf0d

ciągoty. A drogę do fotela prezesa miał niełatwą.

Kraśnicki wprawdzie odszedł i w wyborach nie wystartował, ale w szranki stanęło dwóch kandydatów: we własnej osobie Radosław Piesiewicz, prezes Polskiego Związku Koszykówki (waga lekka), i Kewin Rozum, szef Polskiego Związku Sumo (waga stosowna). Walne zgromadzenie sprawozdawczo-wyborcze nie pozostawiło złudzeń: na Piesiewicza zagłosowało 138 delegatów, a na Rozuma tylko 24. To wspaniałe osiągnięcie, a jeśli triumf Dawida nad Goliatem i wiary nad rozumem stanie się wzorcem dla naszych sportowców – nie tylko olimpijczyków – wtedy sukcesy piłkarzy nożnych przestaną polegać na podawaniu piłki w poprzek boiska.

Piesiewicz jako działacz sportowy, a szczególnie prezes PZKosz, zasłynął podczas mistrzostw świata w koszykówce w Chinach w 2019 r. „Panowie, kocham was, k****, to jest kawał dobrej roboty. Jesteście najlepsi na świecie, ch** im w d****!", darł się w szatni po meczu z gospodarzami.

Brawurowy i pełen subtelności psychologicznych występ motywacyjny do wygranej z zawodnikiem sumo by nie wystarczył. Żeby więc przekonać do siebie głosujących, Piesiewicz obiecał dziesięciokrotne zwiększenie (do 300 mln zł) budżetu PKOl i nawiązanie nowych relacji sponsorskich.

Piesiewicz obiecał dziesięciokrotne zwiększenie budżetu PKOl, do 300 mln zł, i nawiązanie nowych relacji sponsorskich.

Zaprzyjaźniony z Piesiewiczem Jacek Sasin, minister nadzorujący państwowe spółki, delikatnie mówiąc, kija w szprychy nie wkładał. Dzięki temu, jak tylko świeżo upieczony prezes Piesiewicz umościł się w fotelu, do PKOl popłynął wartki strumień pieniędzy z PKP Cargo, PKP Intercity, LOT, Tauronu, Enei oraz Polskiego Cukru. Do tego trzeba doliczyć tradycyjnie szczodre przelewy z Orlenu i Totalizatora Sportowego. Porównywalne wzięcie u państwowych sponsorów mają jedynie narodowe komitety olimpijskie w Rosji i na Białorusi, ale sportowcy z tych krajów w paryskich igrzyskach nie biorą udziału, a choć Putin obiecał, że urządzi im w Moskwie olimpiadę przyjaźni, słowa nie dotrzymał.

Mimo ofiarności państwowych przedsiębiorstw Kaczyński i spółka, jak wiadomo, wybory przerżnęli, acz Radosław Piesiewicz pozostał na odcinku olimpijskim, a wraz z nim model finansowania sportu olimpijskiego rodem z Rosji.

Ten krążek, złoty krążek…

Prezes PKOl, przez złośliwców zwany Pisiewiczem, co rymuje się z Misiewiczem, już po sformowaniu rządu przez Tuska ogłosił, że czasy symbolicznych nagród dla medalistów olimpijskich się skończyły. I opublikował wykaz korzyści

eprasa.pl bbea4abf0d

dla sportowców, którzy w Paryżu staną na pudle. Za złoto nagrodą jest mieszkanie dwupokojowe, 250 tys. zł, obraz z domu aukcyjnego Art in House, diament inwestycyjny, a także bon na wakacje wartości 10 tys. zł. Krążki srebrne i brązowe uprawniają zaś do gotówki – odpowiednio 200 tys. i 150 tys. zł, diamentu, dzieła sztuki oraz wczasowego vouchera. Prezes PKOl dowiódł swojego kunsztu menedżerskiego, w porę dostrzegając niebezpieczeństwo w postaci zdobycia złotego medalu przez siatkarzy. Reprezentacja w piłce siatkowej to bowiem 13 zawodników – podarowanie 13 dwupokojowych mieszkań mogłoby doprowadzić budżet PKOl do ruiny, a nawet rozhuśtać cały rynek nieruchomości, wciąż borykający się z przewagą popytu nad podażą mimo licznych sukcesów „dobrej zmiany" i realizacji programu Mieszkanie+.

Radosław Piesiewicz kazał umieścić na olimpijskim bilbordzie swoją podobiznę obok Igi Świątek, siatkarza Wilfreda Leona, siatkarki Magdaleny Stysiak i sprinterki Ewy Swobody. Zapewne ogłosi się ojcem sukcesu.

Przyznanie złotym medalistom dachu nad głową Piesiewicz czujnie zatem obwarował dodatkowymi warunkami: na mieszkanie dwupokojowe mogą liczyć wyłącznie zwycięzcy w konkurencjach indywidualnych, a w grach zespołowych nagroda to 2 mln zł do podziału (za srebro 1,5 mln zł, za brąz 1 mln zł).

Osady, sztafety, deble, miksty i załogi za olimpijski laur, oprócz takich samych pieniędzy, jakie obiecano przedstawicielom dyscyplin indywidualnych, bonów wakacyjnych i reszty, także mają dostać mieszkania, ale jednopokojowe. Materiały PKOl nie precyzują, czy *per capita*, ale wypada mieć nadzieję, że tak, bo trudno sobie wyobrazić czwórkę podwójną mężczyzn w lokalu jednoizbowym. Zwłaszcza że jego metraż – od 30 do 35 m kw. – do imponujących nie należy. Wersja dwupokojowa ma być o 30% większa, więc również nie zapewnia przestrzeni życiowej godnej mistrza olimpijskiego.

Przedsięwzięcie pod nazwą „Mieszkanie dla mistrza" PKOl prezentuje zdumiewająco lakonicznie. Dziennikarzom udało się wyciągnąć informację, że złoci medaliści dostaną lokale „na osiedlu sportowców, które powstaje w stolicy, raczej na jej obrzeżach". Szacunki wskazują, że ich wartość wyniesie 450-650 tys. zł za opcję skromniejszą i ok. 900 tys. za dwupokojową.

Realizacja prac wykończeniowych przewidziana jest na rok 2026 – zaznacza PKOl. Wygląda więc na to, że złoty medalista będzie mógł się wprowadzić do wygranego przez siebie mieszkania dwa lata po igrzyskach. I że lokale dla mistrzów są nieco patykiem na wodzie pisane, ale powściągliwość wydaje się uzasadniona, bo strach pomyśleć, do czego dojdzie, jeśli nasi olimpijczycy złapią wiatr w żagle i zamiast planowanych dwóch złotych medali zdobędą 15. Albo tę setkę.

Olimpizm w M2

Polacy co prawda stworzeni są raczej do tego, by po makach iść i ginąć, niż żeby osiągać sportowe sukcesy, ale od Bitwy Warszawskiej w 1920 r. wiadomo, że cuda nas nie omijają, więc nie da się wykluczyć, że i na niwie sportowej Opatrzność okaże nam życzliwość. Bez interwencji niebios poważnych szans na złoto mamy jednak niewiele.

„Liczymy na to, że Iga Świątek udowodni po raz kolejny, że jest Królową Paryża", wyjawił prezes Piesiewicz. Świątek rzeczywiście uchodzi za faworytkę olimpijskiego turnieju, bukmacherzy za jej wygraną płacą 1,6 zł za każdą postawioną złotówkę. Oznacza to, że prawdopodobieństwo, iż zdobędzie złoto, szacowane jest na 62%. Żaden nasz zawodnik ani zawodniczka nie ma takich szans na wygraną. Wygrana Pawła Fajdka, młociarza, wyceniana jest na 1:8, czyli szansa wynosi 12,5%, identyczne szanse bukmacherzy dają młociarce Anicie Włodarczyk.

W tym roku Iga Świątek zarobiła 7 mln dol., czyli 27,5 mln zł. Za to mogłaby kupić 25 mieszkań dwupokojowych w Warszawie albo kilka w Monte Carlo i resztę przeznaczyć na stypendia dla sportowców uprawiających niszowe i mniej dochodowe dyscypliny. Łącznie nasza zawodniczka wybekhendowała już 30 mln dol., czyli 120 mln zł. Trudno się spodziewać, że perspektywa otrzymania od PKOl mieszkanka na osiedlu sportowym gdzieś w ogólnie pojętej Warszawie wyzwoli w niej dodatkową energię i motywację do walki.

Oprócz Świątek i drużyny siatkarzy – która jednak mieszkania otrzymać nie może – na złoto ma jeszcze szansę wspinająca się po ścianach Aleksandra Mirosław. Poza tym kandydatów do zwycięstw nie widać. I to w świetle trudnej sytuacji mieszkaniowej jest wiadomością krzepiącą.

W istocie rachunek prawdopodobieństwa wskazuje, że program Mieszkanie dla mistrza może się zacząć i skończyć na podarowaniu lokalu Świątek, która na pewno w nim nie zamieszka i przeznaczy je na wynajem albo opchnie przy pierwszej okazji. Trudno uwierzyć, że o to chodziło sponsorom. I że na tym polega idea olimpizmu.

À propos probabilistyki: po tym jak prezes PKOl kazał umieścić na olimpijskim bilbordzie swoją podobiznę obok Igi Świątek, siatkarza Wilfreda Leóna, siatkarki Magdaleny Stysiak i sprinterki Ewy Swobody wraz z hasłem „Kibicujmy!", prawdopodobieństwo, że ogłosi się ojcem sukcesu olimpijczyków, graniczy z pewnością. Tak jak pewne jest, że porażka tradycyjnie okaże się sierotą zupełną.

Maciej Mikołajczyk

FOT. MACIEK JONEK/REPORTER, PLATFORMA X

eprasa.pl bbea4abf0d

Pogłębiać dno i trzymać się koryta

Przekop, czyli męczeństwo Marka Gróbarczyka

Grzegorz Rudnik

17 września 2022 r., w 83. rocznicę napaści Związku Radzieckiego na Polskę, otwarto kanał żeglugowy przez Mierzeję Wiślaną. W uroczystości wzięło udział krzepiąco liczne grono pisowskich prominentów. Było to ukoronowanie życzenia prezesa Jarosława Kaczyńskiego, który wielokrotnie przekonywał, by kopać, i to głęboko. TVP i Polskie Radio otrąbiły historyczny sukces, a życzliwi władzy komentatorzy dowodzili, że tym przekopem nasz kraj dokopał Putinowi. O kosztach nie wspominał nikt. Kanał o długości 1536 m kosztował zaś podatników 1,984 mld zł, co oznacza, że każdy metr tej inwestycji wart był ok. 1,292 mln zł!

Wszystko zaczęło się w maju 2016 r., gdy Rada Ministrów przyjęła uchwałę o „Budowie drogi wodnej łączącej Zalew Wiślany z Zatoką Gdańską". Przekop miał być finansowany z budżetu państwa. Pierwotnie zakładano, że będzie kosztował 880 mln zł. Dysponentem środków miał być ówczesny minister gospodarki i żeglugi śródlądowej Marek Gróbarczyk.

Cztery lata później, w listopadzie 2020 r., gdy okazało się, że kanał nadal jest w budowie, a jej koszty dramatycznie wzrosły, rząd Mateusza Morawieckiego podjął uchwałę o zwiększeniu środków do niemal 2 mld zł i wydłużył termin realizacji do I kwartału 2023 r. Marek Gróbarczyk był wtedy sekretarzem stanu w resorcie infrastruktury. W tym czasie sprawą przekopu Mierzei Wiślanej zajmowała się Najwyższa Izba Kontroli. W kręgu zainteresowań jej pracowników znalazł się też Gróbarczyk.

Bareizmy ciągle żywe

Kolejne rządy PiS przypomniały Polakom, czym są inwestycje w stylu kultowego filmu Stanisława Barei „Miś". Świetnym przykładem może być budowa elektrowni węglowej w Ostrołęce. Gdy pochłonęła 1,5 mld zł, zapadła decyzja o wstrzymaniu prac i wyburzeniu tego, co powstało, m.in. wysokich na ponad 100 m słynnych „wież Kaczyńskiego". Po czym podjęto decyzję o budowie, w tym samym miejscu, elektrowni gazowej, której koszt ma sięgnąć prawie 3 mld zł. A co, stać nas!

Inna sztandarowa inwestycja, Centralny Port Komunikacyjny nad rzeką Pisią Tuczną, będzie kosztowała od 155 do 250 mld zł. Realizacja tego przedsięwzięcia jest daleko w polu, za to zarządzający nią nominaci PiS nieźle już się wzbogacili.

Należy też pamiętać o setkach mniejszych projektów w stylu „Rozlewni szczepionek w zakładach Polfa Tarchomin" czy „Systemu satelitarnego monitorowania upraw rolnych" – każdy miał kosztować od 100 do 200 mln zł, ale nic z nich nie wyszło.

Za to przekop Mierzei Wiślanej powstał i natychmiast stał się tematem memów oraz atrakcją turystyczną. Dzięki Najwyższej Izbie Kontroli dowiedzieliśmy się, jak go budowano i do jakich nieprawidłowości przy tym doszło. Raport NIK był złą wiadomością dla byłego ministra Gróbarczyka, gdyż Izba skierowała do prokuratury doniesienie o podejrzeniu popełnienia przestępstw w związku z tą inwestycją.

Gróbarczyk odrzuca wszelkie zarzuty i dowodzi, że jest to „skrajnie polityczne działanie podejmowane przez skrajnie upolitycznioną NIK i prezesa Mariana Banasia, a towarzyszy temu narracja, która była używana przez stronę rosyjską podczas próby zablokowania budowy kanału przez Mierzeję Wiślaną". W wywiadzie udzielonym pod koniec czerwca br. „Naszemu Dziennikowi" straszy, że rząd Donalda Tuska może rozebrać i zasypać to, co zostało zrobione, bo „są to ludzie skrajnie nieodpowiedzialni, którzy nie mają żadnych skrupułów, aby publicznie kłamać, oszukiwać społeczeństwo".

Były minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej pominął tę drobnostkę, że dotychczasowa eksploatacja kanału nijak się ma do szumnych obietnic. Zakładano, że będą go pokonywały jednostki morskie o długości 100 m, szerokości 20 m i zanurzeniu do 4,5 m. W przypadku zestawu barek długość mogła osiągnąć 180 m. Tymczasem dziś przez kanał przepływają głównie jachty turystyczne. Wiadomo też, że ta inwestycja się nie zwróci.

eprasa.pl bbea4abf0d

Mówiąc po ludzku, kanał przez Mierzeję Wiślaną to współczesny słomiany miś. My tym misiem „otwieramy oczy niedowiarkom. Patrzcie, mówimy, to nasze, przez nas wykonane i to nie jest nasze ostatnie słowo!”. Bareja byłby szczęśliwy.

Co poszło nie tak?

Jedno trzeba przyznać – rządy Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego nie liczyły się z kosztami. Skoro 800 mln zł to za mało, damy więcej! 2 mld zł? Nie ma problemu.

Najwyższa Izba Kontroli dowodziła w raporcie, że minister Gróbarczyk niewłaściwie przygotował program „Budowy drogi wodnej łączącej Zalew Wiślany z Zatoką Gdańską”, gdyż w projekcie uchwały Rady Ministrów z maja 2016 r. nie określił w sposób realny niezbędnego zakresu rzeczowego i finansowego, opierając się na nierzetelnych założeniach opracowanych przez dyrektora Urzędu Morskiego w Gdyni.

W efekcie już w czerwcu 2019 r., tj. przed podpisaniem 4 października 2019 r. przez dyrektora urzędu morskiego pierwszej umowy budowlanej, o wartości, jak podaje NIK, 991 622,8 tys. zł, co przewyższało o 111 622,8 tys. zł ogólną kwotę środków przewidzianych na realizację całego programu, minister Gróbarczyk wiedział, że wartość programu wzrośnie o ponad 100%, wykraczając ponad poziom opłacalności.

Co gorsza, w latach 2019-2020 w trakcie prac nad nowelizacją uchwały Rady Ministrów z 2016 r. ustanawiającej program minister nie informował rządu o przekroczeniu pułapu opłacalności zgodnego ze wskaźnikami efektywności zawartymi w analizach przygotowanych przed jej przyjęciem. Okazało się, że wzrost kosztów wynikał z dodania nowych zadań, nieprzewidzianych na etapie planowania inwestycji.

Rząd Mateusza Morawieckiego poradził sobie z tym i zwiększył pulę środków, tak by doprowadzić budowę kanału przez Mierzeję Wiślaną do samego końca.

Realizacji inwestycji towarzyszyły doniesienia o ogromnych złożach bursztynu, którego wydobycie w trakcie budowy pozwoli znacząco zmniejszyć koszty. Okazało się, że bursztynu tam nie było.

Poza tym dyrektor urzędu, bez upoważnienia do dysponowania środkami, zaciągał zobowiązania w celu sfinansowania realizacji programu w kwocie przekraczającej o 157 687,4 tys. zł całkowity budżet. Ze środków budżetu dokonywał też wydatków na cele niesłużące jego realizacji, m.in. zawarł umowę na zakup pogłębiarki w wysokości 116 468,7 tys. zł (do 28 kwietnia 2023 r. poniósł na ten cel wydatki w kwocie 54 967,5 tys. zł) oraz opłacił podatek od nieruchomości wraz z odsetkami w łącznej kwocie 659,3 tys. zł.

Pracownicy NIK doszli do wniosku, że minister Gróbarczyk nie zapewnił przy tym funkcjonowania adekwatnej, skutecznej i efektywnej kontroli zarządczej w kierowanym przez siebie dziale administracji rządowej „gospodarka morska”. Akceptował działania dyrektora urzędu morskiego, uzasadniając to racjonalnością postępowania. Można odnieść wrażenie, że dał mu wolną rękę. Przekop przez Mierzeję Wiślaną miał powstać bez względu na koszty. Wszak prezes Jarosław Kaczyński przed kamerami w październiku 2018 r. osobiście wbił na plaży biało-czerwony słupek, rozpoczynając prace, choć nie został wyłoniony wykonawca ani nie było pozwolenia na budowę!

Przykład ten świetnie ilustruje sposób, w jaki politycy PiS radzili sobie z realizacją inwestycji i swoich programów. Koszty nie miały znaczenia. Jak trzeba, albo zaciągano kredyty, albo wnioskowano o dotacje budżetowe. Rachunek ekonomiczny też nie miał znaczenia. Zwyczajnie pogłębiano dno i trzymano się koryta.

Męczeństwo

Były minister Marek Gróbarczyk, który wraz z premierem Morawieckim wsławił się szczecińską instalacją stępki pod budowę promu w ramach programu „Batory”, dowodzi, że jest ofiarą. Głosi, że przyszło mu żyć w czasach podłych dla sprawiedliwości, ci zaś, którzy chcą budować rzeczy wielkie, epokowe (najlepiej za publiczne pieniądze – uwaga autora), są niszczeni i deprecjonowani.

Budowę kanału przez Mierzeję Wiślaną można porównać do budowy piramid egipskich. Faraonowie nie liczyli się z kosztami, a dziś miliony turystów podziwiają ten jeden z cudów starożytności. Problem w tym, że epokowe inwestycje PiS na ogół okazywały się kosztownymi porażkami.

Mam jednak wątpliwość, czy uda się skazać Marka Gróbarczyka. Młyny sprawiedliwości mielą w naszym kraju powoli. A on przez lata będzie chodził w glorii męczennika, ofiary wrogów politycznych. Ostatnie wybory do Parlamentu Europejskiego dowiodły, że osobnicy skazani prawomocnymi wyrokami lub znajdujący się w kręgu zainteresowania organów ścigania mogą liczyć na sympatię i wsparcie elektoratu. Jeśli więc prokuratura postawi Gróbarczykowi zarzuty, zapewni mu świetny PR.

A co z miliardami wydanymi na przekop Mierzei Wiślanej? Zostały zainwestowane w lokalną atrakcję turystyczną. ■

FOT. PACZAIZM.PL

eprasa.pl bbea4abf0d

Pośrodku 30-letni rektor-komendant uczelni kształcącej więzienników, Michał Sopiński.

OSTATNIE PODRYGI REKTORA HEJTERA

Czy skompromitowany rektor-komendant Akademii Wymiaru Sprawiedliwości zostanie usunięty ze stanowiska?

Andrzej Sikorski

Zgodnie z zapowiedziami Adam Bodnar wziął się w końcu za Michała Sopińskiego, rektora-komendanta podległej Ministerstwu Sprawiedliwości Akademii Wymiaru Sprawiedliwości. Czym wykazał się ten 30-latek o wyglądzie Harry'ego Pottera, że Zbigniew Ziobro ulokował go w 2023 r. na ciepłej posadce (kadencja rektora-komendanta trwa pięć lat)?

Wilczek politykuje i kąsa

Zacznijmy od tego, że rektor Sopiński nie ma doświadczenia ani dorobku naukowego, a pochwalić się może zaledwie doktoratem, czyli najniższym stopniem naukowym. Komendant uczelni powinien być oficerem – poprzednik miał stopień generała. Studiujący tu funkcjonariusze Służby Więziennej do cywila zwracają się per „panie komendancie", co w tym wypadku brzmi nader zabawnie. Sopiński jako „komendant" uczelni kształcącej więzienników nie ma bowiem pojęcia o specyfice służby. Nigdy nie pracował za więziennym murem, nie poznał zapachu celi, nie stanął oko w oko z bandytą, mordercą czy gwałcicielem, nic nie wie o warunkach pracy strażników.

Działacz Suwerennej Polski, zwany też młodym wilczkiem, jest szefem struktur partyjnych w okręgu kalisko-leszczyńskim. Podobno miał startować w ostatnich wyborach parlamentarnych, ale działacze PiS nie byli zachwyceni i sprzeciwili się temu, by współpracownik Zbigniewa Ziobry trafił na listę wyborczą. Faktem jest, że gdy Sopiński miał zabiegać o dobre miejsce na liście, w jego okręgu pojawiły się ogromne bilbordy z jego podobizną, logo akademii i napisem: „Od września zapraszamy do Akademii Wymiaru Sprawiedliwości – dr Michał Sopiński, rektor".

Jednak to nie brak kompetencji ani nawet formalna przynależność

Adam Bodnar zwrócił się do rzecznika dyscyplinarnego przy ministrze nauki i szkolnictwa wyższego, aby rozpoczął postępowanie wobec Sopińskiego.

eprasa.pl bbea4abf0d

do Suwerennej Polski, lecz niewyparzony język i aktywność w mediach społecznościowych nielicująca z godnością zarządcy uczelni mogą sprawić, że przyboczny Zbigniewa Ziobry zostanie usunięty ze stanowiska rektora-komendanta.

Adam Bodnar zwrócił się do rzecznika dyscyplinarnego przy ministrze nauki i szkolnictwa wyższego, aby ten rozpoczął postępowanie dyscyplinarne wobec Sopińskiego. Jak poinformowało Ministerstwo Sprawiedliwości: „W okresie od dnia 25 marca 2023 r. do dnia 24 kwietnia 2024 r. Pan dr Michał Sopiński pełniąc funkcję Rektora-Komendanta uczelni Służby Więziennej, posiadającej status uczelni służb państwowych, wbrew ustawowemu obowiązkowi zachowania apolityczności oraz z naruszeniem standardów etycznych i dobrych obyczajów w funkcjonowaniu uczelni wyższej i społeczności akademickiej, w związku ze swoją aktywnością w mediach społecznościowych i charakterem publikowanych w nich treści, w sposób systematyczny i demonstracyjny angażował się w bieżącą walkę polityczną, manifestował wsparcie dla konkretnej partii politycznej i konkretnego obozu politycznego oraz wykorzystywał powierzoną mu wysoką funkcję kierowniczą w polskim szkolnictwie wyższym do politycznej autopromocji, budowania politycznej pozycji i zdobywania społecznego poparcia dla celów politycznych, czym uchybił godności zawodu nauczyciela akademickiego. (…) Ponadto Minister Sprawiedliwości wnioskuje o przeprowadzenie postępowania dyscyplinarnego w zakresie czynu Rektora-Komendanta polegającego na tym, że w maju 2023 r., przekraczając granice swobody wypowiedzi i tolerancji akademickiej oraz naruszając elementarne normy etyczne obowiązujące w środowisku naukowym, zamieścił na prowadzonym przez siebie profilu w serwisie społecznościowym X (dawny Twitter) wpis nawołujący do upokarzania i stosowania przemocy fizycznej (golenia głów) oraz wyrządzenia krzywdy społecznej (pozbawienia obywatelstwa i tytułów naukowych) prof. Janowi Grabowskiemu (współzałożycielowi Centrum Badań nad Zagładą Żydów Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk) i prof. Barbarze Engelking (kierownikowi tego Centrum) w związku z ich wypowiedziami na temat wyników prowadzonych przez nich od lat badań naukowych nad Zagładą, czym uchybił godności zawodu nauczyciela akademickiego”.

Działacz Suwerennej Polski i szef jej struktur w okręgu kalisko-leszczyńskim nie ma doświadczenia ani dorobku naukowego, a pochwalić się może zaledwie doktoratem.

Oczernia i atakuje

Przeglądając profile Sopińskiego w mediach społecznościowych (X i Facebook), można odnieść wrażenie, że prowadzi je nawiedzony politycznie hejter, a nie rektor-komendant ministerialnej uczelni.

Sopiński w sposób bezpardonowy atakował polityków związanych z Koalicją Obywatelską oraz tych, których uznaje za wrogów Polski. Wzywanie do golenia głów i pozbawienia polskiego obywatelstwa naukowców to jedynie wisienka na torcie. O Radosławie Sikorskim napisał: „To rosyjski pachołek. Człowiek Moskwy i Putina. Być może zwerbowany przez KGB jeszcze w Afganistanie i przez lata uśpiony”. O Donaldzie Tusku: „Tusk to zdrajca i pachołek Putina, co dobitnie wykazał dokument »Reset. Won do Moskwy!” (chodzi zapewne o odcinek serialu Rachonia i Cenckiewicza zatytułowany „Podróż do Moskwy” – przyp. red.). O sympatykach Platformy Obywatelskiej: „Byłeś w ZOMO, byłeś w ORMO, teraz jesteś za Platformą”.

Belgijskiego polityka Guy Verhofstadta Sopiński nazwał „polakożercą, który pluje na Polskę”, a to dlatego, że ten krytykował rządy PiS, prof. Wojciecha Sadurskiego zaś – „resortowym dzieckiem”, którego „ojciec był komunistycznym aparatczykiem i ubeckim szpiclem zarejestrowanym jako TW Szczepan w 1948 roku”. Dostało się nawet ocalałemu z Holokaustu Marianowi Turskiemu, dziennikarzowi, historykowi i działaczowi społecznemu. On z kolei został nazwany „nestorem antypolskiego stalinizmu” oraz „stalinowskim cenzorem i oprawcą z PZPR”.

Kiedy pisowskie media ujawniły, że syn posłanki Magdaleny Filiks padł ofiarą pedofila, bezczelny Sopiński napisał: „Pedofil w szeregach Platformy Obywatelskiej, który wykorzystał dziecko jednej z posłanek PO. Współczuję matce i dziecku bo to wielka krzywda. Ale to już kolejny raz gdy okazuje się że w szeregach opozycji są zdegenerowani przestępcy. Co będzie gdy dojdą do władzy?”. Wkrótce po tym – prawdopodobnie z powodu rozpętanej nagonki i podobnych wpisów – syn parlamentarzystki popełnił samobójstwo.

Zhejtowana przez Sopińskiego została Janina Ochojska, która krytykowała bezprawne działania służb, stosujących na granicy polsko-białoruskiej nielegalne pushbacki wobec uchodźców, m.in. kobiet w ciąży i dzieci. Rektor-komendant

FOT. AKADEMIA WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI/FACEBOOK (2)

eprasa.pl bbea4abf0d

stwierdził, że „Janina Ochojska za opluwanie polskiego munduru oraz kolaborację z Putinem i Łukaszenką powinna być sądzona za zamach stanu z art. 127 kodeksu karnego”. Według przywołanego przepisu „Kto, mając na celu pozbawienie niepodległości, oderwanie części obszaru lub zmianę przemocą konstytucyjnego ustroju Rzeczypospolitej Polskiej, podejmuje w porozumieniu z innymi osobami działalność zmierzającą bezpośrednio do urzeczywistnienia tego celu, podlega karze wolności na czas nie krótszy od lat 10 albo karze dożywotniego pozbawienia wolności”. Wygłaszając takie brednie, doktor prawa Michał Sopiński, który kreuje się na wybitnego eksperta w dziedzinie legislacji, pokazuje, że jest nieukiem.

Dla odmiany o przestępcach Mariuszu Kamińskim i Macieju Wąsiku Sopiński napisał, że należy ich „dziś uznać za więźniów politycznych zarówno w kontekście definicji przyjętej w rezolucji Zgromadzenia Rady Europy z 3 października 2012 roku, jak też standardowo organizacji międzynarodowych”. Jak wiadomo, politycy PiS zostali skazani na kary więzienia za przekroczenie uprawnień oraz zlecenie sfałszowania dokumentów i usiłowanie wyłudzenia poświadczenia nieprawdy. A wszystko po to, aby wykreować aferę łapówkarską z odrolnieniem ziemi i wrobić w nią Andrzeja Leppera, co ostatecznie się nie udało. Tymczasem wspomniana przez Sopińskiego konwencja stawia sprawę jasno. Za więźnia politycznego należy uznać osobę, która została pozbawiona wolności m.in. z naruszeniem gwarancji wynikających z Europejskiej konwencji praw człowieka, w szczególności „swobody myśli, sumienia bądź religii, wolności słowa i informacji, wolności zgromadzeń czy zrzeszania się; jeśli pozbawienie wolności nastąpiło z powodów czysto politycznych bez związku z przestępstwem; jeśli pozbawienie wolności nastąpiło w wyniku postępowania przeprowadzonego z pogwałceniem zasady sprawiedliwości, co mogło wynikać z politycznych motywacji władz”.

Nie trzeba mieć zatem wiedzy prawniczej, wystarczy jedynie umiejętność czytania ze zrozumieniem, by zauważyć, że Sopiński, zrównując Kamińskiego i Wąsika z więźniami politycznymi, plecie bzdury.

O Radosławie Sikorskim rektor napisał, że to „rosyjski pachołek”, „człowiek Moskwy i Putina”.

Przekracza granice przyzwoitości

Powyższe przykłady to tylko ułamek bogatej twórczości rektora-komendanta, który zdaje się odklejony od rzeczywistości – albo udaje, że nie rozumie, że przekroczył wszelkie granice przyzwoitości.

W odpowiedzi na wniosek ministra Bodnara Sopiński napisał zażalenie. Broni się, że „jako rektor państwowej uczelni ma prawo zabierać głos w sprawach doniosłych z punktu widzenia publicznego”. Wyrażał więc tylko swoje „przekonania światopoglądowe i filozoficzne”, robił to na prywatnych kontach, a hejterskie wpisy dotyczyły krytyki zachowań, postaw i postulatów sprzecznych z tymi, jakie obowiązują w jego środowisku. Uważa, że „narzucanie postawy apolitycznej byłoby istotnym ograniczeniem wolności słowa i tym samym praw obywatelskich”.

Sopiński stawia się w jednym szeregu z rektorami, którzy weszli do polityki i którym jego zdaniem „nie zarzucono przewinień dyscyplinarnych, mimo ich licznych wypowiedzi o charakterze politycznym, ukierunkowanym na poparcie konkretnej formacji politycznej”, tak jakby to miało jakiekolwiek znaczenie w jego sprawie. Co do szczucia na profesorów Barbarę Engelking i Jana Grabowskiego, rektor twierdzi, że golenie głów „stanowiło nieelegancką i niepotrzebną próbę satyry”. Dalej zaś, że „stwierdzenie o odebraniu obywatelstwa nie miało charakteru prawnego, ponieważ prawo polskie nie zna takiej instytucji”. Jeśli rzeczywiście Sopiński traktuje swoje wywody poważnie (zażalenie ma aż 22 strony!), to powinien nie tylko zostać usunięty ze stanowiska rektora-komendanta Akademii Wymiaru Sprawiedliwości, ale też stanąć przed plutonem egzekucyjnym za obrazę rozumu.

Andrzej Sikorski

Zmarł

Zdzisław Góralczyk

Wielki znawca Chin, wybitny dyplomata,
były ambasador RP w Pekinie.
Jedyny Polak, który jest Honorowym Obywatelem Pekinu.
Nasz przyjaciel.
Człowiek mądry, życzliwy i zawsze pomocny.

Wyrazy współczucia dla brata Bogdana, syna Roberta i Bliskich

Jerzy Domański, Paweł Dybicz, Robert Walenciak

Zmarł

płk Józef Wiśniewski

Nasz przyjaciel. W polskiej piłce nożnej postać symboliczna.
Dziesiątki lat społecznej działalności.
Wiele funkcji, m.in. przewodniczącego Wydziału Dyscypliny i Wydziału Gier. Od 1954 r. związany z Legią Warszawa.
Wieloletni wiceprezes PZPN. Członek Honorowy PZPN.
Niezwykle uczciwy, lojalny i koleżeński.

Żonie i Bliskim serdecznie współczujemy

Jerzy Domański, Karol Gębka, Zygmunt Lenkiewicz, Marek Pietruszka

eprasa.pl bbea4abf0d

Z Galicji

Jan Widacki

Nie bronię Romanowskiego, bronię ABW

Media obiegła wiadomość, że po uchyleniu przez Sejm immunitetu i wydaniu zgody na ewentualne zatrzymanie i tymczasowe aresztowanie posła Suwerennej Polski, byłego wiceministra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego, ABW zatrzymała go na polecenie prokuratury. Postawiono mu łącznie 11 zarzutów, w tym udziału w zorganizowanej grupie przestępczej. Chodzi o niezgodne z prawem wydawanie milionów z Funduszu Sprawiedliwości. Pieniądze publiczne, które miały być przeznaczane na pomoc dla ofiar przestępstw, jak powszechnie wiadomo, były wykorzystywane na kampanie wyborcze posłów Suwerennej Polski. Ale prokuratura zarzuca Romanowskiemu inne jeszcze przestępstwa, w tym przekroczenie uprawnień i poświadczenie nieprawdy. Postawienie zarzutu działania w zorganizowanej grupie przestępczej jednoznacznie wskazuje, że zarzuty w tych sprawach stawiane będą także innym osobom.

Łatwo się domyślić, że może chodzić o osoby związane z Ministerstwem Sprawiedliwości z czasów Zbigniewa Ziobry i z Suwerenną Polską. Poczekajmy spokojnie, co jeszcze w tej sprawie się wydarzy. Na razie okazało się, że prokuratura zapomniała postarać się o uchylenie Romanowskiemu drugiego immunitetu, przysługującego mu z racji członkostwa w delegacji do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, i sąd z tego powodu wypuścił go na wolność.

Zatrzymanie i postawienie zarzutów Romanowskiemu, bez względu na ich zasadność, okazało się tym samym działaniem bezprawnym. To kolejna kompromitacja prokuratury, tym razem pod nowym, „słusznym" kierownictwem. W dodatku kompromitacja na skalę międzynarodową. PiS dostało prezent, o jakim nawet nie marzyło. Co dalej? Prokuratura wystąpi zapewne do Zgromadzenia Parlamentarnego o uchylenie immunitetu, wniosek przygotuje starannie i wesprze dowodami, musi mieć bowiem świadomość, że w tym przypadku będzie on analizowany bardzo wnikliwie, z dużą dozą podejrzliwości i ostrożności. Mam nadzieję, że i ten immunitet będzie uchylony, więc co się Romanowskiemu odwlecze, to nie uciecze. Do tego czasu czekają nas burzliwe wydarzenia. PiS będzie sprawę wykorzystywało propagandowo, będzie też awantura nie tylko wewnątrz koalicji, ale nawet wewnątrz rządu. Jak to wszystko się skończy, trudno dziś przewidzieć.

Pozostawiając kwestię immunitetu na uboczu, bo aż nadto o tym się mówi i pisze, i nie przesądzając o winie pana Romanowskiego (to zrobi w przyszłości niezawisły sąd, co więcej, trzeba pamiętać, że do tego momentu służy mu domniemanie niewinności), chciałbym zgłosić kilka innych uwag.

Przede wszystkim wątpliwości budzić musi obecność kamer telewizyjnych i fotoreporterów przy doprowadzaniu zatrzymanego i skutego Romanowskiego do prokuratury. Zgodnie z obowiązującym prawem takie czynności powinny być prowadzone w sposób jak najmniej naruszający dobra osobiste zatrzymanego. Z całą pewnością nie dopełniono tego wymogu prawa. Nie można było Romanowskiego przetransportować z miejsca zatrzymania, czyli jego mieszkania, do prokuratury, a potem do sądu w sposób mniej widowiskowy? Chodziło o polityczny spektakl? Oczywiście nie pierwszy raz coś takiego miało miejsce. Nie pierwszy raz zatrzymywano w Polsce osobę publiczną w blasku fleszy i w zasięgu telewizyjnych kamer, które „przypadkiem" znalazły się w pobliżu. Ale przecież miało już być lepiej! Czy naprawdę konieczne było sięgnięcie do najgorszych tradycji z czasów Ziobry? A może to funkcjonariusze ABW nie umieli dyskretniej przeprowadzić czynności? Nie byłoby w tym nic dziwnego, dla ABW zatrzymywanie i konwojowanie to nie są czynności rutynowe. I tu wątpliwość kolejna i najpoważniejsza. Dlaczego prokuratura zleciła realizację tych czynności Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a nie po prostu policji? Policji, która do tego jest powołana i która ma w tym nieporównanie większe doświadczenie?

Skąd pomysł, aby zlecać to ABW? Dla większego udramatyzowania spektaklu? Dla dodania powagi prowadzącemu postępowanie prokuratorowi? Romanowskiemu prokuratura nie zarzuciła zbrodni stanu, szpiegostwa czy aktu terroru, tylko przestępstwa pospolite. ABW niech łapie szpiegów, teraz w związku z wojną na Ukrainie i postawą Białorusi ma chyba z tym więcej problemów i pracy niż zwykle. Agencja ma być przede wszystkim kontrwywiadem, a nie policją polityczną. Traktowanie ABW jako dekoracji w spektaklu zatrzymania polityka szkodzi jej wizerunkowi. Szkodzi państwu polskiemu. Polacy chętnie będą współpracować z apolitycznym kontrwywiadem. Z policją polityczną, mając w pamięci dotychczasowe doświadczenia, na pewno nie! Prokuratura najwyraźniej także o tym nie pomyślała. Po raz kolejny to nie służby mieszają się do polityki, lecz są do niej, nawet wbrew swojej woli, wciągane – jeśli nie przez polityków, to przez teoretycznie apolitycznych prokuratorów. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bbea4abf0d

Edward Redliński: nasze transformejszen

KRONIKARZ WIELKIEJ ZMIANY

Edward Redliński – (ur. 1 maja 1940 r. we Frampolu w woj. lubelskim, zm. 30 czerwca 2024 r.) autor powieści, scenarzysta i dramatopisarz, reporter. Zaczynał jako reporter w „Gazecie Białostockiej". W latach 1981-1991 mieszkał w Nowym Jorku, gdzie posmakował emigranckiego chleba. Jego najbardziej znane powieści to „Awans", „Konopielka", „Nikiformy" (zbiór krótkich form), „Szczuropolacy", „Krfotok", „Transformejszen". Na podstawie jego powieści i scenariuszy nakręcono „150 na godzinę", „Awans", „Konopielkę", „Szczęśliwego Nowego Jorku", „Requiem".

Dwukrotny laureat Nagrody Dziennikarskiej im. Juliana Bruna, trzykrotny – Nagrody im. Stanisława Piętaka. Zdobył także Nagrodę Fundacji im. Kościelskich (1974), Nagrodę Literacką im. Wiesława Kazaneckiego (2003) oraz Nagrodę im. Jarosława Iwaszkiewicza za całokształt twórczości (2006).

Robert Walenciak

Pisał lirycznie, a potem publicystycznie, łapczywie. Po „Transformejszen", w roku 2004, w rozmowie na łamach PRZEGLĄDU z Ewą Likowską, trochę z tego powodu się kajał. – Na promocji „Krfotoku" publicznie przyrzekłem, że koniec z publicystyką – mówił. – Że wracam do tego, co lubię: liryki, metafizyki, innych wymiarów, UKF! Ale cóż… Widać, jestem nieuleczalnie wrażliwy na ciśnienie społeczne.

A po chwili z tego kajania nie zostawało nic, przechodził do ataku. – Któż ma rozpruwać stare mity, szukać prawdy i tworzyć… nowe mity – oby prawdziwsze – jak nie pisarze? – pytał. – Wszędzie dezorientacja! Pogoda dla demagogów! Z mitów – w mity, z fałszu – w fałsz! Mit Papieża, mit Solidarności, mit stanu wojennego, dwa mity – czarny i różowy – Polski Ludowej. We wspomnieniach jednego z najwybitniejszych bohaterów podziemia i Solidarności – dziś wielkiego autorytetu – przeczytałem parę lat temu, że gdyby w 1980 r. nie doszło do powstania Solidarności, żylibyśmy dziś w Polsce o wiele sprawiedliwszej i bogatszej, niż żyjemy. Czy nie warto by podyskutować nad taką „herezją"? Dla przewietrzenia głów? Oczywiście, warto. Warto, ale czy można? Nie! Zadziobią!

Taki był. Z genialnym zmysłem reportera, który ma słuch społeczny i słuch do ludzi. I z genialnym piórem, którym potrafił oddać piękno Taplar, tych z „Konopielki", i brzydotę nowojorskiego „subwaya", w którym mieszkali „Szczuropolacy".

Z wyczuciem momentu historycznego – gdy pokazywał odchodzącą do historii starą wioskę, z jej wierzeniami, wspólnotowością, albo sprywatyzowany PGR i apostołów nowoczesności. Jedni i drudzy mają tak samo poukładane w głowach, tylko zapełnionych czym innym. Albo gusłami, albo wiarą w moc postępu. Jedni i drudzy jednakowo prości.

•

Jego powieści to uchwycony moment zmiany.

„Konopielka"? Do żyjących od stuleci swoim rytmem Taplar przyjeżdża delegacja i przywozi zapowiedź elektryfikacji, melioracji, nauki pisania i czytania. I po co? Po co naruszać coś, co przez stulecia trwało? Jakże znajomo brzmią tamte dyskusje. Między tym, co jest, a tym, co nadchodzi.

„Towarzysz z powiatu powiada: na szkle rozkwitającego sie kraju wasze Taplary przedstawiajo sie jak wioska okropnie zacofanna. Zacofanna! (…) Tak dalej być nie może, obywatele! I sie patrzy nam po oczach, a my nic, cicho, nie wiadomo czego chce, czekamy, co dalej.

Aż Domin pytajo spod ściany: Zacofanna, to dobrze czy kiepsko?

(…) On aż głowo zakręcił i nuż o tym zacofaniu, co to, że zacofanna wioska, to taka dzie głod, smrod i zabobony. To nas ruszyło: Jak wam tu śmierdzi, krzyczo Szymon Kuśtyk zza plecow, to wolna droga, nikt was tu nie zapraszał, nikt nie trzyma!".

Widzimy więc: Taplary może i zacofane, może i na bagnach, ale swoją dumę mają. I swoje wiedzą. A co wiedzą? Kaziuk rozmawia z ojcem i nauczycielką, bo do wioski zjechali geodeci…

„Plany robio, tłumaczy ona: Muszo mieć plany wsi, gruntów i bagna.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl bbea4abf0d

Żeb podatkami obłożyć!

Tego nie wiem. Wiadomo tylko, że nie można zaczynać ni mejloracji, ni elektryfikacji bez planów. Niech sie pan nie boi, panie Kaziku, nikt nie bedzie pana krzywdził.

Ale w Bokinach przekopane?

I cóż z tego, więcej łąk będziecie mieli.

Więcej łąk i więcej złodziejstwa, ja na to, wszystkie tałatajstwo zacznie teraz nas plądrować!

A cóż wy tak boicie sie obcych. Ja też obca, a ukradłam co komu?

Pani nie, włączajo sie tatko. Ale inne?

Inni tacy sami.

Tu nie tylko o złodziejstwo idzie, mówio tato.

A czegóż jeszcze tak boicie sie?

A bandyctwo! Czy kiedy u nas kto człowieka zabił? A w miastach mordujo sie co dzień!

Ja za tatem obstaje: Żony mężow rzucajo! W Boga nie wierzo. Z ludziow mydło sie robi. Gospody, kurestwo, sodomagomora!".

•

Redliński miał szczęście. Takie, które zdarza się raz na kilkaset lat.

– Proszę zrozumieć, z czego wystartowałem, o czym marzyłem – mówił PRZEGLĄDOWI. – Więc wystartowałem z dna: z chłopskiego, beznadziejnego losu, z XIX-wiecznej nędzy i harówki. Moim marzeniem było wyrwać się z idiotyzmu szuflowania piachu i gnoju w chłopskim gospodarstwie. Szczytem moich marzeń były studia w Warszawie, kawalerka w bloku i czas na czytanie. Kiedy dostałem się do Studium Dziennikarskiego, a potem kiedy przyjęto mnie „na redaktora" w „Gazecie Białostockiej", nie wierzyłem, że to prawda. Wszystko, co się potem zdarzyło, wielokrotnie przewyższało moje marzenia. Stał się cud. Zostałem aż pisarzem! I to ogólnopolskim! Pisano o mnie prace magisterskie. Ba, znalazłem się w lekturach! Mnie czytają, jak ja kiedyś czytałem moich świętych: Prusa, Orzeszkową, Żeromskiego. To jest mój sukces.

Oni i setki tysięcy im podobnych trafili los na loterii pokoleń. Polska Ludowa otworzyła przed nimi szeroko drzwi. To dlatego mógł ze swojej wioski iść w świat.

•

Od czasu do czasu widywaliśmy Edwarda Redlińskiego w PRZEGLĄDZIE. Potrafił przychodzić dzień w dzień i poprawiać już wcześniej złożony wywiad. Bo zdanie brzmi nie tak. Bo zła melodia.

Poza tym chętniej słuchał, niż mówił. Nic dziwnego, że „Szczuropolaków" nazwał „podsłuchowiskiem".

„Szczuropolacy" to był przełom. Ciepły, uśmiechnięty, życzliwy dla ludzkich ułomności Redliński odszedł w cień. Jego miejsce zajął Redliński chłoszczący polskie mity.

Zaczął od mitu Ameryki.

•

A zaczął od niego, bo klasa ludowa, gdy wyszła ze swoich wiosek, ze swojej dawnej wiary, uwierzyła w nową – w Amerykę.

„W Polsce się myślało o tych, co przysyłają z Ameryki dolary, że pracują i żyją w dobrobycie, światowo... Że paniska – mówi jeden z lokatorów „subwaya", mieszkania dla pięciu. – Odwiedziłem paru znajomych, miałem adresy, telefony. Boże pomiłuj! Nory, brud, ciasnota, piwnice, po pięciu, po ośmiu, ten na sprzątaniu, tamten przy zmywaniu, inny bezrobotny! Każdy przestraszony, zakompleksiony, przygarbiony, ten podpity, tamten i bez wódki jak pijany. Szczur! Potem sam zacząłem szczurować, przyzwyczaiłem się i już mnie nie raziło. Stało się normalne...".

•

A to szczurowanie wygląda tak:

„Potejto, jak wróci z kościoła, zacznie gotować balangę. Na cały tydzień.

– Balangę?

– Paczka kurzych nóżek po zero sześćdziesiąt dziewięć funt, paczka skrzydełek, marchew, cebula, kapusta – garnek tego, wielki jak wiadro.

– I na tej balandze ciągnie?

– Balanga, jajka, chleb. Jajka tu tanie. Do roboty gotowane, a w domu jajecznica. Na skórkach i sznurkach.

– Czemu na sznurkach?

– Jak pójdzie do rzeźnika przed zamknięciem, tak za piętnaście siódma, to dadzą darmo, albo prawie darmo, różne ścinki. Z kiełbas, z boczku, z szynki, salcesonów. Ścinki, skórki, kostki, sznurki. A herbatę słodzi tylko z rana.

– On na dachach robi?

– Nie. W rzeźni, niedaleko, przy Szóstej Ulicy nad Rzeką. Na dwie zmiany. Od czwartej rano do ósmej wieczorem codziennie. Tylko spanie i robota. Przez trzy lata nie miał ani jednego dnia wolnego".

Tereska, zanim wyjdzie za mąż za Amerykanina kalekę, też będzie miała swoje ciężkie dni.

„– Tydzień zastępowałam jedną w piekarni, bo chorowała – zwierzała się Profesorowi. – Ale wyzdrowiała, i po robocie. My mieszkamy w osiem kobiet, kuchnia i dwa pokoje. To tylko o robocie gadamy. Latanie po agencjach, czytanie ogłoszeń, kolejka u Reginy.

Zaczął od mitu Ameryki, bo klasa ludowa, gdy wyszła ze swoich wiosek, ze swojej dawnej wiary, uwierzyła w nową – w Amerykę.

– Co za Regina?

– Taka pośredniczka, na Wilamsburgu. Baby ustawiają się od drugiej rano. W czwartek byłam o szóstej rano, to już ze czterdzieści kobiet stało na chodniku".

•

Redliński zaznał imigranckiego chleba, sam potem mówił, że gdyby nie wrócił z Ameryki do Polski, toby nie żył. I notował, że taka Ameryka zaczyna być przenoszona do Polski. „Transformejszen" o tym mówi. O kolejnej wielkiej zmianie.

•

Zaczyna się „Transformejszen" od wizyty reportera „Gazety Warszawskiej" w Pegerowie, w barze Bigos. I zaczyna się fatalnie, bo właściciel baru rozpoznał w nim autora pewnego reportażu sprzed paru lat…

„Schylił się i podniósł z pobocza kawałek skruszonego asfaltu.

– Czy to ja was prywatyzowałem?! – krzyknąłem.

– Ale od ciebie się zaczęło, od twego reportażu. „Jak uratować Befadywę"! – odwrzasnął.

eprasa.pl bbea4abf0d

– To był bardzo dobry reportaż! Dostałem nagrodę Stowarzyszenia!

– Bardzo dobry, szuju! I Złote Pióro od Ministra! Pamiętamy... Zjechało się potem tych cudotwórców! Sprrywaty-zowwali, wybawiciele! (…).

– Won! – Zamierzył się znowu. – Czego tu szukasz? Tam pojedź! Opisz! Dwa tysiące pracowało w Befadywie! Całe miasto z niej żyło! I to dobrze żyło! A dziś co?! Jakieś magazyny, przemytnicy, goryle – i czterdzieści procent bezrobocia, syf i nędza w mieście! Tam jedź, pismaku!".

Reporter uciekł przed rzucającym kamieniami, by później boleć nad jego niewdzięcznością i niezrozumieniem wielkiej zmiany.

„Ten gruby warchoł, rzucając kamieniem we mnie – rzucił przecież w autorów przebudowy: w Mazowieckiego, Kuronia, Balcerowicza... I w nasze zaangażowane dziennikarskie środowisko. Tak! Ten kamień uderzył nie tylko w moją goleń! Uderzył w pierś Witolda Gadomskiego! W wąs Jacka Żakowskiego! Trzasnął między brwi Moniki Olejnik! W skroń redaktora Wołka! W krawat Jerzego Baczyńskiego! W tułów Adama Michnika! W zęby Marka Króla! Rzucił w nas wszystkich, którzyśmy postawili na transformację, gospodarkę rynkową, kapitalizm z ludzką twarzą, Unię Europejską, NATO i walkę z terroryzmem. I świadom tego czy nie, zdeklarował się tym kamieniem jako sojusznik Urbana, Gadzinowskiego, Toeplitza, Stommy, Małachowskiego, Lipińskiej, Rolickiego, Kałużyńskiego i im podobnych sierot po socjalizmie!".

•

– Pisząc „Transformejszen", dobrze wiedziałem, co piszę i na którą półkę – mówił później PRZEGLĄDOWI. – Nie pisałem ponadczasowego arcydzieła. Chciałem napisać współczesną powieść polityczną. Interwencyjną.

Tak rozliczał 4 czerwca 1989 r. i to, co było później, słowami byłego dyrektora PGR: „Zaufałem im! Czwartego czerwca owego roku ja, członek partii, wbrew dyscyplinie partyjnej – zagłosowałem na nich. Jak większość narodu. Żeby poprawili socjalizm. Zostawili, co dobre, usunęli, co głupie i zgniłe. I po sylwestrze – obudziliśmy się. Po balu – z ręką w nocniku".

•

Redliński wiedział, co pisze, i my to wiemy – bo wcześniej napisał „Krfotok". To także powieść polityczna, ubrana w szaty political fiction; dzieje się w Polsce, w której nie było 13 grudnia, za to była interwencja wojsk rosyjskich i dwuletnia wojna.

Odłóżmy na bok historię równoległą, choć jest w powieści ważna, bo pobudza wyobraźnię i polityczne myślenie. Są w niej inne pytania i ten wielki spór – między Polską pańską a chłopską.

On co chwila wraca. Bo jest z jednej strony Roch, który wyszedł ze wsi („gdyby nie Polska Ludowa i socjalizm, pasałbym dziś krowy nad Narwią"), był budowlańcem w Warszawie, a z drugiej ojciec jego synowej, „ćwierćhrabia" Ako-Akalski.

Stawia Redliński pytanie, które później będzie stawiał wielokrotnie: dlaczego Solidarność przekształciła się w ruch tak destrukcyjny?

Oni są osią. Ako-Akalski jest dumny, że podczas interwencji rosyjskiej 60% Warszawy legło w gruzach (Kraków – 50%, Warszawa zawsze lepsza), że świat Polaków podziwiał… Roch żałował każdego zburzonego domu. Bo budował.

I stawia Redliński pytanie, które później będzie stawiał wielokrotnie: dlaczego Solidarność przekształciła się w ruch tak destrukcyjny? „Czym była Solidarność w listopadzie '81? Żywiołem. Lawiną. Bez organizacji, kierownictwa, dyscypliny. Bez programu i celu. Jej siłą była zdolność robienia chaosu. 10 milionów – ale kogo? Strajkowiczów, gadułów, leni, utopistów, rozrabiaczy… Solidarność – ale solidarność błędnych owiec, z beczącymi baranami na czele… ścigającymi się w obrażaniu władzy".

Zaraz też pojawia się kolejne pytanie: co się stało, że ta Polska, wyrosła z awansu społecznego, wyrosła z wiosek, porzuciła trzeźwe, chłopskie myślenie?

„Idzie mi o to – mówi Roch – że w Polsce Ludowej 20 procent narodu straciło. Ale 80 procent – zyskało! A mimo to 80 procent poszło za tymi 20-ma. Czemu?".

Patrzy więc na syna, który ożenił się z córką Ako-Akalskiego, i już wie. „Ty w pańskości się zakochałeś!". I woła: „Dlaczego mnie zdradziłeś?".

Rochowi w tym myśleniu sekunduje Zygmunt, syn Ako-Akalskiego, skłócony z ojcem politycznie, bo wiceminister. Zygmunt pyta: „Skąd w was tyle uległości? Pokolenia przeminęły. Dyplomy zdobywacie. Książki piszecie. A wciąż w was tyle uległości przed byle zadartym nosem".

Zygmunt też marzy. Że jednak stan wojenny miał miejsce 13 grudnia. Więc nie było rosyjskiej interwencji. I mówi:

„– Kupiłbym miednicę i ręcznik.

– I co? (Roch)

– Kupił pan miednicę i ręcznik… (ja) I?

– Kupiłem i idę do Urzędu Rady Ministrów, na wprost Łazienek. Albo do Białego Domu, w każdym razie tam, gdzie urzędują Jaruzelski i jego ekipa.

– I co?

– Znajduję Jaruzela (pauza) Proszę, by usiadł na krześle. I… (urywa)

– I co? (Roch)

– I klękam (pauza) I myję stopy… Jaruzelskiemu. Wycieram. I, tak, i… całuję. Za mądrość. I odwagę".

•

Taka to droga Redlińskiego. Od ludzi z Taplar, którzy mówili, że oni nie Polacy, tylko tutejsi. Którzy bali się nowego. Potem to nowe ich wessało, a oni nie za bardzo wiedzieli, czy to dobrze, czy źle, więc rzucani byli raz tu, raz tam. Raz wierzyli w awans, innym razem w Solidarność, jeszcze innym w Amerykę. Kule w maszynie losującej…

Najpierw reporter głaszczący nasze poczucie wyższości nad wioską z bagien, a potem pisarz polityczny, wołający, że 80% to więcej niż 20%. Więc dlaczego, narodzie uległeś? Synu, dlaczego mnie zdradziłeś?

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bbea4abf0d

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

W Europie zaraza

Sukces, jaki Nowy Front Ludowy odniósł we Francji 7 lipca, przestał mnie już ekscytować. Nie dlatego, bym był dyżurnym pesymistą, lecz dlatego, że do pesymizmu skłania rzeczywistość. Partia Le Penów (najpierw ojca, potem córki) systematycznie, od lat, zyskuje na popularności. Choć lokuje się dziś w Zgromadzeniu Narodowym na trzecim miejscu, jest jednak silniejsza niż kiedykolwiek. A w Parlamencie Europejskim już teraz stała się trzonem Patriotów dla Europy – grupy, w skład której wchodzą m.in. Fidesz Viktora Orbána, Vox Santiaga Abascala, Partia Wolności Geerta Wildersa czy Liga Mattea Salviniego. „Patrioci" są w Parlamencie Europejskim trzecią siłą, zdystansowali prawicowych Konserwatystów i Reformatorów, którym ton nadają Fratelli d'Italia (Bracia Włosi) Giorgii Meloni, a w których lokuje się też polskie PiS. Czy PiS bliżej do Meloni, czy do Orbána? To się okaże.

Identyczny wzrost prawicy występuje u polskich sąsiadów. Na Węgrzech Orbána „demokracja nieliberalna" już dawno się zakorzeniła (choć ostatnio jest kontestowana przez nowe ugrupowanie Pétera Magyara), na Słowacji Roberta Ficy dopiero co zakiełkowała na nowo. Rzec można: oś Budapeszt-Bratysława odtwarza Węgry w ich historycznym kształcie – czy takie skojarzenie rzeczywiście podoba się Słowakom? Tymczasem w Niemczech Alternative für Deutschland jeszcze wprawdzie nie rządzi, lecz i tu wyrasta na trzecią siłę. I oto kolejne pytanie: czy w Polsce uchronimy się od wiatrów z zachodu i południa? Ba, ale czy uchronimy się od wiatrów z północy i wschodu? Wszak graniczymy z krajami coraz mniej różniącymi się od despotii: na północy z Rosją, na wschodzie z Białorusią. Z sąsiadów Polski najmniej eurosceptycyzmu wykazuje Litwa, bo nawet Czechy mają ANO Andreja Babiša, które przystąpiło do „Patriotów".

Wszystko to dzieje się w czasie, gdy Ameryka zmierza do wygranej Donalda Trumpa. Jeśli nic się nie zmieni, człowiek głoszący hasła faszystowskie będzie przywódcą największej demokracji świata. Jak widać, dla milionów Amerykanów nie liczą się ani jego notoryczne kłamstwa, ani niegdysiejszy szturm jego zwolenników na Kapitol. Aby pokonać Le Pen, trzeba było zjednoczyć siły wobec siebie sprzeczne. Aby pokonać Trumpa, trzeba by było działań nadzwyczajnych. Na przykład takich, jakie proponuje Anne Applebaum. Czy do nich dojdzie – wolno wątpić.

Niech więc nas nie łudzi 7 lipca. Tak jak nie powinien łudzić ani 15 października, ani 9 czerwca, gdy Europejska Partia Ludowa otrzymała w Parlamencie Europejskim najsilniejszy mandat. „Widmo krąży po Europie"… widmo prawicy. Również w Polsce prawica – rozszczepiona na PiS i Konfederację – wykazuje tendencję zwyżkową. Natomiast koalicja rządząca, werbalnie antypisowska, wykazuje co najmniej niekonsekwencję.

Jak się bowiem okazuje, chce ona kontynuować flagowe projekty PiS. Takie jak budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego, o której wciąż jednak nie wiadomo, jakie względy – poza czysto politycznymi – za nią naprawdę przemawiają. I kwitnie pisowska polityka historyczna. Ma się ostać Muzeum Westerplatte, a przecież tu także powstaje pytanie, po co dublować Muzeum II Wojny Światowej, już istniejące w tymże Gdańsku. Gdy zaś usunięcie z tego muzeum paru fotografii wywołało histerię w rządzie, widać, że podjął on z PiS licytację na patriotyzm, co samo w sobie jest obrzydliwe. To prawda, że histerycznego amoku doznał najpierw wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz, lecz przecież premier Donald Tusk udzielił mu zaraz wsparcia, „nie stanął – by powtórzyć za Pawłem Machcewiczem – w obronie autonomii historii i kultury wobec świata polityki". Z kolei tydzień temu, 12 lipca, ludowcy udaremnili liberalizację prawa aborcyjnego: głosowali ramię w ramię z PiS. A już wcześniej cała koalicja dokonała znacznej podwyżki budżetu IPN: wykazała, że jest bardziej ipeenowska niż PiS.

Graniczymy z krajami coraz mniej różniącymi się od despotii: z Rosją i Białorusią. Z sąsiadów najmniej eurosceptycyzmu wykazuje Litwa, bo nawet Czechy mają ANO Babiša.

Przed śmielszymi poczynaniami powstrzymuje Tuska zapewne nieustanna chęć udowadniania własnego patriotyzmu. Co jednak znaczy, że pole konfliktu wyznacza nadal PiS. A może powstrzymuje Tuska jego solidarnościowy rodowód? No ale w jego koalicji jest też lewica… Niestety, zrezygnowała już z własnej polityki historycznej. W każdym razie nasza antypisowska władza zbyt często – nie w słowach, lecz w czynach – zbliża się do PiS. „Odbiera PiS tlen"… Czy po to, by samej się stać jak PiS?

W całym świecie wszystko jest dziś prawicą podszyte. Co będzie jutro, gdy przyjdzie Trump? Naszą nadzieją zawsze była Europa, lecz dziś i w Europie zaraza.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bbea4abf0d

Król bidoków

J.D. Vance wykiwał już chyba wszystkich w amerykańskiej polityce – ale musi uważać, żeby nie wykiwać też samego siebie

Ku przerażeniu demokratów Donald Trump i J.D. Vance mogą się okazać duetem doskonałym.

Mateusz Mazzini

Na początek odrobina prywaty, żeby czytelnicy mogli dobrze mnie zrozumieć. Ja też przeczytałem książkę Vance'a i przez długi czas byłem pod jej silnym wpływem. „Elegia dla bidoków" ukazała się w czerwcu 2016 r. i natychmiast stała się absolutnym hitem. Sprzedażowym oraz intelektualnym, co ma miejsce coraz rzadziej, zwłaszcza w przypadku autorów nieznanych i debiutujących. Świat wyglądał wtedy nieco inaczej niż teraz, na pewno jeśli patrzy się na niego z pozycji szeroko pojętego liberalizmu. Donald Trump coraz wyraźniej czołgał się po republikańską nominację prezydencką, żeby kilka miesięcy później pokonać Hillary Clinton w wyborach, które zdefiniowały politykę pierwszych dekad XXI w. Na początku, jeśli czytelnicy wybaczą tę wycieczkę w przeszłość, nikt Trumpa ani do końca nie rozumiał, ani nie brał na poważnie. Dopiero kiedy ten zmiótł z planszy Clinton, modelową kandydatkę liberalnych elit, stał się poważnym graczem i obiektem zaawansowanych badań czy diagnoz społecznych.

Podłoże

Wpisany w szerszy kontekst Trump nie był oczywiście aż takim odchyleniem od normy. W końcu chwilę wcześniej wydarzył się brexit, inny polityczny happening. Na Węgrzech szalał Viktor Orbán, a w Polsce trwał już demontaż instytucji państwowych pod szyldem Zjednoczonej Prawicy. Narendra Modi cementował swoje poparcie w Indiach, a Jair Bolsonaro właśnie wjeżdżał na autostradę po prezydenturę w Brazylii. Niby ta populistyczno-antyestablishmentowa rewolucja była wokół nas wszędzie, niby formacje sceptyczne wobec liberalnej demokracji pokonywały centrum atakami z lewa i z prawa, a jednak wciąż brakowało odpowiedzi na kluczowe pytanie: dlaczego?

W świecie nauk społecznych furorę robił wtedy artykuł Pippy Norris i Ronalda Ingleharta, naukowców z Uniwersytetu Harvarda. Dowodzili oni, że eksplozja poparcia dla populistów wzięła się z wybuchowej mieszanki marginalizacji ekonomicznej i poczucia wykluczenia kulturowego. Ludzie, którzy głosowali na Trumpa, europejskich antyliberałów czy torysów chcących rozwodu z Brukselą, przez lata odczuwali pogorszenie swojego statusu materialnego, głównie z powodu procesów związanych z globalizacją, takich jak automatyzacja produkcji, przenoszenie jej do Azji czy Ameryki Łacińskiej. Jednocześnie mieli wrażenie, że nie rozpoznają już świata, który ich otacza. Nie rozumieją i nie akceptują procesów społecznych uderzających w ich fundamenty kulturowe: sekularyzacji, zmiany modelu rodziny, emancypacji kobiet czy pełniejszego włączania mniejszości w życie społeczne. Cytując tytuł innej głośnej książki z tego okresu, popularnej również w Polsce monografii Arlie Russell Hochschild, stali się „Obcymi we własnym kraju".

Nie brakowało więc analiz tego, co działo się w rozwiniętych społeczeństwach. Co nie znaczy, że stało się to zrozumiałe, bo język analiz socjologicznych, nawet najbardziej przystępny, był wciąż wyłącznie zestawem skomplikowanych diagnoz, opatrzonych komentarzami o złożoności tych procesów. Naukowcy, zgodnie z podstawowymi zasadami

eprasa.pl bbea4abf0d

ich zawodu, zastrzegali, że mogą się mylić, a w różnych krajach przyczyny eksplozji populizmu mogą być diametralnie różne. Brakowało kogoś, kto powiedziałby światowej opinii publicznej, na czym naprawdę polegały te marginalizacje i wykluczenia. Ale w życiu codziennym, w zmaganiach z rzeczywistością, a nie na wykresach opatrzonych zdaniami długimi na kilkanaście linijek.

Człowiek z trójkąta

To właśnie zrobił J.D. Vance. Wziął się dosłownie znikąd i lepiej niż ktokolwiek przed nim (a może nawet ktokolwiek po nim) pokazał, kim są „przegrani globalizacji", „ofiary postmodernizmu" czy po prostu wyborcy antyestablishmentowi. Autobiograficzną książkę „Elegia dla bidoków" opublikował w wieku zaledwie 32 lat. I na pierwszy rzut oka może to szokować, bo cóż w tak krótkim życiu młodego Amerykanina mogło się wydarzyć, by dało się zapełnić kilkaset stron? Otóż wydarzyło się bardzo wiele, a opowieść Vance'a rezonowała z milionami osób na całym świecie, w tym z niżej podpisanym. Była właściwie zlepkiem stereotypów, dlatego tak bolała – bo były prawdziwe.

Dzieciństwo w Middletown, 50-tysięcznym mieście w zachodnim Ohio, gdzieś na środku trójkąta pomiędzy Cincinnati, Indianapolis i Columbus. Wokół rosnące bezrobocie, epidemia narkotyków, emigracja do innych części kraju. Mediana zarobków gospodarstwa domowego wynosi tu nieco ponad 42 tys. dol. rocznie, niespełna 60% analogicznej statystyki dla całego kraju. Nadziei właściwie nie ma na nic, poza relatywnie bezbolesną śmiercią z przedawkowania. Praca i perspektywy zniknęły kilkanaście lat temu wraz z zamknięciem miejscowej huty stali i coraz większą dezindustrializacją regionu.

W takich okolicznościach wypłynął J.D. Vance. Wyrzucony przez Amerykę poza nawias, wychowywany wraz z siostrą przez babcię, zmagający się od dzieciństwa z nałogami w rodzinie. Nieprzekonany do sensu edukacji, obwiniający cały świat o swoje nieszczęścia. Im był jednak starszy, tym więcej w jego życiu było Ameryki – łącznie z typowymi dla tego kraju dźwigniami awansu społecznego. Najpierw wojsko, które nauczyło go dyscypliny, wysłało na pierwsze studia, podreperowało zdrowie, zmotywowało i pokazało, że ma jakąkolwiek wartość. Potem odkrycie w sobie talentu, miłość, ślub, przeskok do innej klasy społecznej. Studia na Yale Law School, praca w korporacji. Ale po drodze masa zgrzytów, właśnie takich, o których pisali Norris i Inglehart: kulturowych i finansowych. Obawa o spłacenie długu po studiach. Brak bezpieczeństwa ekonomicznego. Wybuch płaczu i atak paniki w toalecie, kiedy Vance nie potrafił zachować się odpowiednio na kolacji rekrutacyjnej z szefami kancelarii prawniczych. Szok, gdy dziewczyna kupiła mu piżamę, bo przyzwyczajony był spać w podkoszulku, przekonany, że tak robi każdy mężczyzna na świecie. Bolesna świadomość, że tu nie pasuje, połączona z desperackim wręcz pragnieniem, by jednak odnieść sukces. Refren życia milionów – nie ma w tym stwierdzeniu przesady.

J.D. Vance wydawał się wtedy nie tylko diagnostą, ale i odtrutką. Nie ukrywał poglądów społecznie konserwatywnych, choć z „Hillbilly Elegy", dość niefortunnie przetłumaczonej na polski jako „Elegia dla bidoków", dało się odczytać, że z wieloma progresywnymi zmianami nie ma wcale problemu. Dzięki szczerości nie tylko dobrze ilustrował przyczyny dojścia Donalda Trumpa do władzy, ale też zdawał się oferować jakąś dla niego alternatywę. Inną, trochę idealistyczną formę republikanizmu, która mimo wszystko odwoływała się do wartości amerykańskiej państwowości, etosu pracy nad sobą, korzystania z szans ze strony instytucji publicznych. Mało tego, dawał jasno do zrozumienia, że Trumpa i trumpizmu nie akceptuje.

W głośnym eseju opublikowanym w 2016 r. na łamach magazynu „The Atlantic", o wiele mówiącym tytule „Opioidy dla mas", Vance określił ówczesnego kandydata na prezydenta mianem „nowego środka przeciwbólowego, który pokochali Amerykanie". „Obiecuje szybką ucieczkę od życiowych trosk, łatwe rozwiązanie coraz większych problemów amerykańskiej społeczności i amerykańskiej kultury, choć nie jest wcale w stanie ich naprawdę rozwiązać. Nie oczekuje od ciebie niczego, wymaga właściwie tylko ograniczonej obecności i kilku katalizatorów. Przechodzi do umysłu, ale nie przez żyły czy płuca, tylko przez oczy i uszy. Nazywa się Donald Trump".

Osiem lat później James David Vance, autor powyższych słów, zostaje ogłoszony przez Trumpa kandydatem na wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Co się stało po drodze?

J.D. Vance, bardziej od Trumpa oczytany i płynnie poruszający się po świecie doktryn politycznych, uzupełnia braki w podejściu byłego prezydenta do rzeczywistości.

Nic nie szło dobrze

Ben Carson, jeden z wiodących republikanów, powiedział niedawno w rozmowie z Johnem Hendricksonem z „The Atlantic", że to kwestia zmiany „opinii o Trumpie, a nie wartości Vance'a". Polityk, który w administracji byłego prezydenta pełnił funkcję sekretarza ds. budownictwa i rozwoju, tłumaczył, że w pierwszych latach politycznej aktywności, a więc zaraz po eksplozji popularności książki, J.D. Vance krytykował ówczesnego kandydata do prezydentury „nie na podstawie własnej wiedzy i doświadczeń, ale tego, co inni o Trumpie mu mówili".

To oczywiście niewykluczona, ale też niemożliwa do potwierdzenia interpretacja ewolucji politycznej 39-latka. Zdecydowanie bardziej przekonujący argument w sprawie zbliżenia obu polityków przedstawia Ian Ward z Politico. Na podstawie rozmów z samym Vance'em, ale także

FOT. AP/EAST NEWS, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl bbea4abf0d

analiz jego zachowania jako członka Senatu od 2022 r., Ward wskazuje, że tak naprawdę on i Trump różnili się na początku w kwestii metod, ale ideologicznie nigdy nie było im do siebie daleko. A dokładniej rzecz biorąc, Vance, zdecydowanie bardziej od Trumpa oczytany i płynnie poruszający się po świecie doktryn i teorii politycznych, uzupełnia braki w podejściu byłego prezydenta do rzeczywistości.

Trump, co powszechnie wiadomo, uprawiał politykę w sposób nie tylko chaotyczny, ale wręcz bezkształtny. Trudno zakwalifikować go jako tradycyjnego republikanina, bo niespecjalnie przywiązany jest chociażby do zasad wolnego handlu. Przez cztery lata swojej prezydentury najwięcej korzyści finansowych przyznał najbogatszym Amerykanom, choć to klasa ludowa wyniosła go do władzy w 2016 r. W polityce zagranicznej praktykował protekcjonizm głównie dlatego, że jest po prostu rasistą, nierozumiejącym, dlaczego Meksykanie mają realizować zamówienia, które kiedyś szły do firm w Michigan czy Ohio. Niechęć do multilateralizmu wynikała z kolei z ignorancji, braku wiedzy, jak działają sojusze i jak Ameryka na nich korzysta. Wyliczać te braki można by naprawdę długo.

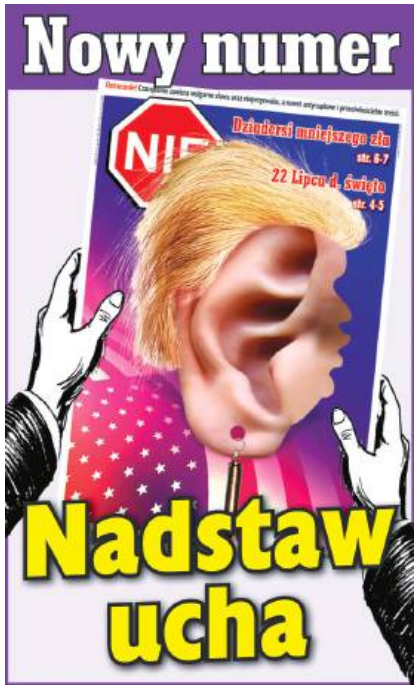

Vance natomiast łączy je w całość i uzasadnia. Dlatego, ku przerażeniu demokratów, może się okazać, że on i Trump to duet doskonały.

Punktem wyjścia do zrozumienia politycznej filozofii Vance'a – a także do rozłożenia na czynniki pierwsze jego transformacji – jest redefinicja słowa postęp. Jak powiedział Wardowi, najbardziej w Ameryce denerwuje go powszechne przekonanie, że w ostatnich latach wszystko poszło dobrze. A przynajmniej, że szło w dobrym kierunku. „Nie kupuję tego, bo wiem, że to nieprawda", mówił dwa lata temu. Dzisiaj te słowa podtrzymuje, zamienia nawet w slogan kampanijny. Jest głównym przedstawicielem amerykańskiej Nowej Prawicy – dynamicznie rozwijającego się trendu wewnątrz Partii Republikańskiej. W skrócie trend ten opiera się na silnym ekonomicznym nacjonalizmie i odrzuceniu wszystkiego, co przyszło do USA wraz z globalizacją gospodarczą ostatniego ćwierćwiecza. W wojnach kulturowych Nowa Prawica zajmuje pozycje konserwatywne, nawołując wręcz do kontrrewolucji. Vance i jego przyboczni mocno uderzają w amerykańskie elity, choć ten argument trzeba już zniuansować, żeby dobrze zrozumieć, o co im w tej krytyce chodzi.

Kandydat na wiceprezydenta jest niechętny masowej imigracji, wspiera społeczności chrześcijańskie, choć nie na nich chce opierać swój marsz po sukces.

Maszynka do przyciągania niezdecydowanych

W bardzo ważnym dla amerykańskiej debaty publicznej eseju z początku tego roku Evan Osnos, dziennikarz „New Yorkera", przeanalizował, co znaczy dzisiaj w USA słowo elita. A raczej, czy ma ono jeszcze jednolite znaczenie. Okazało się, że inaczej elity definiują (i tym samym gdzie indziej je widzą) republikanie, a inaczej demokraci. Dla tych pierwszych do społecznej czołówki należą ci, którzy narzucają Amerykanom gusta i swoją estetykę. Panują więc nad językiem, sposobem ubierania się, środkami masowego przekazu, formami relacji międzyludzkich.

Centrum i lewica widzi natomiast elitę wśród tych, którzy mają ogromne zasoby finansowe. Absolwentów prestiżowych uczelni, którzy potem zarabiają miliony na Wall Street i za pomocą tychże milionów decydują o losach kraju. Mówiąc, że jest „przeciwko elitom", J.D. Vance atakuje zatem właśnie pisarzy, dziennikarzy czy polityków, którzy trafili z kampusów Ligi Bluszczowej prosto do najważniejszych redakcji albo nawet na Kapitol. To, że sam pracował w funduszu inwestycyjnym, mając historię pracy w Dolinie Krzemowej i majątek wynoszący 10 mln dol., wcale nie musi oznaczać sprzeczności w jego światopoglądzie. Jego celem nie są ci sami ludzie, o których myślą jego polityczni przeciwnicy.

Vance jest bardzo niechętny masowej imigracji, wspiera społeczności chrześcijańskie, choć nie na nich – w przeciwieństwie do wielu republikanów starej daty – chce opierać swój polityczny marsz po sukces. Uważa, że rząd powinien być silny, choć zarazem daleki od wtrącania się w życie codzienne przeciętnego Amerykanina. W nieregulowanym wolnym handlu widzi raczej zagrożenie i źródło cierpienia słabiej wykształconych niż panaceum na problemy gospodarcze USA. Jest ekonomicznym populistą, a w polityce zagranicznej naczelnym izolacjonistą prawicy.

Europejska Rada ds. Stosunków Międzynarodowych (ECFR), przygotowując niedawno raport o wyzwaniach dla Europy w perspektywie powrotu Trumpa do władzy, uznała Vance'a za człowieka, który najbardziej ze wszystkich polityków ze ścisłego kręgu eksprezydenta sprzeciwia się zaangażowaniu w konflikty

eprasa.pl bbea4abf0d

Po postrzeleniu Trumpa poparcie dla niego jeszcze wzrosło.

zagraniczne. Już jako senator budował szeroką koalicję próbującą zablokować ostatni pakiet pomocowy dla Ukrainy w Kongresie. Z kolei europejska odsłona Politico pisała o nim jako o polityku „mającym alergię na Europę". O ile Trump nie lubi NATO, o tyle Vance żywi wobec Sojuszu uczucia jeszcze bardziej negatywne. Wiodąca rola Ameryki w świecie, czyli coś, wokół czego istniał w tym kraju ponadpartyjny konsensus przez prawie 100 lat, dla niego nie ma żadnego znaczenia. Co to oznacza dla Ukrainy i Europy, nie trzeba tłumaczyć.

J.D. Vance sam przyznaje, że najbardziej komfortowo czuje się w małym gronie dyskutantów skupionych na rozmowach o ideach. Dlatego budowanie swojego wizerunku publicznego zaczął właśnie od takich aren – Aspen Ideas Festival, TED Talks. Na wielkich wiecach nie czuje się najlepiej, co może być przeszkodą w trwającej teraz kampanii, ale niczego nie wywróci do góry nogami. Jego rolą nie będzie bowiem mobilizowanie tłumów, tylko raczej bezpośrednia interakcja z wyborcami w bardziej intymnych sytuacjach. Republikanie liczą, że przyciągnie on do Trumpa osoby, które albo w ogóle nie zamierzały brać udziału w wyborach, albo są tradycyjnie przywiązane do Partii Demokratycznej jako ugrupowania niższych warstw społecznych czy pracowników sektora przemysłowego. Pomóc w tym ma jego opowieść rodzinna z Ohio, a więc historia, z którą utożsamiać się mogą miliony w tzw. Pasie Rdzy – północno-zachodniej części USA, wykrwawiającej się ekonomicznie i społecznie z powodu strat poniesionych w złotej erze globalizacji.

Ulubieniec Doliny Krzemowej

Jednak najciekawszym elementem politycznej wizji Ameryki według Vance'a jest jego stosunek do nowych technologii i środowiska Doliny Krzemowej – bo tu jakieś sprzeczności wreszcie się uwidaczniają. Z jednej strony, domaga się podzielenia gigantów technologicznych, z Google'em na czele, na mniejsze części. Otwarcie przyznaje, że administracja Joego Bidena wykonywała na tym odcinku dobrą robotę. Chwali Linę Khan, obecną szefową Federalnej Komisji ds. Handlu. Z drugiej zaś strony, chciałby poluzować regulacje dotyczące kryptowalut, zgodnie ze swoją doktryną ekonomicznego populizmu domaga się też pełnowymiarowej wojny celno-przemysłowej z Chinami, największym jego zdaniem zagrożeniem dla bezpieczeństwa technologicznego i gospodarczego USA. Liderzy Doliny Krzemowej kochają go jeszcze bardziej niż Trumpa, głównie dlatego, że ich ideologię niczym nieograniczonego postępu technologicznego wprowadził do głównego nurtu w Senacie. Patronem Vance'a jest zresztą Peter Thiel, założyciel PayPala, jeden z najważniejszych amerykańskich przedsiębiorców XXI w.

Przy rosnących szansach Trumpa na wygraną w listopadzie J.D. Vance'owi trzeba się przyglądać już bardzo dokładnie. Głównie dlatego, że Partia Republikańska to teraz jego partia, jak napisał w trakcie konwencji republikanów Stuart Stevens na łamach „The Atlantic". To właśnie Vance jest jej przyszłością i prawdopodobnie jego w roli delfina widzi sam Donald Trump, choć zaraz może go uznać za rywala, a wtedy będzie próbował utopić młodego polityka w łyżce wody.

Liberałowie próbują go jeszcze zohydzić niezdecydowanym wyborcom, ale Vance jest już nową gwiazdą całej amerykańskiej polityki. A jeszcze osiem lat temu stał dokładnie na jej przeciwległym biegunie, został całkowicie zepchnięty na margines debaty publicznej. Jego dzisiejsi zwolennicy chcą nawet zrobić z tego atut, pokazać otwartość intelektualną Vance'a, zdolność do przejścia na inne pozycje. Robią to skutecznie, a skupieni na walce z uporem Joego Bidena demokraci nie mogą nawet marzyć o adekwatnej odpowiedzi na nowego kandydata na wiceprezydenta.

Już w trakcie konwencji w Milwaukee „New Yorker" opublikował rysunek satyryczny, który przedstawia Vance'a rozmawiającego przez telefon z Trumpem: „Przepraszam, że nazwałem pana amerykańską wersją Adolfa Hitlera. Cieszę się jednocześnie, że uznał pan to za komplement". Problemem Ameryki w tej chwili jest niestety fakt, że satyra, choć wciąż momentami zabawna, zaczyna coraz bardziej pokrywać się z rzeczywistością. Zaraz nikomu nie będzie już do śmiechu.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bbea4abf0d

To nie turystyka, to inwazja

Airbnb i inne portale turystyczne pod lupą

Zuzanna Muszyńska

Dla turystów przesiadujących w knajpach na barcelońskim deptaku Las Ramblas pierwsza sobota lipca okazała się niezbyt przyjemna – mieszkańcy opryskiwali ich z pistoletów na wodę. Można się spierać, czy protestujący przeciw masowej turystyce barcelończycy posunęli się za daleko, należy jednak pamiętać, że przez niespełna dwumilionowe miasto przewija się rocznie 30 mln gości.

W tym roku znów będziemy bić rekordy – według prognoz Światowej Rady ds. Podróży i Turystyki (WTTC) globalny wkład gospodarczy sektora podróży i turystyki osiągnie najwyższy w historii poziom 11,1 bln dol. Światowe atrakcje najedzie armia korzystających z portalu wynajmu wakacyjnych mieszkań Airbnb – w ubiegłym roku było to 1,5 mld osób. Można się spodziewać, że i ten rekord zostanie pobity, zanim protestujący cokolwiek zdziałają. Zareagować musiała UE, która właśnie dostarczyła europejskim miastom amunicji do „ucywilizowania" zasad najmu krótkoterminowego.

Miasta walczą

Hiszpania szczególnie odczuwa zmiany wywołane turystyką. Olbrzymie dochody z branży i wiele miejsc pracy przestają cieszyć, gdy dochodzi do zniszczenia przestrzeni miejskiej, a przede wszystkim rynku mieszkaniowego. Szczególnie boleśnie doświadcza tych zjawisk stolica Katalonii. Władze ciężko pracowały, by z podupadłego miasta portowego uczynić godnego gospodarza igrzysk olimpijskich w 1992 r., a później nie zaprzepaścić sukcesu. Nacisk na promocję bez żadnych regulacji okazał się jednak zgubny dla mieszkańców, do tego kryzys finansowy z 2008 r. sprawił, że 400 tys. osób wylądowało na bruku. W ciągu ostatniej dekady czynsze wzrosły o 70%. Zarabiający 1 tys. euro miesięcznie barcelończyk jest bez szans w starciu z klientem Airbnb. Musi też mierzyć się z renomą miasta jako centrum technologicznego, do którego ciągną rzesze zagranicznych, dobrze zarabiających pracowników. Burmistrz Barcelony ma plan wyeliminowania najmu krótkoterminowego – nie zamierza odnawiać żadnej z 10 tys. licencji turystycznych na wynajem, które wygasną do końca 2028 r. Z nowo utworzonego ministerstwa ds. mieszkalnictwa również płyną zapowiedzi interwencji na rynku mieszkaniowym w zależności od regionu, by nie zaburzyć dynamiki branży turystycznej.

W Portugalii pakiet ratowania mieszkalnictwa wart 900 mln euro ogłosił premier António Costa. W przypadku zamiany nieruchomości w lokal dla miejscowych, jej właściciel może liczyć na korzyści podatkowe lub może wynająć ją państwu na okres pięciu lat. Wydawanie nowych licencji na lokale Airbnb ograniczono do mniej zaludnionych obszarów wiejskich. Zakończono także program „złotych wiz" dla obywateli spoza UE, który od 2012 r.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl bbea4abf0d

Protest mieszkańców Barcelony przeciw masowej turystyce podczas wystawy samochodów wyścigowych Formuły 1, 19 czerwca 2024 r.

przyciągnął 6,8 mld euro inwestycji, głównie w sektorze nieruchomości. Mieszkania w Lizbonie wykupili bogaci Chińczycy. Czynsze w stolicy wzrosły średnio o 37%, tymczasem Agencja Reutera wyliczyła, że w 2022 r. ponad połowa zatrudnionych w Portugalii zarabiała mniej niż 1 tys. euro miesięcznie.

Jako pierwszy w Europie walkę z Airbnb zaczął Berlin. Między 2012 i 2013 r. ceny najmu w stolicy Niemiec wzrosły o 8%, na co władze miasta zareagowały całkowitą blokadą Airbnb. Po czterech latach platforma wróciła na zmienionych zasadach, wprowadzono m.in. zakaz niezgodnego z przeznaczeniem wynajmu nieruchomości. Przez osiem lat miasto toczyło spór sądowy o budynek w centrum, gdzie 27 zwykłych mieszkań przekształcono w 37 kwater wakacyjnych, w cenach od 200 euro do nawet 3-4 tys. euro za noc. Berlin wygrał i jest to zła wiadomość dla Airbnb, gdyż tysiące mieszkań mogą trafić z powrotem na rynek najmu długoterminowego. Ponad 80% berlińczyków to najemcy.

W Wielkiej Brytanii na wybrzeżu kornwalijskim kryzys mieszkaniowy pogłębiła pandemia – drastyczny wzrost cen nieruchomości (między 2020 a 2021 r. średnio o 100 tys. funtów) sprawił, że niektórzy wystawili domy na sprzedaż, licząc na szybki zysk, inni wyrzucali najemców i wystawiali lokale na Airbnb. W oblężonej przez uciekinierów z miast Kornwalii koszt wynajmu mieszkania na tydzień sięgał w sezonie 8 tys. funtów. Lokalsi lądowali na kempingach, a rzeczy osobiste trzymali w samochodach.

Doskonałą ilustrację problemów mieszkaniowych stanowi też Londyn – co czwarta osoba po opłaceniu kosztów mieszkania skazana jest tu na życie w ubóstwie. Na stronach Airbnb znajdują się oferty ponad 80 tys. lokali. Magazyn „Wired" ujawnił oszustwo nazwane „przejęciem Londynu przez Airbnb". Gospodarze, udając zwykłych ludzi, ukrywali się pod fałszywymi tożsamościami, fałszywi goście pisali fałszywe recenzje, a budynki zamieniano w quasi-hotele sieci Airbnb. Nieruchomościami zarządzano z centrów telefonicznych na Filipinach. Miasto zaś tłumaczyło się, że brakuje mu inspektorów do zwalczania problemów z najmem krótkoterminowym.

Za Atlantykiem nie wygląda to lepiej: premier Kolumbii Brytyjskiej David Eby, zapowiadając nową politykę dotyczącą krótkoterminówek, upomniał inwestorów, że przy każdej transakcji zakupu lokalu na wynajem turystyczny z ich dolarami przegrywa rodzina z dziećmi. Nowy Jork wprowadził jesienią 2023 r. zakaz krótkoterminówek bez uprzedniej rejestracji w ratuszu oraz nakaz obecności właściciela lokalu podczas wizyty gości (maksymalnie dwie osoby). Skorzystały na tym głównie… kwatery Airbnb w New Jersey i Connecticut oraz nowojorskie hotele, w których ceny poszybowały do 300 dolarów za noc.

W niektórych dzielnicach Aten 80% mieszkań to kwatery Airbnb.

Na rynek najmu krótkoterminowego oddziałują też wydarzenia sportowe, o czym można teraz się przekonać na przykładzie Paryża, który i tak należy do najdroższych miast na świecie. Ceny nieruchomości rosną czterokrotnie szybciej niż dochody gospodarstw domowych, mieszkania wykupują więc fundusze inwestycyjne. Stolicę Francji nękają plagi typowe dla metropolii w nowym milenium – bezdomność, niskie standardy mieszkaniowe, pustostany i krótkoterminówki. Po wejściu Airbnb na rynek paryski z sektora najmu długoterminowego zniknęło 20 tys. mieszkań. Najnowsze regulacje rynku najmu krótkoterminowego – limit pobytu do 90 dni w roku, nakaz rejestracji w ratuszu – obejmą całą Francję, ale dopiero po igrzyskach. Tymczasem dwupokojowe mieszkanka w Paryżu „chodzą" po 10,5 tys. euro za noc podczas igrzysk, których jednym ze sponsorów jest… Airbnb. 20 społeczności, m.in. Paryża i Marsylii, połączyło siły, by wywrzeć nacisk na rząd, sprzeciwiając się temu, co określiły jako „zarazę" zakłócającą życie w ich miastach – bezskutecznie. Airbnb ma 800 tys. ofert zakwaterowania we Francji, z tego 22 tys. w Paryżu. W czasie olimpiady liczba ta wzrośnie do 100 tys. Mer Paryża Anne Hidalgo, krytyczka amerykańskiej firmy, po ogłoszeniu umowy sponsorskiej napisała do prezydenta MKOl, aby ostrzec go przed konsekwencjami dziewięcioletniej umowy opiewającej na pół miliarda dolarów. Zadeklarowała także determinację w kontrolowaniu przestrzegania przepisów przez platformę.

Gigant z San Francisco

W 2008 r. dwaj koledzy ze szkolnej ławy, Brian Chesky i Joe Gebbia, wynajęli mieszkanie w San Francisco, ale nie starczało im na czynsz. Brian wpadł na pomysł, żeby odstąpić za drobną opłatę kawałek podłogi uczestnikom branżowej konferencji. Trzy dmuchane materace, biurko, wi-fi, śniadanie – tak zaczynało Air Bed & Breakfast. Wkrótce do kolegów dołączył Nathan Blecharczyk. Powstała strona internetowa z ogłoszeniami prywatnych kwater dla ludzi, których nie stać na hotele – archetypowy przykład ekonomii współdzielenia, opartej na idei bezinteresownej wymiany usług i dóbr. Portal pobierał niewielki procent od każdej transakcji. Z czasem z oferty zniknęły materace i śniadania, pierwsze niewygodne dla gości, drugie kłopotliwe dla gospodarzy. W 2011 r. Airbnb działało już w 89 krajach i świętowało pierwszy milion zarezerwowanych noclegów. Badania mówią, że zyski branży hotelarskiej w USA od momentu powstania Airbnb spadły o 8-10%.

Podczas pandemii przychody portalu skurczyły się aż o 72% rok do roku. Firma zwolniła jedną czwartą pracowników, prawie 2 tys. osób. I zaraz po pierwszym lockdownie zrealizowała plan debiutu na giełdzie, w spektakularnym stylu zgarniając z rynku 3,5 mld dol. Brian Chesky zapowiadał nową popandemiczną rzeczywistość: wyjazdy w mniej

eprasa.pl bbea4abf0d

popularne miejsca, spanie w jurtach i w jaskiniach. Ale szybko zapomniano o ekologicznych rozwiązaniach i poszanowaniu dla lokalnych społeczności. Miasta na powrót po brzegi zapełniły się turystami.

Airbnb ciężko walczy o dobre imię. Ma nawet jednostkę specjalną do wyciszania problemów – to kilkaset tysięcy zdarzeń rocznie, najczęściej drobnych wykroczeń, takich jak niszczenie mienia, ale zdarzają się pobicia, gwałty, zabójstwa. Jedna z głośniejszych spraw dotyczyła zgwałcenia australijskiej turystki po użyciu duplikatu klucza w obiekcie Airbnb – kobiecie zapłacono podobno 7 mln dol. Dziś mieszkania Airbnb są zamykane cyfrowo, po każdym gościu następuje zmiana kodu.

Airbnb.org, charytatywna odnoga firmy, pomaga ofiarom trzęsień ziemi, huraganów, pożarów, jak również uchodźcom, m.in. z Ukrainy czy Afganistanu. Pobyty są finansowane z darowizn, gospodarze oferują miejsca za darmo lub ze zniżką. Tego rodzaju pomocy od 2012 r. udzielono już 300 tys. ludzi w potrzebie na całym świecie.

Największy problem Airbnb to brak transparentności i niezapłacone podatki. Jako firma konkurencyjna dla branży hotelarskiej powinna podlegać temu samemu systemowi podatkowemu co hotele. Tymczasem Ubera czy Airbnb uznaje się za firmy „innowacyjne". Dodatkowo Airbnb płaci niższe podatki korporacyjne, operując z siedziby głównej w Irlandii, podobnie jak inne duże platformy technologiczne.

W bataliach podatkowych Airbnb stosuje brudne chwyty, wbrew zapewnieniom, że „chce płacić". A wyroki sądów bywają bolesne. Włoski wymiar sprawiedliwości nakazał konfiskatę 770 mln euro od Airbnb. Zgodnie z przepisami najem krótkoterminowy we Włoszech jest obłożony 21% daniny. Firmie nie udało się pobrać od właścicieli ok. 3,7 mld euro podatku od przychodów z najmu za lata 2017-2021; pytanie o podatek od najmu skierowała do TSUE. Trybunał nakazał spółce spłatę zaległych zobowiązań. Ta ich nie uregulowała, więc doszło do zajęcia środków.

Wydaje się jednak, że nie sądy, lecz mieszkańcy oblężonych miast mogą zadać gigantowi z San Francisco decydujący cios. W niektórych dzielnicach Aten 80% mieszkań to kwatery Airbnb. Na murach pojawiło się graffiti: „Turyści, cieszcie się pobytem na cmentarzu Europy". Z kolei na ulice Andaluzji wyszły tysiące osób pod hasłami „Airbnb to nie turystyka, to inwazja" czy „Pensja 1300, czynsz 1100 – jak mamy żyć?". Garaż bez okien w Maladze można wynająć jako mieszkanie za 600 euro miesięcznie. Na domach umieszczono naklejki: „Tutaj żyła rodzina". W ubogiej madryckiej dzielnicy Lavapiés, pełnej kwater Airbnb, pojawiły się napisy: „F*ck Airbnb". „Jeden turysta więcej to jeden sąsiad mniej", skandowali protestujący w Kadyksie.

W ubiegłym roku w dzielnicy Old Montreal siedem osób zginęło w pożarze budynku, w którym większość mieszkań wynajmowano na Airbnb bez licencji. Władze miasta po tragedii wprowadziły więcej regulacji, ale protestujący zarzucają im, że robią za mało, by egzekwować prawo. Na antypodach protestują mieszkańcy Gór Błękitnych pod Sydney, chcą ograniczeń wynajmu krótkoterminowego. Podkreślają, że młodzież nie widzi dla siebie przyszłości w regionie, a osoby starsze zmagają się z kosztami życia nie do udźwignięcia.

Ale to właśnie milenialsi stanowią globalnie 60% klientów Airbnb. Wygląda na to, że na razie czują się jego beneficjentami, ofiarami zaś mogą się stać, jak tylko zrobią krok ku samodzielności.

I nie, nie wszyscy się skarżą. W Edynburgu, gdzie już sześć lat temu protestowano w odpowiedzi na bum Airbnb, słychać głosy wsparcia dla platformy, a sprzeciwu wobec nadmiernie uproszczonego podejścia miast do problemu krótkoterminówek. W zaniedbanych częściach stolicy Szkocji, gdzie mieszkania od dawna nie służyły rezydentom długoterminowym ze względu na zły stan techniczny, coś się poprawia dzięki turystom. Podobnie jest w Lizbonie, gdzie za pieniądze z najmu turystycznego zaczęto odnawiać wnętrza. Zresztą Airbnb właśnie nagłaśnia nowy typ kwater – „historyczne domy", który pozwoli gościom zatrzymać się w ponad 52 tys. zabytkowych obiektów w 10 krajach Europy (w tym w Polsce), a gospodarze zdobędą fundusze na renowację.

Garaż bez okien w Maladze można wynająć jako mieszkanie za 600 euro miesięcznie.

„Jeden turysta więcej to jeden sąsiad mniej", skandowali protestujący w Kadyksie.

Turystyfikacja po polsku

Kraków ma więcej lokali najmu krótkoterminowego na mieszkańca niż Barcelona – 9 na 1 tys. osób. W latach 2014-2017 liczba mieszkań oferowanych krótkoterminowo wzrosła w stolicy Małopolski o 100% (Eurocities). Miasto podpisało porozumienie z Airbnb, pierwsze tego typu w Europie Środkowo-Wschodniej – o wymianie danych dotyczących podróży, edukacji gospodarzy i gości oraz promocji Krakowa. Mieszkańcy są przeciw tzw. turystyfikacji, która zmienia Rynek Główny, Kazimierz i Podgórze w lunaparki.

Polskie miasta od lat walczą o prawo do samodzielnego regulowania rynku najmu krótkoterminowego, w czym wiodą prym Kraków i Sopot. Z drugiej strony wiele gmin chciałoby mieć problem z nadmiarem turystów. Polacy zresztą sami chętnie podróżują po swoim kraju i korzystają z pośrednictwa Airbnb. Średnio polski gospodarz dzieli się swoim miejscem przez 23 dni w roku, jak wynika z danych portalu.

Warszawę dotykają problemy typowe dla metropolii: pustostany, osoby w kryzysie bezdomności,

eprasa.pl bbea4abf0d

niedobór mieszkań komunalnych. Według raportu naukowców z Uniwersytetu Warszawskiego z 2019 r., który zamówił urząd miasta, w dzielnicach, w których szybciej wzrosła gęstość Airbnb, bardziej wzrosły ceny, a większość ofert w stolicy kontrolowali „profesjonalni" gospodarze, zarządzający czterema lub więcej ofertami.

I tak jest do dziś: w polskiej części Airbnb i Booking rządzą firmy dysponujące kilkuset mieszkaniami w danym mieście. W przypadku zastojów w sprzedaży deweloperzy od razu przeznaczają część lokali pod najem krótkoterminowy. Co trzecie mieszkanie trafia z rynku pierwotnego pod inwestycje.

Od połowy maja obowiązuje unijne rozporządzenie nakładające na kraje Wspólnoty obowiązek stworzenia ogólnokrajowych baz noclegowych. Bez numeru rejestracyjnego z bazy wynajmujący nie wystawią oferty. Polska ma dwa lata na pełne wdrożenie uregulowań. Serwis Prawo.pl podał, że 60% obiektów (czyli ok. 50 tys. z 85 tys.) zarejestrowanych na platformach rezerwacyjnych w kraju działa nie do końca legalnie. Od 1 lipca platformy takie jak Airbnb mają obowiązek przekazywać fiskusowi dane o wynajmujących. Krajowa Administracja Skarbowa rusza z kontrolami – będzie sprawdzać, czy gospodarze płacą należne podatki. Kontrole obejmą pięć lat wstecz.

Airbnb przyjęło unijne regulacje jak zwykle „z zadowoleniem". Zadowolone są miasta, które już w 2020 r. zawarły sojusz Eurocities – wśród nich Kraków oraz Warszawa – i poprosiły Komisję Europejską o przygotowanie ramowego prawa pozwalającego w jednolity sposób regulować zasady prowadzenia najmu krótkoterminowego.

Kto jest winien temu, że Barcelona dusi się własnym sukcesem? Brytyjski portal Responsible Travel, poświęcony zrównoważonej turystyce, za główną przyczynę rozwoju turystyki masowej uważa wykładniczy wzrost liczby pasażerów podróżujących samolotami i wycieczkowcami. To stan nadzwyczajny o zasięgu globalnym i dalekosiężnych, potencjalnie destrukcyjnych skutkach. Tanie latanie zawdzięczamy ogromnym ulgom dla sektora lotniczego (w samej Wielkiej Brytanii dotacje szacuje się na 9 mld funtów rocznie); czytamy o podróżach w trybie „10 najlepszych", nigdy „10 najgorszych"; odwiedzamy te same miejsca o tej samej porze roku, robiąc kilkusetosobowy tłum w małych miejscowościach lub najeżdżając milionami duże.

Na liście grzechów widnieje też plaga apartamentów wakacyjnych i ich wpływ na inflację cen nieruchomości. Plus demografia. Chińczycy są numerem jeden turystyki międzynarodowej, mimo że tylko 6% populacji ma paszport. Kiedy pokolenie wyżu demograficznego osiągnie wiek emerytalny, presja na przesycone kierunki wzrośnie. Bez lepszego zarządzania turystyką zabijemy cele podróży. Jeśli branża nie stanie się zrównoważona, w końcu nie będzie mieć produktu na sprzedaż.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bbea4abf0d

Moja jedenastka turnieju

Euro 2024 skończyło się doskonale – zwyciężyła drużyna grająca najpiękniej i najskuteczniej

Wojciech Kuczok

Spośród argumentów na rzecz uznania turnieju za udany koronnym wydaje mi się ten dotyczący puenty, podobnie rzecz ma się zresztą z krótką formą literacką, a wedle aforyzmu pierwszego macho polskiej socjaldemokracji tyczy się to także kwestii męskości – wszystko zależy od tego, jak kto kończy.

Otóż Euro 2024 skończyło się doskonale – zwyciężyła drużyna grająca najpiękniej i najskuteczniej. Hiszpania wystawała jakością ponad resztę uczestników tak, że nawet oko laika błyszczało z zadowolenia, bo wystarczyło poprzyglądać się przez kilka minut La Furia Roja, by umieć wytypować prawidłowy wynik meczu.

Przepaść między reprezentacją Hiszpanii a pozostałymi uczestnikami łatwiej zrozumieć, jeśli sporządzimy tabelę punktową zakończonych mistrzostw: triumfatorzy wygrali wszystkie siedem spotkań, podczas gdy drugi finalista – ekipa angielska – tylko trzy razy. W bramkach też różnica miażdżąca: Hiszpanie trafiali 15 razy, Anglicy ośmiokrotnie. Zanim jednak udało się podopiecznym Luisa de la Fuente sięgnąć po rekordowy, czwarty tytuł, musieli trochę się pomęczyć w finale, przez pierwsze 45 minut męczącym także dla widowni. Dariusz Szpakowski w pierwszej połowie narzekał, że mecz nie chce się otworzyć – zaiste, fachowcy od otwierania wzięli się do roboty dopiero po przerwie, kolejna genialna asysta Yamala skazała Nico Williamsa na sukces. Anglicy musieli zacząć grać, zrobiło się ciekawie i żwawo, aż po ostatnie chwile i kluczową interwencję Daniego Olma, wybijającego z linii piłkę nieuchronnie zmierzającą do… dogrywki. Meczbole w ostatnich momentach były specjalnością tych mistrzostw, Anglicy dwa razy zabijali nadzieje rywali w samych końcówkach, tym razem jednak trafili na drużynę idealnie zbalansowaną.

Coś w tym jest, że w pojedynkach równorzędnych rywali zawsze ostatnie chwile pachną aferą – drużyna przegrywająca gra va banque, mobilizuje się po raz ostatni i wywołuje niejaką panikę w szeregach rywali. Ten, który goni, jest w lepszej sytuacji psychologicznej od tego, który ucieka. To goniący może (musi) sobie pozwolić na szaleństwo, tymczasem broniący się powinien zachować zimną krew w obliczu desperata. Hiszpanie wytrzymali presję, obronili wynik i przy okazji zwolnili Garetha Southgate'a. Choć może trener Anglików i tak by odszedł, wszak osiem lat na selekcjonerskim stołku to kadencja bardzo długa, mogło mu się znudzić, mimo że został najbardziej utytułowanym coachem reprezentacji Albionu (dwa wicemistrzostwa Europy, półfinał mundialu, brąz Ligi Narodów). Alf Ramsey, jedyny, który przed laty powiódł wyspiarzy do wygrania mistrzostwa świata, za sprawą orłów Górskiego odchodził w niesławie po meczu na Wembley. Southgate odchodzi ze srebrnym medalem na szyi, choć wiadomo, że dla Anglii drugie miejsce zawsze będzie porażką. Wymyślili piłkę nie po to, żeby wygrywali inni (aż do 1950 r. odmawiali z tej przyczyny udziału w mundialach, ich „najlepszość" nie mogła zostać zweryfikowana na boisku). Southgate na Euro wykazał się najlepszą intuicją, nie bał się zmieniać liderów, wprowadzani rezerwowi strzelali gole (także w finale), rotował składem, dostosowywał taktykę do przeciwnika. O ile sukces Hiszpanów będziemy kojarzyć z genialnymi młokosami i ich improwizacją, o tyle Anglia zawdzięcza finał trenerowi. Rozumiem jednak, że skoro przegrali drugi finał z rzędu – przejęli tę specjalność od Holendrów – to musi boleć.

Wpiszą się te mistrzostwa do annałów również za sprawą bezkrólewia strzelców. Żaden piłkarz nie ustrzelił w meczu nawet dubletu. Nikt nie strzelił więcej niż trzech goli. Ostatnio taka sytuacja miała miejsce w 1992 r., ale wtedy najlepsi strzelcy mieli do rozegrania maksymalnie pięć meczów, a teraz siedem. O czym świadczy ten wynik? Być może to ostateczny dowód na koniec ery klasycznych „dziewiątek". Futbol rozwija się w stronę wielozadaniowości i wszechstronności piłkarzy. Gole strzelają stoperzy, napastnicy wyręczają bramkarzy, boczni obrońcy stają się skrzydłowymi. Mieliśmy też rekord goli „nieczystych" – samobójów i rykoszetów, co mogłoby świadczyć, że tym turniejem rządził chaos. Spośród półfinalistów tylko Anglicy nie strzelili sobie ani jednej bramki samobójczej. Grali piłkę najbardziej uporządkowaną, ale tym razem sztuka wygrała z rzemiosłem, porządek nie okazał się wartością premiowaną najwyżej, do końcowego sukcesu potrzebne były ferwor i furia.

Największy przegrany mistrzostw oddał najwięcej strzałów, miał największe parcie na gola i nie zdobył ani jednej bramki – ale nie ma co kopać w głowę leżącego. Z dużą ulgą przyjmuję fakt, że Cristiano Ronaldo najpewniej już nie zagra na żadnych mistrzostwach. Z żalem zaś żegnam Xherdana Shaqiriego, zaznaczającego się od lat golami cackami, a tym

Triumfatorzy wygrali wszystkie siedem spotkań, podczas gdy drugi finalista – ekipa angielska – tylko trzy razy.

eprasa.pl bbea4abf0d

Drużyna Hiszpanii wystawała jakością ponad resztę uczestników, wygrana była w pełni zasłużona.

razem niewiele zabrakło, by trafił już prawdziwe golasso bezpośrednio z rzutu rożnego przeciw Anglii w dogrywce! Tej sytuacji żałuję najbardziej – mielibyśmy piękne zwieńczenie kariery i Szwajcarów jako prawdziwego czarnego konia w półfinałach. Bo stało się tak jak prawie nigdy – w ostatniej czwórce zagrały same tuzy z pierwszej dziesiątki rankingu FIFA, nie mieliśmy żadnej sensacji powyżej jednej ósmej.

Największymi wygranymi pośród przegranych okazali się Niemcy. Ich przedwczesny finał z Hiszpanią był najlepszym meczem Euro, także w statystykach, oddano w nim 41 strzałów (w tym 11 celnych). Wydaje się, że młody Nagelsmann wyprowadził reprezentację z kryzysu i może być trenerem na lata.

Żal mi Szymona Marciniaka, bo dla najlepszego sędziego świata to jednak afront – zaledwie dwa mecze w roli głównego i wątpliwa nagroda pocieszenia: „pan techniczny" w finale. Postawiono na młokosa – 35-letni sędzia z Francji był najmłodszym w historii. Być może ktoś chciał zupełnie niepotrzebnie utrzeć naszemu arbitrowi nosa. Marciniak nie unika przecież sędziowania niższych klas w Polsce, nie szarogęsi się, a gdyby nie był apodyktyczny na murawie, nie zrobiłby takiej kariery. Mam nadzieję, że jednak nie wyjedzie do Arabii za namową Ronalda – piłkarzy najwyższej klasy światowej nie mamy szans oglądać na rodzimych stadionach, chyba że ich gościmy od święta – Marciniaka mamy co tydzień.

Oto moja jedenastka turnieju w systemie 4-3-3 i po jednym rezerwowym w każdej formacji: Mert Günok (Diogo Costa) – Dani Carvajal, Pepe, Theo Hernández, Manuel Akanji (William Saliba) – Fabián Ruiz, Jude Bellingham, Jamal Musiala, Florian Wirtz (Kobbie Mainoo) – Nico Williams, Lamine Yamal, Niclas Füllkrug (Cody Gakpo). Coś mi mówi, że przez kilkanaście najbliższych lat kwestię Złotej Piłki będzie rozstrzygała jedna litera – Yamal albo Jamal. W tym roku ucieszyłoby mnie, gdyby laur przypadł Carvajalowi – ostoi hiszpańskiej defensywy, jedynemu podstawowemu zawodnikowi zarówno w Realu, czyli zdobywcy Ligi Mistrzów (gol w finale!), jak i w reprezentacji triumfatorów Euro.

Naszym znów nie wyszło. Nie wyszli z grupy, ale nie wyszli najgorzej. Potwierdziło się, że wylosowaliśmy prawdziwą grupę śmierci (dwóch późniejszych półfinalistów). Nie było oczekiwań, bo dostaliśmy się do Niemiec psim swędem, ten awans był niespodziewanym bonusem. A teraz Probierz zostaje i ma chyba najlepszy PR ze wszystkich trenerów, którzy odpadli po trzech meczach. Jeszcze żaden trener nie zrobił tak niewiele, aby przedłużyć reprezentacyjny kontrakt. Po tych trzech meczach renoma naszego futbolu skarlała, choć w kraju nie brakuje umiarkowanie zadowolonych. O realnej pozycji naszej piłki po Euro niech świadczy fakt, że jeden z najlepszych graczy, zdobywca gola przeciw Holendrom, Adam Buksa, został właśnie wytransferowany do ligi… duńskiej (z Francji via Turcja). To na pewno nie jest sportowy krok naprzód.

Skończyło się. Czuję osamotnienie po ostatnim gwizdku. Jak to tak – nadeszły dnie i wieczory bez meczów? Od głębokiego dziecięctwa co dwa lata rytualnie wpisuję wyniki, zaznaczam kartki przy faulujących i gole przy strzelcach. Przez miesiąc na stoliku leżał rozłożony zeszyt ze składami, teraz skarb kibica jest już bezużyteczny. Gdzie teraz się schować przed czarną żółcią, jakiej hipnozie antydepresyjnej poddać, na razie nie wiem. ■

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl bbea4abf0d

AfD to taka niemiecka Konfederacja

Krzysztof Pilawski

Sławomir Mentzen rozbawiłby nas swoimi słowami, że Alternatywa dla Niemiec nie jest antypolska, lecz proniemiecka, gdyby nie to, że „proniemieckości" AfD boją się sami Niemcy.

Prezes Nowej Nadziei próbował wytłumaczyć fakt przystąpienia trójki eurodeputowanych z jego partii, wchodzącej w skład Konfederacji, do budowanej przez AfD nowej grupy w Parlamencie Europejskim – Europy Suwerennych Narodów. W poprzedniej kadencji AfD zasiadała we frakcji Tożsamość i Demokracja, lecz w maju tego roku została z niej wyrzucona za sprawą rozdającej w niej karty partii Marine Le Pen. Powodem stał się wywiad lidera listy kandydatów AfD w wyborach europejskich Maximiliana Kraha dla włoskiego dziennika „La Repubblica", w którym polityk przekonywał, że nie wszyscy członkowie SS byli przestępcami. Krah wybielał zbrodniarzy w czasie kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego i przygotowań do obchodów 80. rocznicy największej zbrodni hitlerowców na terenie Francji – rozstrzelania i spalenia żywcem przez żołnierzy dywizji pancernej SS „Das Reich" przeszło 640 mężczyzn, kobiet i dzieci ze wsi Oradour-sur-Glane. Obecny na rocznicowej uroczystości prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier mówił o swoim wstydzie z tego powodu, że jego kraj zawinił po raz drugi: „Mordercy pozostali bezkarni, a ciężka zbrodnia nie została odkupiona".

Rozgłos, jakiego nabrały słowa Kraha, zmusił AfD do ukarania polityka zakazem wypowiedzi w czasie kampanii wyborczej i pozbawieniem stanowiska w kierownictwie partii. Zamknięto mu także drzwi do Europy Suwerennych Narodów. Jednak uzyskał on mandat eurodeputowanego i zachował członkostwo w AfD, która – jak zauważył dziennik „TAZ" – mimo pełnej skandali kampanii i znanych z radykalizmu kandydatów stała się drugą co do wielkości siłą polityczną w Niemczech.

Wiele osób z tej kojarzonej z prawicowym ekstremizmem i historycznym rewizjonizmem partii oraz jej wyborców myśli podobnie jak Krah, wolą jednak publicznie nie wyrażać skrajnych poglądów. Czynią to w gronie ideowo bliskich towarzyszy.

W styczniu i lutym tego roku przez Niemcy przetoczyła się fala wielotysięcznych manifestacji, w reakcji na ujawnioną przez magazyn „Correctiv" informację o tajnym spotkaniu członków AfD z neonazistami pod Poczdamem. Omawiali oni kwestię tzw. remigracji – wydalenia z Niemiec milionów uchodźców, imigrantów oraz Niemców popierających liberalną politykę migracyjną. Temat i miejsce narady kojarzyły się jednoznacznie z konferencją w Wannsee, na której opracowano plan „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej".

Wśród demonstrujących na ulicach niemieckich miast był kanclerz Olaf Scholz. Efektem manifestacji stała się debata na temat zakazu działalności AfD. W czerwcu w Niemczech ruszyła kampania aktywistów i organizacji na rzecz natychmiastowej delegalizacji Alternatywy dla Niemiec „AfD-Verbot jetzt!". Popierający zakaz badacze prawicowego ekstremizmu twierdzą, że zagrożenie dla liberalnej demokracji ze strony AfD jest wciąż niedoceniane. Zaangażowany w kampanię dyrektor Fundacji Miejsca Pamięci Buchenwald Jens-Christian Wagner uważa, że nie wolno dopuścić do wykorzystywania instytucji i procedur demokratycznych do obalenia demokracji.

AfD domaga się opieki nad cmentarzami żołnierzy poległych w II wojnie światowej, zarazem występuje przeciwko upamiętnianiu ofiar narodowego socjalizmu. Buchenwald znajduje się w Turyngii. Współprzewodniczący Europy Suwerennych Narodów René Aust (drugim współprzewodniczącym jest Stanisław Tyszka) pochodzi z tego kraju związkowego, do wyborów europejskich był posłem do miejscowego parlamentu. 1 września w Turyngii odbędą się kolejne wybory do landtagu – pierwsze, w których faworytem jest AfD. Popularność partia zawdzięcza w dużym stopniu liderowi Björnowi Höckemu, skazanemu w maju tego roku przez sąd w Halle na grzywnę za użycie w czasie wiecu hasła SA – Oddziałów Szturmowych NSDAP – „Alles für Deutschland" („Wszystko dla Niemiec"). René Aust uchodzi za bliskiego współpracownika Höckego.

Przeczytałem na profilu FB Sławomira Mentzena (ponad pół miliona obserwujących): „Z wszystkich niemieckich partii to AfD jako jedyna broni polskiej suwerenności przed UE, broni polskiego przemysłu i rolnictwa przed Zielonym Ładem, broni Europy przed masową imigracją, podczas gdy inne niemieckie partie chcą nam zabrać suwerenność poprzez zmianę traktatów unijnych, chcą zniszczyć nasz przemysł i rolnictwo, chcą zalać nas imigrantami. To kto tu jest antypolski?". Prezes Nowej Nadziei wskazuje podobieństwo AfD i Konfederacji, które – jak twierdzi – „są znienawidzone przez system, a media robią z ich polityków potworów. AfD to taka niemiecka Konfederacja".

> Zdaniem Sławomira Mentzena obie partie są znienawidzone przez system, a media robią z ich polityków potworów.

Skoro tak, to warto nawiązać także relacje z think tankiem AfD – Fundacją Erazma z Rotterdamu kierowaną przez byłą przewodniczącą Związku Wypędzonych Erikę Steinbach, członkinię AfD. Przed wyborami do Bundestagu w 2017 r. Steinbach ubolewała, że w niemieckim parlamencie brakuje prawdziwej opozycji, i nadzieję widziała w nabierającej siły Alternatywie dla Niemiec: „To jedyny sposób na utrzymanie demokracji przy życiu". Najnowszy projekt fundacji AfD – „Wadliwa demokracja. Rola Unii Europejskiej" – z pewnością zainteresowałby Sławomira Mentzena. ■

eprasa.pl bbea4abf0d

Sąd nie jest twierdzą (cd.)

Sprawozdawczyni sądowa Helena Kowalik opisała, jak sądy zamykają się przed mediami (PRZEGLĄD nr 26/2024). Oto kolejny głos w tej sprawie

Grażyna Zawadka

Odcięcie dziennikarzy od wiedzy o toczących się sprawach, utrudnienie zdobywania informacji, czekanie tygodniami na odpowiedzi, które, jeśli już przyjdą, są ograniczone do minimum – Sąd Okręgowy w Warszawie odgrodził się murem od dziennikarzy, a więc i od społeczeństwa.

Do października 2023 r. w sądzie tym działała sprawna sekcja prasowa z zespołem ludzi, którzy w kilka chwil potrafili wyszukać sygnaturę sprawy, terminy rozpraw, ustalić, czy posiedzenie trwa, czy się skończyło, i odpowiedzieć na wiele innych pytań. Wydawali newsletter informujący o medialnych procesach. Ale to już przeszłość. W listopadzie ub.r. decyzją prezesa sądu bezcenną dla dziennikarzy komórkę rozwiązano.

Powód jest nieznany, efekty są dramatyczne – uzyskanie nawet prostych informacji, nie mówiąc o bardziej skomplikowanych, stało się drogą przez mękę. Nie ma możliwości, by wykręcić numer i sprawdzić najprostsze rzeczy, takie jak termin rozprawy. „Oddział bezpieczeństwa", który przejął obowiązki sekcji prasowej, przyjmuje pytania mejlowo i tą drogą na nie odpowiada. Na odpowiedzi zaś czeka się od kilku do kilkunastu dni, a niekiedy prawie miesiąc.

Przykład: po trzech tygodniach oczekiwania „Rzeczpospolita" uzyskała odpowiedź na pytania o to, za co dokładnie zostali prawomocnie skazani byli szefowie CBA Kamiński i Wąsik w sprawie ich działań w aferze gruntowej. Przekaz w przestrzeni publicznej był uproszczony, precyzyjna informacja była koniecznością. Dopiero odpowiedź potwierdziła, że z wyroku sądu drugiej instancji wypadł zarzut podżegania do korupcji, obecny w wyroku w pierwszej instancji. Jednak w przypadku gazety codziennej trzytygodniowe oczekiwanie to prawie wieczność. Jeszcze gorzej jest, gdy potrzeba informacji z dnia – o areszcie, losach zażalenia czy wyroku. Sąd pozostaje nieugięty – pytanie trzeba słać mejlem i czekać. Odpowiedź często przychodzi już po publikacji artykułu. Jak wtedy, kiedy pytałam o decyzję w sprawie zażalenia na niezastosowanie aresztu wobec biznesmena Leszka Czarneckiego w sprawie GetBack.

•

Jak się ratują dziennikarze? Pod presją czasu uderzają do adwokatów i do rzeczników prokuratury. Ci rozumieją, że potrzebna jest wiedza „na już". Tyle że to sytuacja nienormalna, bo to zadanie służb prasowych sądu.

Wcześniej tak nie było. W nie tak odległej przeszłości niezapomniany sędzia Wojciech Małek, chcąc wywiązać się z roli rzecznika prasowego, chodził na wszystkie ważne procesy, by móc relacjonować je dziennikarzom. Kiedy zapadał wyrok, tezy ustnego uzasadnienia cytował z pamięci. Jeśli nie odebrał telefonu, to dlatego, że sądził – zawsze oddzwaniał, a gros pytań załatwiało jego biuro prasowe.

Dziennikarze z sentymentem wspominają także innego rzecznika – Sądu Apelacyjnego w Warszawie – sędziego Jerzego Ledera. Nie dość, że był doskonałym sędzią, to jeszcze otwartym dla dziennikarzy, rozumiejącym ich misję.

Obecnie warszawski sąd okręgowy, zamiast się otwierać dla mediów, zamyka się na nie. W sprawach z wyłączeniem jawności jest dramat. Dziennikarz, więc i społeczeństwo, nie dowie się praktycznie niczego. Na przykład na jakim etapie jest proces byłych urzędników Ministerstwa Finansów Arkadiusza B. i Krzysztofa B. („Rz" ujawniła tę sprawę w 2019 r.), oskarżonych o wyłudzenie 5 mln zł VAT. Po kilku latach rozpraw wiadomo tyle, że „wyrok nie został ogłoszony i są kolejne terminy rozpraw". Ale jeszcze rok temu sąd odpowiadał maksimum tego, co mógł.

Jest i inna zmora – „przerost formy nad treścią". W Sądzie Okręgowym w Warszawie dziennikarz nieustannie musi udowadniać, że jest dziennikarzem. Nie wystarczy raz pokazać ważną legitymację prasową – trzeba załączać jej skan (obie strony) do każdego mejla z pytaniami, nawet z tego samego dnia.

Absurdalność takiego podejścia pokazuje sytuacja, jakiej doświadczyłam. Jednego dnia kwietnia w ciągu kilkunastu minut wysłałam trzy mejle, pytając o różne sprawy. Skany legitymacji prasowej – ważnej na cały 2024 r., z danymi, zdjęciem, nazwą redakcji – załączyłam tylko do pierwszego mejla. Udowodniłam, że jestem dziennikarką „Rzeczpospolitej". Dwa kolejne zapytania wysłałam chwilę później i wezwano mnie do uzupełnienia „braków formalnych".

W nadziei na usprawnienie współpracy wysłałam do sądu uprzejme pytanie o sens takiej praktyki – żądania skanu legitymacji do każdego

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl bbea4abf0d

z zapytań wysłanych jednego dnia w odstępie kilkunastu minut. Dwustronicowa odpowiedź wiceprezesa SO Radosława Lenarczyka pozbawiła mnie złudzeń. Zostałam uraczona formułkami typu: „Wnioskodawca powinien stosownym dokumentem wykazać, że jest dziennikarzem", „Konieczne jest wykazanie, że wniosek pochodzi od prasy" itp., ale zero odniesienia się do istoty sprawy.

Na marginesie – odpowiedź wiceprezesa dotyczącą procedur dostałam szybciej niż merytoryczne odpowiedzi na zadane pytania.

Podobne problemy z warszawskim sądem okręgowym mają także inni dziennikarze z redakcji. – Na sugestię, by sąd stworzył bazę dziennikarzy największych mediów i nie żądał wciąż przesyłania legitymacji, nikt nie wyraził ochoty. A byłoby to rozwiązanie, bo dziennikarzy obstawiających sądowe procesy nie ma aż tak wielu – mówi mi jedna z dziennikarek.

•

Nieco łatwiej o informacje w Sądzie Okręgowym Warszawa-Praga. Są i niezwykle sprawni rzecznicy, tacy jak sędzia Barbara Markowska z Sądu Okręgowego w Lublinie, która błyskawicznie potrafi zdobyć potrzebną wiedzę i odpowiada niezwykle merytorycznie i wyczerpująco. Nawet wniosek o udostępnienie postanowienia dziennikarz ma na mejlu najwyżej w kilka godzin (ze zanonimizowanymi danymi). Tak było, kiedy „Rz" pytała o siatkę szpiegowską działającą dla Rosji, a sądzoną w Lublinie. Jest i inny wyjątek – szybko odpowiedzi udziela także Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia – prezes lub wiceprezes (a pytaliśmy np. o Piotra Rybę z afery gruntowej).

W samej „Rzeczpospolitej" pracuję od kilkunastu lat, napisałam setki artykułów, w tym dotyczące procesów i wyroków zapadających przed warszawskim sądem okręgowym. Mam więc porównanie, jak jeszcze kilka lat temu działały tu służby prasowe i jak jest dzisiaj. Prawo prasowe w zakresie konieczności weryfikacji dziennikarzy się nie zmieniło – zmienili się ludzie, którzy „procedurami" odgradzają się jak tarczą. A skutek jest taki, że sąd, w którym toczą się najpoważniejsze sprawy: kryminalne, gospodarcze, dotyczące grup przestępczych, białych kołnierzyków czy polityków, praktycznie odciął się od społeczeństwa.

Grażyna Zawadka jest dziennikarką „Rzeczpospolitej"

LIST

Las jest po to, by go do szczętu wycinać

Po lekturze tekstu „Leśnicy wyklęci" Grzegorza Rudnika chciałbym dołożyć swoje trzy grosze. Lubię spacery po lesie, lubię zbierać grzyby, oddychać świeżym powietrzem. Dlatego mam doskonały podgląd, jak się lasy zmieniały. Leśnik kojarzył się z kimś, kto o nie dba. Ludzie wycinający wyznaczone drzewa byli pracownikami Lasów Państwowych. Ale, widać, ktoś doszedł do wniosku, że administracja powinna zostać oddzielona od robotników leśnych. Ci ostatni zostali więc zmuszeni do tworzenia własnych firm, tzw. zakładów usług leśnych. Brudna, ciężka, obciążona dużym ryzykiem robota przy wycince została wydzielona z Lasów. Panom w eleganckich zielonych mundurach przypadł zaszczyt nadzorowania tych ludzi i inkasowania sporych wynagrodzeń.

Leśnicy wyklęci

Zakup sprzętu do wycinki, kosztowna konserwacja i naprawy, ryzyko wypadków przy pracy zostały zdjęte z pleców leśników. Niemniej jednak lasy wycinano w jakiś cywilizowany sposób. Gałęzie, cieńsze pnie po przecince były z lasu wywożone. To jednak budżet Lasów obciążało. Znalazł się więc wybitny naukowiec, który swoim autorytetem potwierdził, że ten odpad po wycince powinien zostawać w lesie, bo to będzie służyć drobnej zwierzynie, płazom, gadom, owadom. No i stało się, piękne lasy zaczęły się zmieniać w pospolity śmietnik. Zaoszczędzone pieniądze skierowano na leśną edukację, Kościół, przyjazne media, a ostatnio pośrednio na akcje wyborcze leśników lub osób im sprzyjających. W cytowanym artykule autor pisze, że Ministerstwo Klimatu i Środowiska postanowiło nieco ograniczyć tę rabunkową gospodarkę w najstarszych i najatrakcyjniejszych lasach, w tym w Bieszczadach. Spotkało się to ze zdecydowanym oporem leśników oraz podpuszczonych przez nich robotników leśnych. Rozumiem to rozgoryczenie robotników leśnych, bo dla wielu z nich las stanowi jedyne źródło dochodów. (…)

Pod koniec ubiegłego wieku w paśmie Żuków koło Ustrzyk leśnicy za duże pieniądze stworzyli ścieżkę edukacyjną, głównie dla młodzieży. Dziś początek ścieżki to skład ściętego drzewa, rozjechane drogi i cięcie drzew tuż za ogrodzeniem ścieżki. Jak widać, według zarządzających lasami przez ostatnie lata, las to miejsce, gdzie wycina się drzewa w pień, by wysłać je do bezleśnych Chin. Drewno, zamiast być przetwarzane na miejscu, w Bieszczadach, jedzie pełnymi samochodami z naczepami w Polskę. Przerobem na miejscu zajmuje się kilka małych tartaków i zakładów, a potężne kiedyś zakłady drzewne w Ustrzykach upadły.

Wiesław Stebnicki

Zakaz wstępu, ścinka drzew

Autor pisze, że z wycinki została wyłączona m.in. Puszcza Świętokrzyska. Moim zdaniem wycinka, jak była za PiS, idzie w najlepsze także za Platformy. Jadąc z Ciekot w stronę Bukowej Góry, przed Klonowem widziałem tabliczki „Zakaz wstępu ścinka drzew". Kilka dni wcześniej ich nie było, obszar ten jest blisko granicy Świętokrzyskiego Parku Narodowego oraz obszaru Natura 2000 Barcza. Wycinka trwała też w okolicach Kamienia Michnowskiego, o którym pisał PRZEGLĄD. W okolicy Góry Sieradowskiej, gdzie odbywał się maraton MTB, wycinkę zrobiono przed samymi zawodami. Brałem w nich udział, nawet prowadzić rower było trudno – oczywiście sąsiedztwo rezerwatu.

Grzegorz Chmura

Sprostowanie

W tekście „Złoci chłopcy z Kortowa" (PRZEGLĄD nr 29) o polskich siatkarzach, którzy zwyciężyli na igrzyskach olimpijskich w Montrealu, napisaliśmy, że oprócz premii pieniężnych dostali też talony na samochody produkcji koreańskiej. W rzeczywistości były to samochody z krajów obozu socjalistycznego. Za pomyłkę przepraszamy. *Redakcja*

eprasa.pl bbea4abf0d

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Jak trwoga, to do praw człowieka

W tygodniu rozpalonych ekscytacji i wzmożeń ważnym epizodem było pozbawienie immunitetu poselskiego byłego wiceministra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego, nadzorującego funkcjonowanie Funduszu Sprawiedliwości za czasów Zbigniewa Ziobry. Prokuratura po zatrzymaniu posła (były kajdanki) postawiła mu 11 zarzutów, w tym zarzut udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, i wystąpiła o areszt tymczasowy. Sąd nie wyraził na niego zgody, motywując to członkostwem Romanowskiego w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy i przysługującym mu w związku z tym immunitetem. Co do jego mocy prawnicy nie mają jednoznacznej interpretacji.

Poseł PiS, opakowany w immunitety, na razie przebywa na wolności. Jak zapewne ogromna większość o istnieniu takiej ochrony dowiedziałem się przy okazji zarzutów wobec Romanowskiego. Oczywiście jest szyderstwem losu, że polityk formacji jawnie wrogiej filozofii praw człowieka korzysta z parasola instytucji, która zajmuje się przede wszystkim kwestiami z obszaru praw człowieka, demokracji i rządów prawa oraz wspieraniem współpracy pomiędzy państwami członkowskimi. W komentarzach politycy PiS odgrażają się, że będą skarżyć fakt zatrzymania posła do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, tego samego, którego orzeczenia i wyroki ostentacyjnie lekceważyli, kiedy sami byli u władzy. Nic nowego pod słońcem, jak trwoga, to jednak nie do boga, tylko do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. I dobrze, to przywraca porządek rzeczy i zasad. Ale kilka słów chciałbym poświęcić ciemnej karcie polskiego wymiaru sprawiedliwości – aresztowi tymczasowemu. Otóż Polska od lat nadużywa tej formy przedprocesowego zabezpieczenia, niekiedy w sposób drastyczny. Ileś postępowań przed ETPC przegrała z kretesem i musiała płacić odszkodowania.

Dyskusje nad ograniczeniem stosowania tego najbardziej radykalnego środka zabezpieczającego trwają od lat. I na razie, jak widać po sprawie Romanowskiego, nie przynoszą skutku. Od siedmiu miesięcy były wiceminister mógł się spodziewać, że partyjne wydatkowanie wielomilionowych sum z Funduszu Sprawiedliwości zakończy się przed sądem. Gdyby chciał mataczyć, ukrywać dowody, miał na to wystarczająco dużo czasu. Naprawdę uważam, że w takich sprawach polska prokuratura mogłaby przestać działać jak z automatu. Rozgrywa się na naszych oczach słynny dylemat: „ile wolności dla wrogów wolności", czy inaczej: ile wyrozumiałości dla podejrzanych. Dla podejrzanych – uczciwy proces sądowy. Tyle i aż tyle.

Jesteśmy w gorącym czasie rozliczeń i dochodzenia sprawiedliwości po rządach PiS. Nie podzielam opinii, że to rewanżyzm czy zemsta na przeciwniku politycznym. Politykom naruszającym prawo nie przysługuje immunitet za samo to, że utracili władzę i są opozycją. W przeciwnym razie byłaby to kryjówka doskonała. Niestety, rozliczanie polityków nie należało dotąd do polskiego obyczaju politycznego. Stąd zapewne takie zaskoczenie. Jeszcze jesienią, podczas wystąpienia w Sejmie, Zbigniew Ziobro wykrzykiwał w stronę polityków Koalicji Obywatelskiej: „Mam nadzieję, że nie okażecie się fujarami". Nawiązywał do tego, że nie udało się postawić go przed Trybunałem Stanu po rządach PiS w latach 2005-2007. Wygląda na to, że koalicja spełnia nadzieje ministra Ziobry, co zresztą może i jego zaprowadzić na ławę oskarżonych.

Obserwując działania wymiaru sprawiedliwości, zwróciłem uwagę na nie tak głośną sprawę pewnego umorzonego postępowania, które w tych dniach prokuratura podjęła na nowo. Podczas protestów Strajku Kobiet w 2020 r. w tłum demonstrantów w okolicach Puławskiej i Goworka w Warszawie wjechał, jak później się okazało, oficer ABW, który potrącił co najmniej dwie osoby i uciekł z miejsca wypadku. Jedna z potrąconych kobiet trafiła do szpitala, druga była poturbowana. Protest odbywał się przeciwko wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej w sprawie aborcji. Ówcześni szefowie prokuratury najpierw odebrali sprawę prowadzącej prokurator, która chciała postawić oficerowi zarzuty, następnie postępowanie umorzono. Teraz toczy się ono w kierunku narażenia na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu poprzez wjechanie w demonstrantów (art. 160 par. 1 Kodeksu karnego). Sprawcy grozi do trzech lat więzienia. Co ciekawe, miał on służyć w elitarnym oddziale w strukturach kontrwywiadu (Departament II), którego początki sięgają jeszcze Urzędu Ochrony Państwa, poprzednika ABW. Pracujący w nim oficerowie zajmują się rozpracowywaniem m.in. skrajnych organizacji prawicowych i lewicowych, których działanie może zagrażać porządkowi konstytucyjnemu. Struktura oddziału jest głęboko utajniona, a funkcjonariusze używają fałszywej tożsamości stworzonej na potrzeby wykonywanych zadań. Trudno sobie wyobrazić, że oficer wykonywał zadanie służbowe i że Strajk Kobiet można uznać za radykalną organizację.

Temu postępowaniu będę się uważnie przypatrywał, nie tylko dlatego, że byłem tam wówczas i równie dobrze potrącony mogłem zostać ja lub ktoś z bliskich. Tam naprawdę ktoś mógł zginąć. Być może w takiej sprawie areszt tymczasowy byłby akurat na miejscu. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bbea4abf0d

Przystanek Pokrzywna

W kilka osób, w jedynym we wsi miejscu narad – „pod altanką” na Słonecznej Polanie, uznali, że nie boją się wyzwania

Beata Dżon-Ozimek

Aktywiści 4. edycji Tour de Konstytucja i mieszkańcy Pokrzywny. Po lewej, w czarnym tiszercie i okularach przeciwsłonecznych Robert Hojda.

Dziura, koniec świata, kacze doły. Pragnienie Roberta Hojdy, inicjatora Tour de Konstytucja (TdK), fundatora i prezesa Fundacji Aktywna Demokracja, by zawitać w to „szczere pole”, spełniło się 3 lipca, w czwartym roku letnich spotkań edukacyjnych dotyczących konstytucji, praw człowieka w RP i stanu obywatelskiego ducha. Spotkań wymyślonych jeszcze w czasach mroku prawnego za rządów PiS. Owo pole o nazwie Słoneczna Polana znajduje się w najmniejszej miejscowości na trasie TdK, w Pokrzywnej. Liczba obywateli – 240. Położenie – u stóp Gór Opawskich i ich najwyższego szczytu, Biskupiej Kopy.

To „szczere pole” już kilka godzin przed rozpoczęciem dyskusji z prawnikami i aktywistami o paragrafach 31 i 32 Konstytucji RP czekało z wielkim namiotem na wypadek deszczu, z ławami na 140 osób i domkiem gościnnym dla konstytucyjnych tułaczy, jeżdżących wozem, gwarantującym samodzielność w terenie. I tak od 2 czerwca do 31 sierpnia, tego lata już kilkanaście tysięcy kilometrów.

Silna ekipa. Danuta Przywara – socjolożka, działaczka społeczna, historia Solidarności i praw człowieka, założycielka w Polsce Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka (HFPC), przewodnicząca jej rady. – Nasza ci ona! Urodzona w Strzelcach Opolskich – cieszyli się niektórzy. Teraz będą wiązać działalność HFPC z Danutą – ciepłą, umiejącą wsłuchać się w każdego. Dalej energiczna Kinga Dagmara Siadlak, adwokatka, edukatorka prawna, wiceprezeska Fundacji Aktywna Demokracja, frontmenka Tour de Konstytucja, oraz Robert Hojda – talent wszechstronny. Z promiennym uśmiechem, a w tle amerykańską muzyką country i drogi. Dla mnie – Jerzy Owsiak polskiej edukacji prawnej i obywatelskiej.

Mosty pokoleniowe

O co chodzi w TdK? Bo to nie tak, że w „szczerych polach” wszyscy chcą ludzi gadających o prawach i obowiązkach obywatelskich wysłuchiwać. Owszem, wiedzą, kto to Igor Tuleya. Jedni mówią, że poszliby na niego jak na gwiazdę. Drudzy, że lewactwo, tęcza, tfu.

Inicjatorzy zaproszenia TdK do Pokrzywnej, Stowarzyszenie Niepodległa Opolska Kultura, znali kilku aktywnych mieszkańców wsi, m.in. byłą sołtyskę Marię Poterałę i nowego sołtysa, Janusza Bojkowskiego. W kilka osób, w jedynym jak dotąd we wsi miejscu narad, czyli „pod altanką” na Słonecznej Polanie, uznali, że nie boją się wyzwania. Robota ruszyła: z sąsiedniego Jarnołtówka pożyczono wielki namiot, ławy, siedziska; włączyła się OSP, też z Jarnołtówka, UMiG Głuchołazy, zapewniono bezpłatny dowóz autobusem te 10 km do Pokrzywnej, ale… na wydarzenie zapisała się jedna pani.

Częścią idei TdK jest animowanie lokalnego życia przy okazji spotkań. Na polance pojawiły się wystawa historycznych pocztówek z czasów, kiedy był to niemiecki Wildgrund, namiot dydaktyczny Wojewódzkiego Związku Pszczelarzy w Opolu, stoisko z lokalną ceramiką, koronkami czy naturalnymi kamieniami, miejscowy wóz z jedzeniem, a także stolik Tęczowego Opola ze świetnymi plakatami, np. „Mieszkam w Kędzierzynie-Koźlu i chłopak mojego syna kula najlepsze kluski” (te śląskie). Były też młodziutkie uczennice ze swoimi bransoletkami i lemoniadą, a śpiewem porwała Noemi. Bo hasłem tegorocznej edycji TdK jest „Siła Młodych – Most Pokoleń”, czyli aktywizacja i włączenie młodzieży z jej świeżym spojrzeniem, z chęcią naprawy relacji społecznych.

Nie było jeszcze na TdK rozmowy z gościem, który posługiwałby się syntezatorem mowy, tak jak Darek Bodurka, tegoroczny maturzysta

FOT. BEATA DŻON-OZIMEK

eprasa.pl bbea4abf0d

z Prudnika. W ubiegłym roku uległ wypadkowi: krwiak mózgu, paraliż lewej części ciała, dyzartria – wada mowy. Dokonał niezwykłych postępów zdrowotnych, zdał maturę. Dostrzega dyskryminację wobec osób niepełnosprawnych, może również ze względu na płeć.

– Doświadczyłem niedawno sytuacji, kiedy starsza kobieta w autobusie oburzyła się, że zajmuję miejsce siedzące i powinienem je zwolnić. Nie mogłem jej odpowiedzieć werbalnie, więc wyciągnąłem telefon, żeby wytłumaczyć, że ja też jestem osobą niepełnosprawną i muszę siedzieć, bo w każdej chwili mogę się przewrócić – mówił Darek, który także podczas spotkania miał przygotowany w telefonie tekst odtwarzany przez specjalny program. – Zaczęła ciągnąć mnie za rękę i krzyczeć na cały autobus, że jestem niewychowanym bachorem, który nie ma szacunku do starszych osób. Pozostali jej wtórowali, co było dla mnie śmiertelnie niebezpieczne, bo wypadek spowodował u mnie również epilepsję, a w tak stresowej sytuacji mogłem dostać ataku. Pod naciskiem wszystkich wstałem, ustąpiłem pani miejsca, a pisanie swojej wiadomości kontynuowałem na stojąco. Jednak gdy ją odtworzyłem, zamiast zrozumienia otrzymałem tylko dalszą krytykę. Usłyszałem, że wymyślam, że nie mówię, a nawet jakby, to brak mowy to nie niepełnosprawność. Uznałem, że ta dyskusja nie ma sensu, zdjąłem tylko czapkę i pokazałem na głowę, że nie mam połowy czaszki. Dopiero wtedy otrzymałem zrozumienie i przeprosiny. Takie sytuacje nie są częste, ale występują, również ze strony urzędów państwowych – opowiadał Darek.

Kiedy Danuta Przywara czytała wcześniej jego przeżycia, w tym te dotyczące kontaktów z urzędniczkami instytucji, delegowanymi przecież do pomocy chłopakowi i zajmującej się nim babci, długo nie mogła znaleźć odpowiednich słów, płakali wszyscy. – Ale chciałbym poruszyć temat wręcz przeciwny, czyli otrzymanie ogromnej pomocy rodziny, przyjaciół i kolegów z klasy, którzy traktowali mnie po wypadku tak samo jak przed nim. Od dziecka jestem wychowywany przez obecną tu moją babcię, która cały czas była dla mnie ogromnym wsparciem – podkreślał Darek. 22 lipca ma ważną operację rekonstrukcji czaszki. Potem rehabilitacja, troska o zdrowie psychiczne, mowę. Zamierza iść na studia.

Adwokat, prokurator i inni

– Wciąż żyję przystankiem TdK w Pokrzywnej. Jestem pod ogromnym wrażeniem tego wydarzenia. Malutka przygraniczna miejscowość, a moc lokalnej społeczności i spektakularna frekwencja dowiodły, jak bardzo było ono potrzebne. Ludzie zrobili to sami – program, atrakcje i wieńczącą całość imprezę z ogniskiem – mówił jeden z zaproszonych gości, mec. Jacek Różycki, pełnomocnik ministra sprawiedliwości. Podkreślił, że główny bohater wydarzenia, Darek Bodurka, walczy nie „tylko" o powrót do zdrowia, ale także o prawa osób z niepełnosprawnościami. – Jako że i mnie ten temat jest bliski, postanowiłem wykorzystać swój czas na mówienie właśnie o nim, bo jesteśmy w Polsce wręcz instytucjonalnie dyskryminowani! Zainspirowany historią Darka stwierdziłem, że opowiem o krzywdzących nas osądach, braku empatii w szpitalach i urzędach oraz o innych bezinteresownie rzucanych pod nogi kłodach. Ale i o tym, że aby to zmienić, wcale nie musimy dotykać prawa, wystarczy, że będziemy się uważnie słuchać – mówił mec. Różycki. W ministerstwie zajmuje się określaniem zasad, według których skarb państwa ponosi koszty pomocy prawnej udzielanej przez adwokata oraz radcę prawnego ustanowionych z urzędu.

– Zaprosiliśmy lokalnych prawników aktywistów i młodzież, bo mamy tu wspaniałe, nieznane szerzej osoby. Jacek, opolanin, do niedawna sekretarz Amnesty International Polska, od lat edukuje, walczy o prawa obywateli w sądach i na ulicach. Przemek Powirski, prokurator, edukator prawny z Głuchołaz, organizuje finały WOŚP, pomaga na granicy. 20 lat temu otrzymał prestiżowy tytuł Prawnika Pro Bono za stworzenie i działalność Bezpłatnego Biura Pomocy Prawnej w Prudniku – wylicza Roch Iwaszkiewicz z Niepodległej Opolskiej Kultury, także prawnik i aktywista.

– Dużo mówiliśmy na „przystanku Pokrzywna" o równości. Bohaterką dnia była konstytucja, ale dla mnie bohaterem został Darek Bodurka z Prudnika! Jego wystąpienie wstrząsnęło nie tylko mną. Rzadko mi się zdarza wzruszyć, wczoraj to się zdarzyło. Nierówności, które nas, zdrowych, dotykają incydentalnie, dla Darka są codziennością. Wierzę głęboko, że świat może być lepszy dzięki takim ludziom, którzy mają odwagę i siłę mówić głośno o swojej trudnej codzienności, oraz dzięki tym, którzy takich jak on chcą i potrafią słuchać – przyznał prokurator Powirski. Okazuje się, że rozmówcami TdK rzadko bywają prokuratorzy. O równości, którą wszak konstytucja gwarantuje obywatelom bez względu na płeć, mówili też maturzysta Kuba Piaskowskx z Tęczowego Opola i licealistka, aktywistka Melania Lewkowicz z Prudnika. Nie był to słodki obraz rzeczywistości szkolnej. Zwłaszcza z perspektywy młodziutkiej kobiety, która jest świadoma swoich praw, oraz osoby niebinarnej. Kuba przywiózł tęczowe flagi, plakaty o równości, raporty o sytuacji osób LGBT+ w Opolskiem. W przygotowaniu stolika pomagali mu m.in. policjanci, już emerytowani, i starsza pani, choć kilka osób obok miało niepewne miny, co mają myśleć o tym długowłosym chłopcu i tęczy.

– Równość to trudne pojęcie w Polsce. A to, co usłyszałem od Darka, było poruszające – zaznacza inny uczestnik TdK w Pokrzywnej, aktywista z Kędzierzyna-Koźla, Marcin Tumulka. Przejechał 60 km, by wziąć udział w spotkaniu; nie on jeden, jak się okazało. – Takiego wydarzenia Pokrzywna nie pamięta – mówili mieszkańcy. Na koniec zasadzili wspólnie dąb szypułkowy na pamiątkę wydarzenia. – To drugie drzewo w historii, pierwsze zasadził Adam Bodnar w 2021 r., ma na imię Turuś – uśmiecha się Kinga Dagmara Siadlak.

Dąb był pomysłem nowego sołtysa, Janusza Bojkowskiego. Mamą chrzestną zgodziła się być Danuta Przywara. Obiecała doglądać chrześniaka co roku.

b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bbea4abf0d

Maciej Ostrowski

Biskupia Górka – miejskie laboratorium

Gdańska dzielnica tkwi w zawieszeniu. Niektóre odnowione budynki są puste od ponad dwóch lat

By dostać się z gdańskiego Dworca Głównego na Biskupią Górkę, wystarczy kilkuminutowa podróż tramwajem. Dzielnica w paradoksalny sposób łączy w sobie wszystkie cechy małej wspólnoty i obszaru poddawanego coraz intensywniejszej eksploracji turystycznej.

Kilka lat przed tragiczną śmiercią prezydent Paweł Adamowicz zapewniał dziennikarzy i inwestorów, że Biskupia Górka niedługo przeobrazi się z leżącego na uboczu, biednego, zapomnianego przez miejskich urzędników przedmieścia Głównego Miasta w „perłę w koronie". Obecnie Biskupia Górka przypomina laboratorium. I choć aparatura jest jeszcze w fazie instalacji, już wiadomo, że celem procesów, w które zainwestowano dziesiątki milionów złotych, będzie stworzenie zupełnie nowej dzielnicy. Dobre inwestycje muszą nie tylko się zwracać, ale też na siebie zarabiać. Lawinowo rosnące czynsze oraz sprzeczność interesów ekonomicznych różnych grup unoszą się nad wzgórzem jak trujące opary rtęci.

Wyspa w morzu ruin

Wchodzącemu do siedziby Domu Sąsiedzkiego przy Biskupiej 4 od razu rzucają się w oczy rzędy szklanych gablot, w których zgromadzono dziesiątki porcelanowych naczyń, rodzinnych pamiątek, przedmiotów osobistych, a nawet podziurawionych karabinowymi kulami niemieckich hełmów. Wszystko to zostało po dawnych mieszkańcach wzgórza, gdy w kwietniu 1945 r. uciekali przed żołnierzami Armii Czerwonej. Zrujnowane, opuszczone lub częściowo zamieszkane niskie domki, często z oknami zabitymi dyktą i płytą pilśniową, kontrastują z fasadami kamienic pamiętających panowanie cesarza Fryderyka Wilhelma II, na których widnieją starannie odnowione niemieckie napisy. Biskupia Górka, przyciągająca zorganizowane wycieczki wyjątkową atmosferą i punktami widokowymi, wita przybyszów kontrastami. Turystę nawykłego do gwarnego i skomercjalizowanego Śródmieścia uderzy zwłaszcza cisza.

80 lat temu, gdy gdańskie Śródmieście trawił kilkudniowy pożar, dzielnica miała szczęście. Wygodne mieszkania i widok na oblegane miasto pozwoliły jej uniknąć losu centrum, które pokryły leje po setkach bomb. Tu jeszcze w czasie działań wojennych kwaterowało dowództwo Armii Czerwonej. Tuż po wojnie komfort mieszczańskich wnętrz docenili urzędnicy nowo tworzącego się aparatu administracyjnego czy funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Wraz z odbudową miasta i powstaniem nowocześniejszych i wygodniejszych osiedli ważni lokatorzy opuszczali jednak budynki bez centralnego ogrzewania i z toaletami na klatkach schodowych.

– Pamiętam starą, peerelowską Biskupią Górkę z jej specyficznym klimatem – wspomina mieszkanka. – Potrafiłam dostrzec urodę tego miejsca. Z mojego okna widzę morze oraz Główne Miasto wraz z ratuszem i kościołem Mariackim. Żyjąc w tak cudownym miejscu, nie chciałam się wyprowadzać, a jedynie przekształcać swoją dzielnicę w miejsce lepsze do życia. Przez lata urzędnicy zapominali o jej istnieniu. Nie dostrzegali problemów, a z biegiem czasu stare domy popadały w ruinę. Już w czasach PRL zlikwidowano prawie wszystkie balkony, po tym jak w katastrofie budowlanej zginęła jedna osoba.

Biskupią Górkę odcięły od reszty Śródmieścia ulice Armii Krajowej i Okopowa – arterie komunikacyjne rozrastającego się miasta. Zabudowa się starzała. Miejsce członków nomenklatury partyjnej zajmowali kłopotliwi lokatorzy eksmitowani z innych dzielnic oraz ubożsi gdańszczanie.

eprasa.pl bbea4abf0d

Ciche uliczki, jak Biskupia, to wymarzone miejsce dla turystów imprezujących lub robiących zakupy na Głównym Mieście.

Mieszkańcy wzgórza trzymali sztamę. Na zewnątrz, poza granicami dzielnicy, mieszkali ci „oni".

W 2011 r. na zebraniu mieszkańców zapytano ówczesnego dyrektora Wydziału Architektury i Urbanistyki, dlaczego inwestycje omijają Biskupią Górkę. W tym samym czasie dzięki miejskim dotacjom rozwijało się Dolne Miasto. Pierwsze, orientacyjne daty rewitalizacji padły, dopiero gdy miejskich urzędników zaproszono na spacer po dzielnicy.

Biskupia Górka niskimi (jeszcze) czynszami i historycznym dziedzictwem zaczęła przyciągać artystów i twórców. Wprowadzali się ludzie, którzy mogli pomóc zaktywizować i zintegrować mieszkańców. To efekt projektu „Lokalni przewodnicy i przewodniczki", inicjatywy Instytutu Kultury Miejskiej, Stowarzyszenia Waga, które przeniosło się na Biskupią 35, oraz Stowarzyszenia Biskupiej Górki. Dzięki zorganizowanym wycieczkom ludzie zaczęli zauważać potencjał dzielnicy, przestali się jej obawiać. Na pierwszych konsultacjach ustalono, że rewitalizacja rozpocznie się w 2014 r. Jednak przebudowa całej dzielnicy to bardzo świeży proces.

Dzielnica Airbnb

Wkrótce rozpoczęto staranną rekonstrukcję wielu kamienic. Miasto przejmowało nieruchomości po śmierci lokatorów. Tańsze lokale położone blisko atrakcyjnych części miasta zaczęły przyciągać inwestorów traktujących nieruchomości jako kapitał. Całe piętra kamienic przeznaczano pod wynajem krótkoterminowy. Ciche uliczki, takie jak Biskupia, to wymarzone miejsce nolegowe dla turystów imprezujących lub robiących zakupy na Głównym Mieście.

– Już dwa lata temu moją skrzynkę pocztową dosłownie zapychały ogłoszenia dotyczące kupna mieszkania za gotówkę. Podawano się za „młode i sympatyczne małżeństwo". Ogłoszenia zawsze uzupełniał wizerunek szczęśliwej rodziny z dziećmi – wspomina Aleksandra Filipowicz, dawna mieszkanka kamienicy przy Biskupiej 20.

Idąc stromą uliczką do szczytu wzgórza, łatwo natrafić na całe kamienice pozbawione życia. Dom przy Biskupiej 32 nie ma ani jednego lokatora. W letnim upale stary budynek wydaje się drzemać. Przez okna można dostrzec porzucone sprzęty domowe. Wnętrza wyglądają jak zbiór rekwizytów na planie filmowym. I tylko kurz gromadzący się na meblach przypomina, że rzeczywistość nie stoi w miejscu. Z kolei imponujący budynek przy Biskupiej 30 wystawiono w całości na sprzedaż za 8 mln zł, z pozwoleniem na urządzenie tam hotelu.

Dzielnica tkwi w zawieszeniu, przypominając wielki plac budowy. Niektóre budynki stoją puste już od ponad dwóch lat. Śmiech dzieci siedzących na schodach starej, mocno podniszczonej kamienicy oraz szczekanie psów to jedyne odgłosy zakłócające sjestę niedzielnego popołudnia. Ta cisza to nie przypadek. Opuszczone mieszkania znajdują się niemal w każdym budynku. Odnowione, lecz puste domy stoją w odległości kilku metrów od budynków rodem z warszawskiej Starej Pragi. Przy Biskupiej 20 inwestor chciał podzielić 80-metrowe mieszkanie na trzy kawalerki. Transakcja nie doszła do skutku, ale inni poszli w jego ślady. Ogłoszeniodawcy na portalach, takich jak Otodom, nie owijają w bawełnę. – Między wierszami sugerują, że latem wyprowadzą mieszkańców. W Trójmieście trudno wynająć mieszkanie na cały rok. Po rewitalizacji na Biskupiej Górce może być podobnie. Przez dziewięć miesięcy, od września do maja, lokatorzy mogą mieszkać, potem mają zniknąć, bo turyści to lepszy zysk – zauważa Aleksandra Filipowicz. W przypadku niektórych ofert, choćby tej dotyczącej ulicy Zaroślak, nabywcom obiecuje się 60 tys. zł czystego dochodu z inwestycji w sezonie letnim i 40 tys. zł w zimowym. By uzyskać podobną stopę zysku, właściciele nieruchomości musieliby trzykrotnie podnieść czynsz lokatorom.

W Trójmieście trudno wynająć mieszkanie na cały rok. Na Biskupiej Górce może być podobnie.

Interesy deweloperów i agencji najmu stawiają pod znakiem zapytania deklarację urzędu miasta o „wskrzeszaniu ducha dzielnicy".

12 należących do miasta kamienic przechodzi kapitalny remont przeprowadzany w dużej mierze za pieniądze Unii Europejskiej. Stare wnętrza kompletnie się przebudowuje, stawiając nowe, żelbetonowe podziały pomieszczeń. Z zewnątrz budowlańcy starają się zachować

FOT. MACIEJ OSTROWSKI (2), STOWARZYSZENIE BISKUPIA GÓRKA

eprasa.pl bbea4abf0d

historyczny charakter budynku, zgodny z zaleceniami konserwatora. Według wytycznych rewitalizowane nieruchomości przez pięć lat nie mogą zmieniać charakteru. Po remoncie znów mają się tu mieścić mieszkania kwaterunkowe, a dawni mieszkańcy będą mogli do nich wrócić. Jednak w porównaniu z innymi rewitalizowanymi dzielnicami Gdańska Biskupia Górka wypada w tym aspekcie najgorzej. Z 80 rodzin, które mogą wrócić, na ten krok zdecydowały się tylko dwie. – Miasto na pewno zrobiło zbyt mało, by zachęcić do powrotu stałych mieszkańców, niezalegających z płaceniem czynszu – uważa mieszkanka domu przy Biskupiej.

Stare mieszkania na Biskupiej Górce są reklamowane jako „gotowce inwestycyjne". W jednym przypadku 50-metrowe mieszkanie na ul. Kaznodziejskiej podzielono na cztery pokoje, z których największy ma 15 m kw., a najmniejszy zaledwie 5 m. Każde pomieszczenie rozplanowano jako osobne mieszkanie. Kuchnię i pralnię urządzono we wspólnej części. Nieruchomością zarządza profesjonalna agencja najmu.

Niestety, dyskretne położenie Biskupiej Górki od paru lat przyciąga nie tylko artystów. Dogodne połączenia komunikacyjne oraz duża liczba pustostanów, opuszczonych piwnic i strychów czynią z dzielnicy ulubiony punkt kontaktowy dilerów narkotyków i ich klientów. Handlarze codziennie przychodzą tu „do pracy", jak robotnicy w fabrykach. Sprzedają narkotyki kilka ulic od siedziby urzędu miejskiego. Krew na chodniku to ślady walki o wpływy. Czasem słychać krzyki bitych. Ludzie zamykają wtedy szczelnie okna bez względu na pogodę. Policja wprost zachęca ich do wyprowadzki.

Handel środkami odurzającymi jest tak intratny, że za kilka lat mafiosi mogą połączyć tradycyjną działalność przestępczą z przedsięwzięciami deweloperskimi. Tym samym na renowacji przeprowadzonej przez władze miasta za samorządowe i unijne pieniądze skorzysta mafia.

Miasteczko z piernika?

Mimo porywistego wiatru starszy mężczyzna pali papierosa przed domem. W wielu wnętrzach zainstalowano czujniki dymu, podobne do tych stosowanych w biurach i hotelach. Zdaniem emeryta wszystkie mieszkania oddane lokatorom, którzy zgodzili się wrócić na Biskupią Górkę, wyraźnie pomniejszono. Na Biskupiej 8 trzy osoby musiały się zmieścić w 20-metrowym lokalu.

Pan Leszek za mieszkanie w budynku pamiętającym I wojnę światową musi płacić 500 zł. Jego czynsz w ciągu trzech miesięcy wzrósł prawie dwukrotnie, a on i tak spodziewa się jeszcze podwyżki czynszu i opłat do 800 zł lub nawet 1 tys.

– Mieszkam tu od ponad 30 lat i nigdy nie było remontu. Przegniła podłoga zapadała się do piwnicy, sam wymieniałem okna, obiecali mi, że odpiszą kwotę od czynszu. Oczywiście narobiłem się za frajer, bo nie dali mi żadnej umowy. Czyli płacę więcej tylko za to, że ulicę, na której mieszkam, uznano za luksusową. W końcu mieszkam w Śródmieściu. Luksus ogranicza się tu do podłogi wyremontowanej przez wspólnotę mieszkaniową. Nie zapadnę się do piwnicy – ironizuje starszy człowiek.

Na murach kamienic można niekiedy dostrzec rewolucyjne hasła, takie jak „Eat the rich" (Zjedz bogatych). Nie brakuje plakatów Food not Bombs – anarchistycznej inicjatywy rozdającej ciepłe posiłki osobom w kryzysie bezdomności. Brakuje natomiast wspólnoty zdolnej do jednoczenia się nawet wokół najbardziej umiarkowanych żądań. Buntownicze graffiti zlewają się więc w jedną masę z logo klubów piłkarskich, obelgami i napisami pozostawionymi przez dawnych niemieckich właścicieli sklepów.

Obecnie pozostało może ok. 5% lokatorów mieszkań komunalnych. Wielu wyprowadziło się na Zakoniczyn, Łostowice i Orunię Górną. Teraz za mieszkanie płacą 1-1,5 tys. zł. Wyprowadzającym się miasto gwarantowało czynsz takiej wysokości jak na Biskupiej Górce, a przenieść się mieli tylko na czas rewitalizacji. Oczywiście obietnicami bez pokrycia w dokumentach nikt potem się nie przejmował.

– Wzgórze będzie się zamieniało w jeden wielki hotel. Obawiam się, że Biskupia Górka, jaką znam, szybko zniknie. Nikt tu nie powróci, bo nikomu nie będzie się to opłacało. Tych, którzy mimo wszystko zdecydują się zostać, pewnie przekonają pieniądze od osób i firm skupujących mieszkania – sądzi Aleksandra Filipowicz.

Zdaniem społeczników zaangażowanych w proces rewitalizacji ulic Biskupiej czy Salwator dzielnica stanie się atrakcją dla przyjezdnych i mieszkańców miasta. Spragnionych doznań estetycznych będą przyciągały place rekreacyjne i XIX-wieczne fortyfikacje. Powstanie muzeum. Stowarzyszenie Biskupiej Górki robi wszystko, by zachować historię dzielnicy, wytworzyć wspólną tożsamość również u nowych mieszkańców.

– Wszystko będzie kwestią kompromisu. Biskupia Górka z czasów mojej młodości bezpowrotnie odejdzie. Jednak chcemy tu mieszkać i czujemy się gospodarzami. Będziemy więc walczyć, by nie stała się miasteczkiem z piernika. Jestem pełna optymizmu. Na Biskupiej Górce nie ma przecież zbyt wiele miejsca dla nowej zabudowy. Na masową skalę nie wejdą tu więc deweloperzy – podsumowuje mieszkanka domu na Biskupiej.

Maciej Ostrowski

Od września do maja lokatorzy mogą mieszkać, potem mają zniknąć, bo turyści to lepszy zysk.

Za kilka lat mafiozi mogą połączyć tradycyjną działalność przestępczą z przedsięwzięciami deweloperskimi na Biskupiej Górce.

eprasa.pl bbea4abf0d

Oko w oko

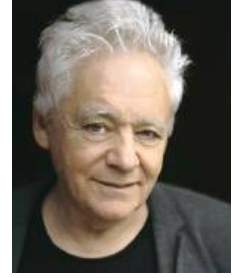

Tomasz Jastrun

Teoria chaosu

Gdy patrzę na ławę po prawej stronie sali plenarnej Sejmu, widzę w niej trzy karykaturalne postacie. Terlecki, Kaczyński, Błaszczak – są jak kukły z Muppet Show. Marzą o zemście, zapowiadają zemstę, żyją nadzieją na zemstę. „To, co obecnie się dzieje, to są zaplanowane działania mające na celu likwidację państwa polskiego”, przemawiał prezes na proteście przeciw uwięzieniu ks. Michała Olszewskiego. Tłum zgromadził się przed Sejmem, by bronić duchownego, który oskarżany jest o malwersacje finansowe. Dalej Kaczyński mówił: „Plan, do którego realizacji został wysłany Tusk, to plan delegalizacji naszego państwa. Będziemy terenem zamieszkałym przez Polaków, ale zarządzanym z zewnątrz”. Tusk został rzecz jasna wysłany przez Niemcy. Jaki musi być stan umysłów elektoratu PiS, że ludzie ci wierzą w takie banialuki.

Zaczęła się budowa nowego mitu. Prześladowanie księży przez Tuska. „Jak ktoś pamięta takie metody, to z lat 70. Niektóre metody tortur były z czasów carskich – ciągnął prezes. – Czas zadać pytanie, po co to uczyniono. Jeśli księdza aresztuje się w Wielki Czwartek, to ma to wymiar symboliczny, nikt nie jest w stanie temu zaprzeczyć”. Ten motyw Wielkiego Czwartku wzrusza.

•

Głosowanie w Sejmie, kilku głosów zabrakło, by znieść karalność za pomoc w aborcji. To omsknięcie się o włos, ale ten włos może okazać się gruby. Chyba zawsze baliśmy się, że aborcja podzieli koalicję. Konserwatyzm chłopskiej partii irytuje. Ktoś z przesadą powie, że chłopi zarzynają bez zmrużenia powiek zwierzęta, które mają o wiele więcej duszy niż kilkutygodniowy ludzki płód. Znamienne, że ci, co się tak trzęsą nad zaczątkiem życia, zwykle nie mają za wiele szacunku dla życia już rozwiniętego i są najczęściej zwolennikami kary śmierci. Proponuję jednak więcej nie wylewać kubłów pomyj na PSL i Giertycha, stop histerii, a potem wrócić do projektu. Za wiele jest do stracenia, by się rozgoryczać i dzielić.

•

Dawno nie widzieliśmy się z Ulą. A przyjaźniliśmy się w latach 60. Była śliczną dziewczyną, brunetką o wielkich, zielonych oczach. Teraz – piękna starsza pani. Pod koniec lat 60. wyjechała na studia do Anglii. Odwiedziłem ją w 1972 r. w Yorku. Potem mieszkała we Francji, w Paryżu, mieszkałem u niej; teraz ma dom w Montpellier. Jest wybitnym naukowcem, genetykiem. Jej mąż Allan, z którym w Paryżu grywałem w tenisa, zmarł na zanik mięśni już dawno temu. Nie ma takiego raju, gdzie nie byłoby wielkich nieszczęść.

Oczy Uli są takie same jak kiedyś, taki sam uśmiech. Żywy, błyskotliwy umysł. „Wszystko się rozpada, demokracja też”, martwi się. Uważa, że motorem zła są media społecznościowe; prawda stała się nieoczywista, ludzie żyją w chaosie. Ale z radością mówi o klęsce prawicy we Francji. To była gardłowa sprawa. Ula założyła fundację, która ma stworzyć program myślenia opartego na nauce. Jej córki nie chcą mieć dzieci, bo nadciąga katastrofa klimatyczna.

•

„Scenariusz” zamachu na Trumpa był doskonały z punktu widzenia jego kampanii. Lekko ranny, ale na potrzeby widowiska dużo krwi, opleciony przez agentów, ale z pięścią wyciągniętą ku amerykańskiej fladze i tłumowi. Świetne na plakat i na pomnik. Teraz Trump mówi, że to był palec boży, ocalał, jest więc nietykalny i namaszczony przez Stwórcę, by władać. A wyborcy oraz demokratyczne media wołają, że to nadal jest faszysta, jak dojdzie do władzy, zniszczy demokrację. Trumpowcy są pewni, że jak demokraci dojdą do władzy, to imigranci całkowicie zaleją kraj. Tu nie ma żadnego pola do dyskusji. Ale u nas przecież jest podobnie.

Kilku głosów zabrakło w Sejmie, by znieść karalność za pomoc w aborcji. To omsknięcie się o włos, ale ten włos może okazać się gruby.

W „Polityce” rozmowa z George’em Willem, mówi: „Trump ma swoisty spryt, rodzaj zwierzęcego instynktu wyczuwającego pokłady niezadowolenia w znacznej części Ameryki”. Skąd my to znamy... „Baza ruchu Trumpa składa się z ludzi, którzy uważają, że odmawia im się nie tyle dóbr materialnych, ile takich wartości jak uznanie, prestiż, status społeczny. Że pogardza się nimi, że patrzy na nich z góry elita, politycy, ci w liberalnych mediach, na wyższych uczelniach”. Znajoma mówi, że tak samo jest we Francji. Prawicowo myślący mają poczucie, że Macron, błyskotliwie inteligentny, lecz arogancki, gardzi nimi. Najbardziej miotają się nie ci, którzy mają mało, ale ci, którzy mają już sporo i boją się, że to stracą. Tak było przecież z dosyć zamożnymi rolnikami nie tylko we Francji, bo też w Polsce. Moi liczni znajomi i bliscy nieznajomi mówią i piszą: „Jaka szkoda, że ten biedny chłopak na dachu trafił Trumpa tylko w ucho”. Po śmierci syna Danuty Holeckiej, gwiazdy pisowskiej propagandy, słyszę głosy, że zasłużyła sobie na to. Wszyscy w istniejących okolicznościach stajemy się gorsi. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bbea4abf0d

Nowy faszyzm nie ma już twarzy mężczyzny

Kryzys męskości często wykorzystują politycznie kobiety, jak Marine Le Pen we Francji czy Sue-Ellen Braverman w Wielkiej Brytanii

Rozmawia Artur Zaborski
Korespondencja z Karlowych Warów

MARK COUSINS
– irlandzki reżyser, scenarzysta i krytyk filmowy, laureat festiwalu w Karlowych Warach

Jaką rolę odgrywa dziś kino?

– Kino jest formą snu. Świetnie sprawdza się w łączeniu nas z naszą podświadomością, z ego. Potrafi poddać analizie to, czego się boimy, co nas martwi. Pozwala doświadczyć tego w bezpiecznych warunkach. Podczas seansu w ciemnej sali kinowej możemy się wyluzować. Pozwolić, żeby zalały nas emocje, których unikamy poza kinem. Poddajemy się im, bo wiemy, że nie spotkają nas żadne konsekwencje. Pozwalamy sobie na strach, fantazję, gdybanie, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy byli w skórze bohatera. Łączymy się z pragnieniami i niepokojami, do których nie chcemy nawet się przyznać. Kino pozwala nam dotrzeć do dzikiej i nieujarzmionej części naszej natury.

Czyli wciąż ma ono znaczenie? Wiele osób utyskuje, że to już tylko chłam na platformach streamingowych.

– Pytanie, które należy sobie zadać, odnosi się do kreatywności. Pesymiści mówią, że kino umarło i został nam tylko streaming. Ale wystarczy się rozejrzeć, żeby dostrzec, że w tylu miejscach na świecie zachodzą ciekawe zjawiska. Każdy film, który zrobią Radu Jude z Rumunii albo Apichatpong Weerasethakul z Tajlandii, to wydarzenie. Kino nadal jest zasilane przez takich twórców.

Dawniej czytałem artykuły korespondentów z Cannes czy z Wenecji, a potem trzeba było czekać długie miesiące, aż te filmy się zobaczy. Dzisiaj filmów jest tyle, że człowiek nie nadąża z oglądaniem bieżących premier.

– Widzę, że ktoś tu jest nostalgiczny. Niebezpiecznie jest patrzeć w przeszłość. Warunki, w jakich odkrywaliśmy kino, wcale nie były idealne, miały mnóstwo wad, których z czasem zdajemy się nie dostrzegać. Popatrzyłbym na współczesność z odwrotnej perspektywy. Żyjemy w czasach idealnych do zakochiwania się w kinie, bo jeśli właśnie przeczytałem o filmie „La Strada" Felliniego, to mogę dotrzeć do niego w pięć minut. Kiedy czytałem w młodości o arcydziele Orsona Wellesa „Obywatel Kane", musiałem czekać aż 10 lat, zanim udało mi się je zobaczyć. Oczywiście, że ten czas oczekiwania rozbudzał apetyt na filmy. Ale naprawdę wolałbym obejrzeć „Obywatela Kane'a", kiedy miałem 12 lat, niż jako 22-latek. Pamiętajmy o krajach, w których nie ma zbyt wielu kin, takich jak Arabia Saudyjska, albo gdzie panuje

FOT. FILM SERVIS FESTIVAL KARLOVY VARY

eprasa.pl bbea4abf0d

reżim polityczny – ludzie mogą dotrzeć do każdego rodzaju kina dzięki czarnemu rynkowi w internecie. Za mojej młodości nie było nawet czarnego rynku.

Moją wiarę w kino rozbudziła na nowo sytuacja w Polsce za poprzedniej władzy. Agnieszka Holland zrobiła wtedy „Zieloną granicę" o kryzysie humanitarnym na granicy polsko-białoruskiej. Nie pamiętam takiej nagonki na filmowca w Polsce rozpętanej przez rząd. Ani takiego wsparcia ze strony publiczności – to był hit frekwencyjny.

– Przyjechałem do Polski podczas rządów radykalnej prawicy na festiwal filmowy. Zarówno jako film otwarcia, jak i projekcję zamykającą wydarzenie wybrano produkcję o osobach LGBT+. Tym wspaniałym gestem organizatorzy jasno odrzucili nagonkę rządu na osoby nieheteronormatywne. Był to także wyraz pozytywnego podejścia do świata. Kino poszerza nasze zdolności myślenia o tym, kim jest człowiek, jak jesteśmy różni. Ważne, żeby artyści nie czuli się samotni i opuszczeni, kiedy idą pod prąd władzy. Solidarność z Agnieszką Holland wyrażali filmowcy na całym świecie.

Podobnie było w przypadku reżysera Ołeha Sencowa, kiedy Rosjanie skazali go na 20 lat kolonii karnej. Pan też za nim się wstawiał.

– Gdy zaproszono mnie na festiwal do Sankt Petersburga, Ołeh siedział w więzieniu. Byłem w Rosji razem z Krzysztofem Gieratem, dyrektorem Krakowskiego Festiwalu Filmowego. Nie czuliśmy się więc komfortowo, korzystając z gościnności Rosjan. Wyszliśmy na ulicę, trzymając zdjęcie Ołeha, domagaliśmy się jego uwolnienia. Potem to zdjęcie rozeszło się po mediach społecznościowych.

Spotkały was za to jakieś konsekwencje?

– Nie, bo to działo się jeszcze przed agresją Rosji na Ukrainę. Musimy być solidarni z innymi filmowcami. Niezależnie od tego, czy siedzą w więzieniu w Iranie, czy ich wolność słowa jest ograniczana w Chinach. Po to są festiwale filmowe, żeby pokazywać naszą siłę. To idealne miejsce do wyrażania wsparcia dla innych i do lepszego zrozumienia ludzi dzięki filmom.

Co pan za pomocą kina próbuje zrozumieć?

– Jestem dość szybki w działaniach, mam dużo energii. Nie potrzebuję więc kina, żeby sobie przyśpieszać bicie serca. Szukam raczej czegoś odwrotnego niż mocnych wrażeń. Oczywiście nie oznacza to, że nie doceniam kina – jestem dużym fanem blockbustera „Furiosa: Saga Mad Max". Wolę jednak, gdy filmy mnie uspokajają, wprowadzają w nastrój kontemplacji.

Ważne, żeby artyści nie czuli się samotni i opuszczeni, kiedy idą pod prąd władzy.

Dlatego przepadam za dokonaniami Apichatponga, Abbasa Kiarostamiego i innych twórców *slow cinema*. W ich produkcjach chodzi nie o podążanie za akcją, oglądanie, ale o doświadczanie tego samego, co bohaterowie, bycie w stanie, w jakim oni są. Utożsamianie się z ich emocjami i odczuciami. Nie jestem zwolennikiem filmów, w których akcja odgrywa dominującą rolę. Historia jest wyłącznie pretekstem do tego, żeby widza dokądś zabrać. Do jakiegoś stanu emocjonalnego, przeżycia.

Pański film „A Sudden Glimpse to Deeper Things" wygrał właśnie festiwal w Karlowych Warach. W jaką podróż chciał pan zabrać widzów?

– Przedstawiam postać brytyjskiej malarki Wilhelminy Barns-Graham. Pierwszy raz zobaczyłem jej prace w latach 80. Zakochałem się w nich, są hołdem dla natury, a jednocześnie charakteryzuje je matematyczna precyzja. Nie myślałem wtedy, żeby zrobić o Wilhelminie i jej twórczości film. Jednak gdy jakiś czas temu napisałem o niej w mediach społecznościowych, odezwał się do mnie człowiek, który zajmuje się spuścizną artystki. Zaprosił mnie do obejrzenia jej archiwum. I od słowa do słowa doszliśmy do tego, żebym nakręcił film. Od razu wiedziałem, że nie interesuje mnie kino biograficzne. Chciałem raczej zajrzeć do jej mózgu.

Jak się zagląda do czyjegoś mózgu?

– Bardzo mnie zajmuje relacja neurologii i sztuki, np. zjawisko hiperfantazji. Dotyczy osób, które mają bardzo bogatą wyobraźnię wizualną i potrafią przywołać obrazy w głowie. Poproszę, żeby pan pomyślał o swojej matce. Większość ludzi widzi w głowie rozmyty obraz. Jeśli pan potrafi zobaczyć wyraźny wizerunek, to znaczy, że znalazł się pan w tej wąskiej grupie ludzi z hiperfantazją. Większość z nas nie potrafi przywołać obrazu matki, dopóki nie dostanie do ręki jej fotografii. Pod tym kątem Wilhelmina jest o tyle ciekawą postacią, że doświadczała synestezji (zjawiska neurologicznego, w którym stymulacja jednego zmysłu prowadzi do mimowolnych doświadczeń w innym zmyśle. Osoby z synestezją mogą widzieć kolory podczas słuchania muzyki, odczuwać smaki, gdy słyszą określone dźwięki, czy widzieć kolory liter i cyfr – przyp. red.). To czyniło ją jeszcze ciekawszą bohaterką. Założę się, że gdyby przyjechała do Karlowych Warów, nie malowałaby architektury austro-węgierskiej, tylko szukałaby czegoś bardziej teksturalnego. A ja uwielbiam, kiedy artyści pokazują nam coś, czego sami nie jesteśmy w stanie dostrzec. Żeby opowiedzieć o Wilhelminie, nie mogłem podążać za klasycznym scenariuszem.

Mark Cousins – (ur. w 1965 r.) znany z dzieł eksperymentalnych i dokumentalnych. Jego prace często poruszają tematy społeczne, polityczne i kulturowe („Marsz na Rzym" o faszyzmie, „Another Journey by Train" o brytyjskich neonazistach). Najnowszy film, „A Sudden Glimpse to Deeper Things", zdobył główną nagrodę, czyli Kryształowy Globus, na zakończonym niedawno festiwalu w Karlowych Warach.

eprasa.pl bbea4abf0d

Narysowałem szkice rozdziałów niczym architekt. Każdy z nich próbował tłumaczyć, co oddziaływało na Wilhelminę jako artystkę. Jeden z rozdziałów mówi o jej wyprawie na lodowiec w Szwajcarii. Wróciła stamtąd odmieniona, to wpłynęło na jej sztukę. Inny mówił o uzależnieniu od malowania. W wieku 90 lat nadal tworzyła.

Pańska miłość do kina też trwa całe życie. Pamięta pan moment, kiedy pan się w nim zakochał?

– Miałem chyba osiem lat. W brytyjskiej telewizji późno w nocy obejrzałem „Dotyk zła" Orsona Wellesa. Otwierająca scena była tak mroczna… Dziś wiem, że to film o rasizmie, seksie i moralności. Ale w młodym wieku nie byłem w stanie tego odczytać, za to scena ze mną została. To było tak silne doznanie, że jej nastrój potrafiłem przywoływać latami – dziś porównałbym je do przeżycia erotycznego.

Nic dziwnego, że potem zrobił pan film o Wellesie. A skąd w pańskiej filmografii wziął się niekonwencjonalny dokument o faszyzmie?

– Ciekawiło mnie, w jaki sposób ta ideologia próbowała zrobić użytek z kina, wykorzystać je do szerzenia propagandy.

Dziś mówi się, że neofaszyści często wykorzystują sztukę audiowizualną, choćby w mediach społecznościowych, żeby wpływać na ludzi. Historia się powtarza?

– Na pewno jakiś wzór jest używany ponownie w ten sam sposób. Mnie fascynuje, jak w ludziach rodzą się takie poglądy i dlaczego nie dostrzegają oni tego, co dzieje się po drugiej stronie. Gdy miałem ponad 20 lat, zrobiłem film „Another Journey by Train" o czterech brytyjskich neonazistach, którzy zaprzeczali istnieniu Holokaustu. Zabrałem ich do muzeum Auschwitz-Birkenau, żeby zobaczyć, jak to na nich wpłynie. Zaczęli zmieniać punkt widzenia, dopiero gdy stanęli twarzą w twarz ze świadkami Zagłady.

Jak pan tłumaczy zwrot w stronę skrajnej prawicy w Europie?

– Jest wiele powodów. W kapitalizmie zyski z ciężkiej pracy mas czerpie grupa niewielu osób na szczycie systemu finansowego. Społeczeństwo czuje się coraz uboższe. A poza tym wydarzenia na Bliskim Wschodzie – arabska wiosna, wojna w Syrii – sprawiły, że ludzie zaczęli częściej migrować, co w Europie napędziło jeszcze większy lęk przed przybyszami. Do tego dochodzi kwestia mediów społecznościowych i ich algorytmów: popychają one ludzi w bardziej ekstremalne kierunki, ponieważ działają na zasadzie tzw. błędu potwierdzenia (tendencja ludzi do poszukiwania, interpretowania lub zapamiętywania informacji w taki sposób, który potwierdza ich istniejące przekonania lub hipotezy – przyp. red.). Panuje też kryzys męskości, poza tym im dalej od okresu nazistowskiego, tym mniej ludzi, którzy go przeżyli, jest w stanie powiedzieć: „Nie możemy tego znowu robić".

> Algorytmy mediów społecznościowych popychają ludzi w coraz bardziej ekstremalne kierunki.

W Polsce dużo rozmawiamy o kryzysie męskości. Sporo młodych chłopaków w ostatnich wyborach zagłosowało na Konfederację, co było o tyle zaskakujące, że generacja Z uchodzi za postępową, liberalną i aż za bardzo tolerancyjną.

– To samo wydarzyło się w Niemczech. Młodzi mężczyźni z generacji Z głosują chętniej na skrajną prawicę niż ich ojcowie. Obwiniam o to debatę na temat męskości, która nie jest wystarczająco głęboka. Jestem oddanym feministą i nie mam wątpliwości, że kobiety są równe mężczyznom. Problem polega na tym, że młodzi mężczyźni zaczynają myśleć, że męskość jest po prostu toksyczna. A takie osoby jak Andrew Tate (influencer znany z kontrowersyjnych poglądów na temat kobiet – przyp. red.) z premedytacją tym myśleniem manipulują i wykorzystują je do swoich celów. Jak dorzuci pan do tego prominentnych polityków, Donalda Trumpa czy Nigela Farage'a, sprawa robi się poważna i groźna, bo ich retoryka sprawia, że mężczyźni na całym świecie zaczynają się czuć zagrożeni. Proszę zwrócić uwagę, że duża część osób, które wykorzystują ten kryzys politycznie, to dziś kobiety, by wspomnieć Marine Le Pen we Francji czy Sue-Ellen Braverman w Wielkiej Brytanii. Stary faszyzm miał twarz mężczyzny, nowy faszyzm już nie.

Artur Zaborski

KSIĄŻKI

MASONI RZĄDZĄ ŚWIATEM

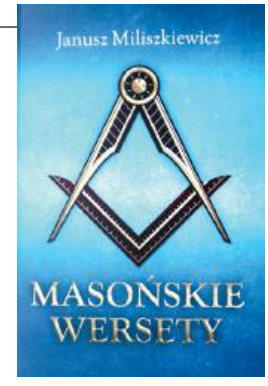

Akcja powieści Janusza Miliszkiewicza „Masońskie wersety" rozgrywa się w latach 90. w Paryżu, Strasburgu i Warszawie, gdzie uczestniczymy w narodzinach polskiej masonerii. To pełen humoru portret Polski z lat przełomu ustrojowego i gospodarczego. Jeden z bohaterów buduje willę w Konstancinie; do ogrodu kupuje amerykańskie wiewiórki, ponieważ są większe od naszych. Liczy się tylko pieniądz. Masoni zarabiają na handlu fałszywymi obrazami.

W 1995 r. Polska podpisała Europejską Kartę Społeczną – dokument Rady Europy dotyczący praw socjalnych Europejczyków, który wcześniej ustanowiony został przez masonów w Strasburgu. Do loży w Warszawie wstępuje funkcjonariusz MSZ. Czy masoni rządzą światem? Czy to powieść z kluczem?

Lektura stanowi dobrą zabawę. Ksiądz podczas wykładu mówi, że masoni wynaleźli karty kredytowe, żeby zniszczyć Polaków. „Pewnego dnia mason w siedzibie Wspólnoty Europejskiej w Brukseli wyśle impuls elektroniczny do kart kredytowych, które nosimy w kieszeniach marynarek, i wtedy serca prawdziwych Polaków przestaną bić"…

Janusz Miliszkiewicz, *Masońskie wersety*, Wydawnictwo BookPlan.pl

eprasa.pl bbea4abf0d

FESTIWAL

30. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce
Adam Wendt Quartet The Choice

Saksofonista tenorowy Adam Wendt, od lat plasujący się w czołówce polskich saksofonistów jazzowych, jest także kompozytorem i aranżerem. Jako solista i muzyk sesyjny współpracował z jazzową czołówką oraz gwiazdami muzyki pop. Wieloletni członek Walk Away, założyciel zespołów Adam Wendt & Friends i Adam Wendt Triologue, aktualnie zaś prowadzi Adam Wendt Power Set i Adam Wendt Acoustic Set z hiszpańską wokalistką Laurą Cubi Villeną oraz najnowszy autorski projekt – The Choice, znakomicie przyjęty przez branżę jazzową, krytykę i publiczność. Doborowy skład tworzą: kontrabasista Mariusz Bogdanowicz, perkusista Sebastian Frankiewicz i pianista Dominik Wania, który gra również w kwartecie saksofonisty Macieja Obary, a na otwarcie festiwalu wystąpił z Markiem Napiórkowskim. *(ap)*

Więcej na: www.jazznastarowce.pl, www.facebook.com/festiwaljazznastarowce.
Warszawa, Rynek Starego Miasta, 27 lipca, godz. 19

MIĘDZY OKŁADKAMI

Piotr Korduba, Jarosław Trybuś
Warszawskie mieszkania.
Biografie miejsc, rzeczy i ludzi
OsnoVa, Warszawa 2024

„Moje hobby to mieszkania". Tak brzmiał tytuł rubryki w pierwszym polskim magazynie lifestylowym „Ty i Ja", którą prowadziła Felicja Uniechowska. Słynna historyczka sztuki (a dokładnie jej mieszkanie) jest bohaterką tej książki. Hobby, a może wręcz pasja sprawiła, że dostaliśmy świetnie napisaną i pięknie wydaną, bogatą w zdjęcia Tomo Yarmusha, książkę o ludziach i miejscach, gdzie każdy przedmiot ma swoją historię. Możemy zajrzeć do lokum m.in. Justyny Sobolewskiej, Małgorzaty Szumowskiej, Andy Rottenberg, Karoliny Hansen czy Macieja Sieńczyka. To mieszkania nie tylko oryginalne, warszawskie, ale i mocno osobiste, dalekie od katalogowej sztancy. Mają swoje życie, bo nie są urządzone na modłę apartamentów hotelowych jak u aspirującej klasy średniej, to dzieła sztuki życia codziennego, złożone z czułych gestów, rytuałów i wspomnień. Dla miłośników dizajnu i Warszawy pozycja obowiązkowa.

Rafał Pikuła

NA EKRANACH

Deadpool & Wolverine
reż. Shawn Levy, prod. USA, premiera 26 lipca

Niepoprawność w obcisłym kostiumie

W czasach, kiedy poprawność polityczna wiąże filmowcom języki, seria „Deadpool" nie zawodzi. Wystarczy zajrzeć do mediów społecznościowych Ryana Reynoldsa, twarzy tej produkcji, żeby się przekonać, że facet ma w nosie panującą w Hollywood etykietę. Gdy inne gwiazdy chcą być zupą pomidorową i nikomu nie podpaść, 47-letni Kanadyjczyk naśmiewa się z siebie, otoczenia i drażliwych spraw. „Moja córka marzyła, żeby odwiedzić Disneyland. Była taka szczęśliwa, kiedy pojechałem tam i opowiedziałem jej, jak tam jest" – to tylko jeden z jego niepoprawnych wpisów. Wyprodukowany przez Reynoldsa „Deadpool & Wolverine" nasycony jest podobnymi tekstami. Film łączy dwóch superbohaterów: Deadpoola i Wolverine'a (Reynolds i Hugh Jackman), tylko że ten duet facetów z supermocami wcale za sobą nie przepada. Działają sobie na nerwy, przeklinają, uciekają w używki. To jeden z najbardziej ludzkich filmów o superherosach. Pokazuje, że superbohater też człowiek i choć ma szczytne intencje, często traci panowanie nad nerwami. A to, co robi, walcząc ze sobą, jest znacznie ciekawsze, niż kiedy walczy ze złem. *Artur Zaborski*

KURTYNA W GÓRĘ

Słówka do płakania

W pierwszej części publiczność często reaguje śmiechem, obserwując utarczki zaborczej matki z córką, a potem początki romansu matki z sąsiadem astronautą. W części drugiej widownia milknie i płacze – tak ma być, ktokolwiek widział „Czułe słówka" z Shirley MacLaine, Debrą Winger i Jackiem Nicholsonem wie, że inaczej nie można.

Jednak powiedzieć o tym spektaklu (czy filmie, 1983), że to wyciskacz łez, byłoby niesprawiedliwością – dramat posługuje się silnymi emocjami, aby ukazać, co kryje się pod powierzchnią szorstkich relacji. Świetnie ta przemiana została oddana w scenicznej wersji w Och-Teatrze, gdzie aktorzy zademonstrowali kunszt w budowaniu portretów psychologicznych: ekscentrycznej Aurory (matka) w brawurowym wykonaniu Aleksandry Popławskiej (gra na zmianę z Katarzyną Gniewkowską), stłamszonej, ale rogatej Emmy (córka) Elizy Rycembel i zblazowanego smakosza życia Garreta (astronauta) Krzysztofa Dracza. Umiejętne skróty i umowne znaki teatralne, sugestywna ilustracja muzyczna Tomasza Jakuba Opałki i scenografia Aleksandry Szempruch tworzą mikroświat, w którym uczucia wchodzą na najwyższe obroty. Ulega im publiczność, a pomaga w tym umiejętnie dozowany mały realizm i szczypta melodramatyzmu. Pierwszorzędna robota. *Tomasz Miłkowski*

Larry McMurtry, „Czułe słówka", tłumaczenie Rubi Birden, reżyseria Paweł Paszta, Och-Teatr, premiera 25 czerwca 2024

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl bbea4abf0d

Złoto na nowotwory

Czy gwiazdki ninja pokonają komórki glejaka

Bronisław Tumiłowicz

Co my, laicy w dziedzinie nauki, wiemy o działaniu złota czy innych metali szlachetnych na ludzki organizm? Na pewno od starożytności było jasne, że złoto ma właściwości przeciwzapalne i antybakteryjne, dlatego może wspomagać gojenie się ran. Dzięki dużej kowalności kruszec można spłaszczyć do bardzo cienkiej warstwy i wykorzystać np. jako element opatrunku. Złoto znalazło zastosowanie również w stomatologii do wypełniania ubytków zębów. Pomaga też w leczeniu schorzeń skóry, serca, kości, wątroby oraz jako środek uspokajający. Różnymi zastosowaniami metali szlachetnych w medycynie zajmują się także polscy naukowcy.

Siła nanocząstek

Pojawiła się m.in. informacja, że nanocząstki złota zabijają komórki rakowe. W Instytucie Fizyki Jądrowej Polskiej Akademii Nauk w Krakowie postanowiono zająć się zdrowotnymi zaletami tego pierwiastka. Wypreparowano i wyhodowano rodziny komórek rakowych glejaka oraz raka jelita grubego. Metodami chemicznymi utworzono też drobiny złota o rozmiarach miliardowych części metra. Ponieważ w krakowskim IFJ powstało centrum medyczno-akceleratorowe przeznaczone do radioterapii protonowej, potraktowano komórki rakowe nanocząsteczkami złota.

Wyniki nie od razu zachwyciły. Okazało się, że nanocząsteczki zaburzają funkcje życiowe komórek rakowych, ale na krótko. Lepiej niszczą wroga nanocząsteczki w kształcie gwiazdek – a takie też potrafią syntetyzować laboratoria PAN w Krakowie. Być może do wytwarzania takich gwiazdek zainspirowały naukowców filmy, w których mistrzowie sztuk walki rzucają w przeciwników metalowymi gwiazdkami ninja? Jaki był powód, nie wiemy, ale utworzono nawet model teoretyczny wojny złota z rakiem dzięki analizie przeprowadzonej na Uniwersytecie Rzeszowskim i na Politechnice Rzeszowskiej. Skoro w instytucie w Krakowie można wytwarzać nanocząstki wieloma metodami, otrzymując drobiny o różnych rozmiarach i kształtach, z syntetycznego złota wyprodukowano nie tylko sferyczne nanocząstki o rozmiarach 10 nanometrów, ale także cząstki aż 200-nanometrowe, właśnie o budowie gwiaździstej, które niszczyły glejaka nadzwyczaj skutecznie. Wojnę złotych sekrecji z rozmnażającymi się komórkami nowotworowymi obejrzano dokładnie dzięki użyciu pierwszego w Polsce mikroskopu holotomograficznego, zakupionego przez IFJ PAN ze środków Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Nowoczesna nauka i eksperymentalne technologie pozwalają na wprowadzanie do terapii nowych

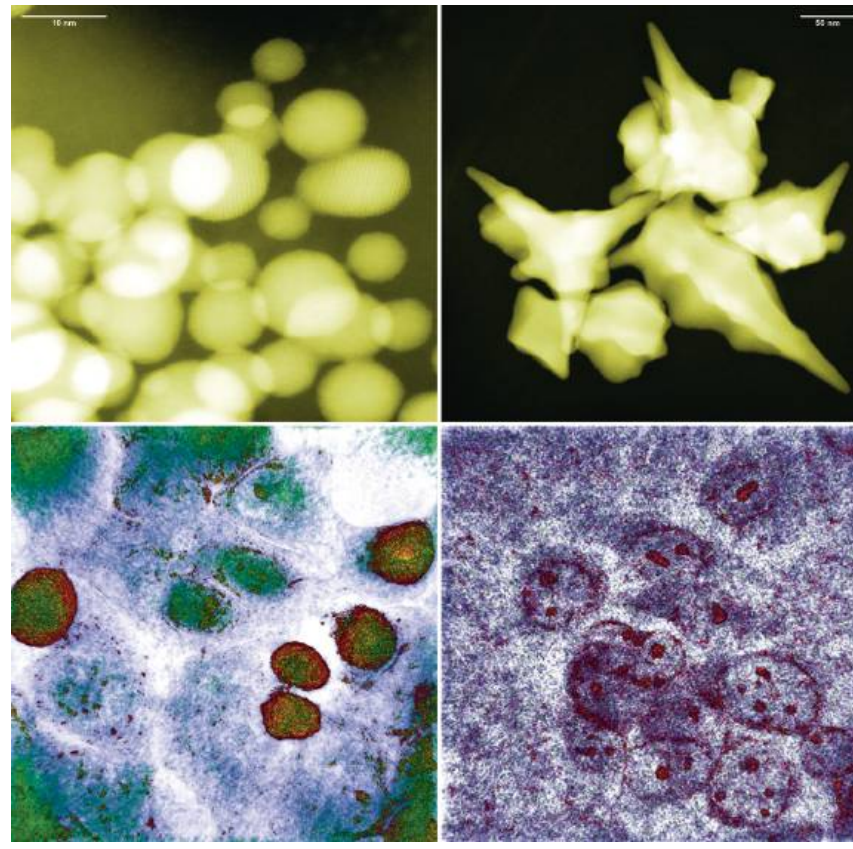

Sferyczne i gwiaździste nanocząstki złota (na górze) oraz (na dole, odpowiednio) wystawione pięć godzin wcześniej na ich działanie komórki nowotworowe jelita grubego. Zdjęcie w lewym dolnym rogu dowodzi, że mimo małych rozmiarów nanocząstek sferycznych komórki nowotworowe przeżyły.

FOT. IFJ PAN

eprasa.pl bbea4abf0d

środków medycznych. Czy jednak złote gwiazdki będą niedługo lekarstwem na straszną chorobę?

Za tak zarysowanym problemem stoi jedna osoba – dr hab. inż. Joanna Depciuch-Czarny (IFJ PAN), inicjatorka badań i pierwsza autorka artykułu omawiającego rezultaty eksperymentów, opublikowanego na łamach czasopisma „Small".

Zanim zaczną leczyć

Jak nowe, obiecujące badania naukowe mają się do praktyki? Niestety, nie ma bezpośredniego przejścia od pomysłu do przemysłu. Spójrzmy na naszą onkologię. Pomijając względy organizacyjne i niedofinansowanie tej dziedziny, coraz częściej odnosi ona pewne sukcesy w walce z rakiem. Ukuł się nawet slogan „Rak to nie wyrok". Działa wiele poradni, organizowane są akcje informacyjne, zachęca się społeczeństwo do badań profilaktycznych, aby ograniczyć rozwój tej dotąd śmiertelnej choroby, zanim będzie za późno. Stworzono nawet szybką ścieżkę dla pacjentów – sprawnie postawiona diagnoza i wychwycenie początkowego stadium rozwoju ogniska nowotworowego dają szansę wyleczenia. W arsenale środków medycznych są głównie naświetlania i chemioterapia, ale coraz większe znaczenie przywiązuje się do badań genetycznych. Badany jest materiał uzyskiwany z komórek krwi lub z wymazu z jamy ustnej. Wiadomo ponadto, że młody wiek zachorowania pacjenta na nowotwór może budzić podejrzenia, że to rak o charakterze dziedzicznym. Jeśli zaś zdefiniuje się jego charakter, łatwiej zastosować odpowiednie leczenie.

Instytuty naukowe, nawet niezwiązane bezpośrednio z naukami medycznymi, mają zatem pole do popisu w proponowaniu nowych, jeszcze nie do końca przebadanych odmian terapii. Przykładem niech będą prace prof. Elżbiety Trafny z Centrum Inżynierii Biomedycznej Instytutu Optoelektroniki Wojskowej Akademii Technicznej, redaktor naczelnej czasopisma „Polish Journal of Microbiology". W ramach swojej działalności profesor zajmuje się m.in. wykorzystaniem metod biologii molekularnej i nanotechnologii do rozwoju innowacyjnych technik medycznych. Wyhodowane w jej laboratoriach rodziny komórek rakowych trafiały już wielokrotnie do dysponującego reaktorem Instytutu Badań Jądrowych w Świerku pod Warszawą, a po serii naświetlań wracały do WAT. Obserwatorzy dziwili się, że prof. Trafny wciąż zwleka z opublikowaniem raportu na temat udanych prób. Naukowczyni zapytana przez PRZEGLĄD o ocenę eksperymentów z komórkami nowotworowymi nie chciała komentować ani rezultatów osiąganych w IFJ w Krakowie, ani własnych prac badawczych. Dlaczego? Na podstawie kilkukrotnych pozytywnych wyników trudno ogłaszać wiarygodne tezy, bo „biologia jest zmienna", czasami jednostkowe wyniki mogą mylić. Profesor ostrzegła też entuzjastów stosowania nanocząsteczek, że takie drobinki pierwiastków mogą być szkodliwe dla organizmu.

Złoto znalazło zastosowanie w stomatologii, pomaga też w leczeniu schorzeń skóry, serca, kości, wątroby oraz jako środek uspokajający.

Wątpliwości

– Wynikiem pracy zespołu IFJ jest pokazanie różnic w absorbcji nanocząstek, które są zależne od kształtu i rozmiaru tych nanocząstek – mówi dr hab. inż. Joanna Depciuch-Czarny. – Bardzo trudno policzyć, ile atomów czystego złota jest zawartych w jednej nanocząsteczce. To zależy od ich rozmiaru. Co do szkodliwości nanocząsteczek, pojawia się przy wysokich stężeniach. Można jednak określić stężenie graniczne. Należy też pamiętać, że jest ono inne dla różnych typów komórek. Jakie są perspektywy wprowadzenia nanocząsteczek złota do terapii walki z rakiem? Cały czas trwają prace. Tak naprawdę problem jest ze stabilnością nanocząsteczek złota. W momencie kiedy rozpadają się na jony, mogą siać spustoszenie w organizmie.

Nie ogłaszajmy więc jeszcze zwycięstwa złota nad rakiem, ale z uwagą obserwujmy prace naszych instytutów badawczych. ■

eprasa.pl bbea4abf0d

Prof. Skarżyński oraz zaproszeni goście w otoczeniu uczestników festiwalu.

PRZERWANA CISZA

Prof. Henryk Skarżyński wspólnie ze Światowym Centrum Słuchu w Kajetanach zaprosił 12 lipca publiczność na koncert galowy jubileuszowej, 10. edycji Międzynarodowego Festiwalu Muzycznego Dzieci, Młodzieży i Dorosłych z Zaburzeniami Słuchu „Ślimakowe Rytmy / Beats of Cochlea". Wymyślony przez prof. Skarżyńskiego festiwal jest ewenementem na skalę światową. Organizowany przez Instytut Fizjologii i Patologii Słuchu, daje osobom korzystającym z implantów słuchowych możliwość zaprezentowania talentu i umiejętności muzycznych. Zakwalifikowana przez jury finałowa dziesiątka wystąpiła na scenie Studia Koncertowego Polskiego Radia w towarzystwie profesjonalnych muzyków. Do konkursu mogą się zgłaszać osoby w każdym wieku, zarówno amatorzy, jak i zawodowcy.

„Kiedyś byli niesłyszący albo głęboko niedosłyszący, dziś mogą realizować swoje pasje, a nawet myśleć o profesjonalnej karierze artystycznej", mówił ze sceny prof. Skarżyński.

Anamaria Ştefania Năstase, Rumunia.

eprasa.pl bbea4abf0d

Alexandre Sylvestre, Kanada.

Anna Czupryn, Polska.

Fot. Krzysztof Żuczkowski

Anel Mukazanova, Kazachstan.

Dejan Živković, Serbia.

Erzhigit Sharkhan, Kazachstan.

eprasa.pl bbea4abf0d

PIKANTNY TEMAT

WYROSŁA W BUŁGARII I JEST WYJĄTKOWO OSTRA, JEDNAK NA TYLE, BY BYŁA ZNOŚNA DLA WSZYSTKICH

Chrystian Ślusarczyk

Papryka przybyła do Europy pod koniec XV w., na statkach Kolumba wracających z jego drugiej wyprawy do Ameryki. Europejczycy zawdzięczają ją pokładowemu medykowi – sewilczyk Diego Álvarez Chanca przywiózł ją do Hiszpanii wraz z wieloma innymi egzotycznymi nasionami.

W Polsce jeszcze w latach 80. XX w. wiedza na temat pikantnych potraw sprowadzała się do opowiadań szczęśliwców, którym u węgierskich bratanków udało się zjeść ognisty gulasz czy rybną zupę halászlé. Ci, którzy mieli za sobą doświadczenia z węgierskimi potrawami, byli uznawani za obieżyświatów i koneserów sztuki kulinarnej, bo papryka nie była w PRL towarem łatwo dostępnym. Gdy w warzywnym rzucono tę z importu, nawet sprzedawczyni nie była pewna, czy to wersja słodka, czy ostra. Panowało przekonanie, że od ostrej lepiej trzymać się z daleka, bo „tego piekła nie da się zjeść". Zwiastunem zmiany nastawienia było pojawienie się węgierskich tubek z napisem: csípős paprika, czyli ostrej pasty paprykowej. Mało kto zdawał sobie wówczas sprawę, że ojczyzną papryki są nie Węgry, lecz kraje leżące w Ameryce Środkowej i Południowej.

Dziś, gdy świat stoi otworem, Polacy są już na tyle wyedukowani kulinarnie, by wiedzieć, że istnieje wiele kuchni opartych na ostrym smaku i są one uznawane za jedne z najlepszych na świecie, tak jak kuchnia hinduska.

Potrafi odbić się czkawką

Dlaczego ludzie od Indii, przez Węgry, aż po Amerykę Łacińską cenią sobie ostre potrawy? Powodów jest wiele. Zawarta w ostrej papryce kapsaicyna to znakomity środek przeciwzapalny i antyutleniacz. Spożywanie ostrej papryki przyśpiesza metabolizm, obniża poziom glukozy i złego cholesterolu we krwi. Ostra papryczka w różnych formach rozgrzewa organizm i pomaga oczyścić drogi oddechowe. Działa także przeciwbólowo. Ci, którzy choć raz w tygodniu zjedli ją w postaci surowej lub przetworzonej, żyją dłużej i rzadziej przechodzą zawał czy udar.

Te prozdrowotne właściwości możemy zaobserwować, pod warunkiem że zachowamy umiar. Jak to obiektywnie ocenić?

Ostrość produktów spożywczych mierzymy w SHU, czyli Scoville Hotness Unit. To skala stworzona w roku 1912 przez Wilbura Scoville'a, amerykańskiego chemika o polskich korzeniach (jego babcia prawdopodobnie pochodziła z Chrzanowa). Słodka papryka ma 0 SHU, a czysta kapsaicyna 16 mln SHU!

Bułgarski Duch ma bardzo dziwny, nieregularny kształt, który przypomina papryki uprawiane w klimacie tropikalnym.

Na przykład ziarenka pieprzu mają od 100 do 500 SHU, meksykańska papryczka jalapeño 3,5-10 tys. SHU, czerwona jalapeño 2,5-8 tys. SHU, ale zielona cayenne – 50 tys. SHU. 100 tys. SHU jest uznawane za mocną pikantność powodującą poważny dyskomfort, pocenie się oraz skurcze żołądka. Potrawy zawierające powyżej 100 tys. SHU powodują fizyczny ból. Najprostszym „indywidualnym

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl bbea4abf0d

miernikiem" informującym, że nasz organizm ma dość, jest pojawienie się czkawki. Wilbur Scoville był też jednym z pierwszych, którzy zalecali mleko jako antidotum na skutki ostrego smaku.

W Księdze rekordów Guinnessa znalazła się papryka Carolina Reaper, którą wyhodował Amerykanin Ed Currie. Ma ona od 1,5 mln do 2,2 mln SHU. I rzecz jasna nie poleca się jej nikomu. Na świecie nie brakuje jednak „speców" ogłaszających raz po raz, że Carolina Reaper to „cienki gracz", a oni wyhodowali coś znacznie ostrzejszego…

Dla porównania, węgierska ostra papryka ma najczęściej 2,5-8 tys. SHU. W tamtejszych csárdach (klimatycznych gospodach) potrawy opatrzone przymiotnikiem ognisty lub rysunkiem kilku papryczek nie powinny zatem stanowić wyzwania dla gości znad Wisły. Nie mówiąc o „ostrożercach", którzy mogą wręcz poczuć niedosyt. Ponoć to ukłon w stronę zagranicznych gości i podobna trochę do tureckiej taktyka kulinarna. Tureckie „wytyczne" nakazują bowiem, by w rejonach uczęszczanych przez turystów orientalne słodycze miały znacznie mniej cukru niż w sklepach dla lokalsów, co ma im zapewnić lepszą sprzedaż.

Na Węgrzech od lat trwa rywalizacja między dwoma paprykowymi regionami – Kalocsą i Szegedem. Warto pamiętać, że produkcja powszechnej w naszych sklepach sproszkowanej papryki (i słodkiej, i ostrej) trwa około siedmiu miesięcy.

Pod koniec XIX w. węgierska segedyńska papryka mielona podbiła nawet rynki amerykańskie. A to za sprawą obecnej także w Polsce firmy Jánosa Kotányiego.

Otworzył on w Wiedniu młyn do mielenia papryki i rozwinął interes na cały niemal świat.

Węgrzy tak wnikliwie zgłębiali temat swojego ulubionego warzywa, że przyniosło im to nawet Nagrodę Nobla. Na Uniwersytecie w Szegedzie w latach 1931-1933 najwięksi węgierscy chemicy prowadzili badania dotyczące zawartości papryki. W 1933 r. Albert Szent-Györgyi wyodrębnił nieznaną wcześniej substancję – kwas askorbinowy. Pod tą nazwą kryje się znana wszystkim witamina C. Za swoje dzieło w 1937 r. Szent-Györgyi uhonorowany został właśnie Nagrodą Nobla.

Kultura ostrości

Z bułgarską kuchnią jesteśmy w Polsce stosunkowo dobrze zaznajomieni, choć mylnie uważamy ją za pikantną. Tak naprawdę stanowi mięsno-warzywny miks, a liczne przyprawy (m.in. cząber) czynią ją aromatyczną i zdrową. Choć Bułgarzy lubią zjeść coś ostrego i prywatnie potrafią zakonserwować ostre papryki, najczęściej samodzielnie wyhodowane, kraj nie ma własnego wkładu w ich produkcję na skalę przemysłową. Kilka dni temu jednak tamtejsze media z nieukrywaną dumą ogłosiły, że nowa bułgarska odmiana ostrej papryki tego lata mocno zaznaczy swoją obecność na kulinarnej mapie świata. Mowa o Bułgarskim Duchu o pożądanej na świecie wartości 200 tys. SHU, czyli 10 razy więcej od uprawianej często w Bułgarii lekko ostrej papryczki.

Bułgarski Duch jest dziełem firmy Hot Farm z okolic Warny. Podkreślają tam, że nowa odmiana doskonale rośnie w klimacie wschodniej Bułgarii. Ma bardzo dziwny, nieregularny kształt, który przypomina papryki uprawiane w klimacie tropikalnym. Z typową, intensywną ostrością łączy odrobinę kwasowości typowej dla cytrusów. Badania, które doprowadziły do powstania tej odmiany, trwały aż sześć lat!

– Bułgarzy lubią ostre potrawy. Jednak kultura ich spożywania wciąż jest odległa i sami nie znamy własnej tolerancji ostrości. Chcieliśmy stworzyć odmianę, która będzie wyjątkowo ostra, lecz na tyle, by była znośna zarówno dla nas, jak i dla reszty świata. By mogła godnie reprezentować kraj i stanowiła ważny składnik wielu potraw – zachwala Christo Rodinow, twórca Bułgarskiego Ducha, dodając z dumą: – Tym samym Bułgaria wkracza do grona państw rozwijających kulinarną „kulturę ostrości".

W Bułgarii odpowiednikiem polskiego „smacznego" jest zwrot: *Da ti e sładko* (dosł.: Oby było ci słodko). Nie powinno nas więc zdziwić, że gdy tego lata dostaniemy potrawę z nową papryką, ktoś zwróci się tak do nas…

Mimo globalnego ocieplenia w Polsce wciąż nie jest możliwa uprawa ostrej papryki na skalę przemysłową. Natomiast rodaków hodujących ją na balkonach czy pod foliami z roku na rok przybywa. Dziś na naszych bazarach znajdziemy najróżniejsze rodzaje bardzo ostrej papryki. Wpływ na to ma dostępność nasion. Wśród rodzimych ogrodników hobbystów szczególne względy zyskał Cyklon, zwany polskim jalapeño. Papryczki te nie są zbyt ostre (5 tys. SHU), ale stanowią doskonały, zaostrzający dodatek do wielu potraw.

Wśród rodzimych ogrodników hobbystów szczególne względy zyskał Cyklon, zwany polskim jalapeño.

Doczekaliśmy się nawet odmian, które w 100% powstały w Polsce! To Kraken Red i Lucifer Yellow, rodzaj ostrej papryki chili. Niestety, lista odmian, które brały udział w krzyżowaniu, nie jest do końca znana. Pojawiają się jedynie przecieki.

Ci, którzy chcieliby rozpocząć swoją przygodę z uprawą ostrej papryki, z roku na rok mają do dyspozycji coraz więcej szczegółowych opracowań. Internet także zachęca, by stać się specjalistą w wydajnej uprawie. Frapują już same nazwy stron: bedziepieklo.pl czy pali2razy.pl (!).

Niestety, w sieci nie brakuje filmików, którymi chwalimy się nadprzyrodzoną wytrzymałością w konsumpcji ostrej papryki. Ta niezdrowa rywalizacja i chęć zaimponowania wyczynami może się skończyć bardzo źle. Bo ostra papryka, w każdej postaci, będzie wspaniała i zdrowa tylko pod jednym warunkiem – gdy nie zapomnimy o umiarze i kulinarnych „zasadach bezpieczeństwa". ■

eprasa.pl bbea4abf0d

Mikołaj Gospodarek

BŁOTO WCIĄGA

OPOWIEŚCI Z BAGIEN I ROZLEWISK

Dookoła z mroków nocy wyłaniały się zarysy drzew. Wyboista droga biegnąca wzdłuż Narwi rytmicznie podrzucała samochód. Najpierw usłyszałem, że miską olejową trę o coś twardego pod autem. Po chwili czułem już na kierownicy, że właśnie o coś zahaczyłem. Poczułem zimny pot na plecach, ale siedzący obok mnie Robert, uśmiechając się, stwierdził, że to nic, że to tylko jeden garb, że przejedziemy. I rzeczywiście przejechaliśmy. Na wschodzie pojawiła się jasna łuna. Nim pomarańczowa kulka słońca uniosła się nad horyzontem, minęło jeszcze sporo czasu.

Staliśmy w tych mrokach gdzieś nad Narwią nieopodal Suraża. Było to w połowie marca. Kilka dni wcześniej Robert zadzwonił do mnie z zaproszeniem na wiosenne przeloty gęsi. Obserwował ich pozycję dzięki urządzeniom namierzającym i dość dokładnie mógł obliczyć, kiedy ta podniebna eskadra dotrze na Podlasie. Nigdy wcześniej nie byłem o tej porze roku w tym zakątku Polski. Nigdy nie widziałem też czarnych pól, na których siedzą tysiące gęsi. Okazja była więc przednia, a i przewodnik zacny, bo choć Robert zdjęć nie robił, to miał specjalną lunetę do obserwacji ptaków. Wypatrywał tych z oznaczeniami i później na specjalnej stronie w internecie zaznaczał ich obecność w danym miejscu. Robi tak sporo

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl bbea4abf0d

osób na trasie przelotu stad gęsi i to naukowcom dużo mówi o zwyczajach tych zwierząt, a także tempie ich przemieszczania.

Z każdą minutą wzrok coraz bardziej przyzwyczajał się do ciemności. Ona natomiast ustępowała miejsca porannym zorzom. Nie bez powodu pojawiliśmy się tam tak wcześnie. Pod osłoną nocy, bez niepokojenia gęsi, mogliśmy dotrzeć do kryjówki, którą Robert wypatrzył kilka dni wcześniej. Na szczycie niewielkiego pagórka stały wielkie bele słomy. Poniżej na polu przesiadywało ogromne stado gęsi. (…) Gdy siedziały w tym miejscu, nie było ich widać z asfaltowej drogi. (…) W gęsim stadzie panował ogromny ruch. Było głośno. Co rusz któryś z ptaków podrywał się do lotu. Inny właśnie lądował. A kolejne rozglądały się bacznie dookoła. My leżeliśmy dość daleko na ziemi przy belach i podziwialiśmy ich poranne zwyczaje. Niestety, tego dnia niebo było bezchmurne. Słońce szybko zalało całą dolinę Narwi i Robert zarządził odwrót. Wyprowadził nas z tego pola bez płoszenia gęsi, a kiedy dotarliśmy do auta, wyjaśnił, że droga, którą przyjechaliśmy, zaraz rozmarznie i stanie się błotnistą pułapką. Trzeba było uciekać.

Wiedział, co mówi. Poranny przymrozek trzymał błoto, ale tam, gdzie dotarło już słońce, opony wyrzucały w niebo całe fontanny. Ledwo udało się nam wydostać. (…) Gdybym miał wskazać tylko jedną porę roku, w której chciałbym do końca życia oglądać ten region, to byłoby to właśnie przedwiośnie. To czas, kiedy puszczają lody, znika śnieg, a starorzecza wypełniają się wodą. Dolny basen Biebrzy przypomina jezioro. Narew od Tykocina aż po Łomżę rozlewa się szeroko. Pod wodą skrywają się drogi, nikną ścieżki, a podstawowym obuwiem stają się kalosze. Albo wodery. A jeszcze lepiej spodniobuty.

Czas rozlewisk jest trudny do określenia. Wszystko zależy od tego, ile spadło śniegu zimą i jakie temperatury utrzymują się w marcu. (…)

Robert Jóźwiak, mój pierwszy osobisty przewodnik po podlaskich rozlewiskach, pokazał mi tamtego pamiętnego dnia sporo ciekawych miejsc. Celem naszego wyjazdu było głównie tropienie stad gęsi, ale przy okazji nie omijaliśmy różnych ciekawych zakątków.

To właśnie wtedy pierwszy raz znalazłem się przy zerwanym moście na Narwi w okolicach Kurowa. Legenda związana z tym miejscem pobudziła moją wyobraźnię. W czasie budowy na bagnach miał się pojawić diabeł, który za duszę pierwszej osoby, która przejdzie przez most, zaoferował pomoc w tym trudnym technicznie przedsięwzięciu. Rzeka w tym miejscu utworzyła szerokie mokradła. Most ukończono w 1903 r. Przebiegli budowniczowie jako pierwszego na most wpuścili ślepego konia. Klątwa, która miała ich spotkać za niedotrzymanie przysięgi, sprawiła, że most stał jedynie przez 11 lat, po czym wybuchła I wojna światowa i uległ zniszczeniu. Kiedy odbudowano go w 1928 r. i kolejny raz świat obiegła wieść o wojnie w 1939 r., na mieszkańców Kurowa i Kruszewa, które łączył most, padł blady strach. Do dnia dzisiejszego mostu nie odbudowano, ale ludowe przekazy co rusz wspominają o ludziach spotykających na bagnach tajemniczego jegomościa.

Zostawiając na boku legendy, pora wrócić nad rozlewiska. Przez wiele lat szukałem idealnego miejsca do zdjęć. Nie znalazłem jednego, ale trzy. Każde na inną porę dnia. O wschodzie słońca najładniej, moim zdaniem, jest w okolicach Giełczyna. Dojazd do celu jest prosty. Na końcu wsi znajduje się wał przeciwpowodziowy, którym należy przejść w okolice budynku przepompowni. Tam, kiedy stan wody na to pozwala, można wejść na teren rozlewisk i starorzeczy. Orientację w terenie ułatwiają drogi, które z wału schodzą na płaski teren sąsiadujący z rzeką. One wskazują miejsca, gdzie grunt pod stopami będzie w miarę twardy i raczej nie trafi się na jakiś głęboki dół. Przy normalnym stanie wody dno jest widoczne. Można chodzić tam w kaloszach sięgających do kolan. Ja, mimo że jest to mniej wygodne, o tej porze roku wybieram spodniobuty neoprenowe. Dzięki temu zyskuję wolność i mogę dotrzeć do najciekawszych miejsc. Poruszam się tam wyłącznie w kierunku wschodnim. Po przeciwnej stronie znajduje się już teren Biebrzańskiego Parku Narodowego, a tam, jak wiadomo, nie wolno poruszać się poza szlakami.

Co najbardziej podoba mi się w okolicach Giełczyna? Wyspy i drzewa! W tych starorzeczach rosną potężne okazy drzew, które w otoczeniu wody wyglądają zjawiskowo. Dodatkowo teren jest mocno pofałdowany, więc gdy nie ma wysokiego stanu wody, przypomina archipelag wysp i wysepek.

Czy chodzenie po rozlewiskach jest bezpieczne? Ani trochę! Trzeba uważać na różne niebezpieczeństwa skrywające się pod wodą. Po takim terenie trzeba nauczyć się chodzić. Kiedy wody jest mało, taka przeprawa przypomina chodzenie po ogromnych kałużach. Gorzej, jeśli stan wody jest wysoki. Wtedy robi się niebezpiecznie, bo koryto rzeki czy głęboka sadzawka stają się niewidoczne. Chodząc po rozlewiskach, stosuję zasadę ograniczonego zaufania do samego siebie. Idę tylko tam, gdzie widzę dno i gdzie czuję twardy grunt. Drogę przed sobą badam statywem. Obserwuję też ruch wody przed sobą. Z założenia w rozlewisku powinna wyglądać jak lustro i stać nieruchomo. Jeśli tak się nie dzieje, to jest to dla mnie znak ostrzegawczy. (…)

Kiedy stan wody na to pozwala, można wejść na teren rozlewisk i starorzeczy. Orientację ułatwiają drogi.

W okolicach Giełczyna w starorzeczach rosną potężne okazy drzew. Dodatkowo teren jest pofałdowany, więc gdy nie ma wysokiego stanu wody, przypomina archipelag.

eprasa.pl bbea4abf0d

Z Giełczyna przenoszę się do Bronowa. Tam dopiero jesienią widać strome brzegi rzeki. Pokazuje to, jak wysoko sięga woda w czasie rozlewisk. Jednocześnie zdradza, jak niebezpiecznie jest tam chodzić, gdy nie widać tego, co jest pod stopami. Koryto rzeki, kanał, staw… Znam ten teren i jeśli chodzi o okolice Bronowa i Grądów-Woniecko, to nie mam w sobie odwagi, żeby swobodnie wędrować tam wśród rozlewisk. Trzymam się suchego lądu. Obejrzałem ten teren dokładnie w innych porach roku i jest tam za dużo pułapek. No i ta rzeka. Ona stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo.

W Giełczynie Narew płynie daleko od wału. Pas starorzeczy jest szeroki. W Bronowie, schodząc z mostu, tak naprawdę staje się na skraju ogromnego jeziora. Narew nie płynie tam prosto jak strzała. Meandruje jak szalona! Pojawiam się tam zazwyczaj w środku dnia, żeby fotografować ptaki. Lubię też latać nad tym terenem dronem, bo w ten sposób nie ogranicza mnie obręb parku narodowego. Z perspektywy lotu ptaka rozlewiska w okolicach Bronowa czy Krzewa wyglądają po prostu bosko.

Gdy zbliża się zachód słońca, melduję się na szczycie skarpy w Górze Strękowej. (…) Stojąc na skarpie, spoglądam na starorzecza, po których wędruję o wschodzie słońca. W ten sposób zamykam moje koło podlaskich rozlewisk. Lubię Górę Strękową o zachodzie słońca, ponieważ o tej porze dnia można uchwycić tarczę pomarańczowego słońca, która chowa się dokładnie za widłami Narwi i Biebrzy. (…)

Rozlewiska są niebezpieczne! Odradzam chodzenie po terenie nieznanym i niepewnym. Czym innym jest przejście drogą z wielkimi kałużami czy spacer w wodzie po kostki, kiedy z dna wystają trawy. Jeśli jednak wszystko znika pod wodą, to dno może stanowić śmiertelne niebezpieczeństwo. Wiele razy, mimo że kusiło mnie bardzo, zrezygnowałem z wejścia w nieznany teren. Mam niby do tego odpowiedni sprzęt. Wysokie spodniobuty z neoprenu czy gumowe wodery. Cenię jednak życie ponad wszystko i dla kilku zdjęć nie mam zamiaru ryzykować. Jakie jest ryzyko? Ogromne! Wpadając w dziurę czy do koryta rzeki, tak naprawdę traci się możliwość wezwania pomocy, bo jak zadzwonić spod wody? Tylko raz w czasie fotografowania kaczeńców nieopodal Wizny potknąłem się w woderach i nabrałem do nich wody. Z wielkim trudem doszedłem do brzegu. Nie było tam głęboko, woda sięgała do połowy uda. Pochyliłem się do aparatu, żeby zrobić zdjęcie i straciłem równowagę. Mój strój nagle zaczął ważyć kilkanaście kilogramów. Nieprzyjemne zimno rozlało się po całym ciele.

Dlaczego więc piszę o rozlewiskach, skoro są takie niebezpieczne? Bo są również wyjątkowo piękne (…).

Czy chodzenie po rozlewiskach jest bezpieczne? Ani trochę! Trzeba uważać na niebezpieczeństwa skrywające się pod wodą.

Miejsc do podziwiania wiosennych rozlewisk Narwi i Biebrzy jest wiele. Niestety, w zdecydowanej większości obserwacje utrudnia płaski teren. Bez „wspomagania" – w postaci naturalnego pagórka, mostu, wieży widokowej, stromego brzegu czy drona – trudno jest dostrzec to piękno. Z miejsc, które znam nad Biebrzą, mogę wymienić: most w Dolistowie Starym, most w Goniądzu, wieżę widokową w Burzynie i wysoki brzeg w Sieburczynie. Nad Narwią polecam skit w Odrynkach, kładkę w Waniewie, most w Tykocinie i most w Strękowej Górze.

A gdzie te gęsi? (…) Najpiękniejsze w tym jest to, że nigdy nie wiadomo. Moje ulubione zdjęcia zrobiłem z głównej drogi wojewódzkiej nr 678 w pobliżu mostu na Narwi. Wschód słońca zaliczyłem w Waniewie i ruszyłem w stronę Białegostoku. Nagle na polach obok mostu zobaczyłem charakterystyczną czarną, poruszającą się masę. Z daleka siedzące stado gęsi można naprawdę pomylić z parującą ziemią. Zatrzymałem się na poboczu i złapałem aparat. Ptaki miałem w zasięgu teleobiektywu długiego na 400 mm, więc byłem dość daleko. Stałem przy drodze, dlatego nie wzbudzałem ich zainteresowania. Trwało to kilka minut, aż nagle z bocznej drogi na pole wjechał traktor. Tysiące gęsi poderwało się do lotu. Ja byłem gotowy! (…) Po dobrych trzech minutach po gęsiach nie było już śladu. Tego dnia jeździłem po różnych miejscówkach i choć z daleka widziałem niewielkie grupki ptaków, to na takie przedstawienie jak rano już nie trafiłem.

Innym razem jechałem z Goniądza do Wrocenia. W zupełnie nieoczekiwanym miejscu kątem oka dojrzałem siedzące na polu stado. Siedziały sobie, jak gdyby nigdy nic, za niewielkim pagórkiem. Wczołgałem się na niego i niezauważony przez patrolujących gęsich strażników miałem okazję z bliska obserwować odpoczywające ptaki. Na takie spotkania trzeba być zawsze przygotowanym.

Ale gdzie te gęsi? Unikam odpowiedzi na to pytanie, bo po prostu nie umiem wskazać jednego konkretnego miejsca. Mogę pisać jedynie o moich doświadczeniach. Te są takie, że gęsi spotykam na polach wzdłuż Biebrzy – najczęściej w okolicach Brzostowa, Wrocenia, Dolistowa Starego. Nad Narwią… jeśli napiszę, że wzdłuż całego biegu od Siemianówki do Drozdowa, to też nie będzie to kłamstwo.

Wyruszając na poszukiwania stad gęsi, trzeba wziąć po uwagę, czego te ptaki potrzebują. W czasie wiosennych przelotów zatrzymują się na Podlasiu, żeby odpocząć. Do odpoczynku potrzebują bezpiecznej przestrzeni. Najlepiej wielkiego pola. Lubią, kiedy to pole znajduje się blisko wody. Efekt – trzeba szukać przepastnych pól nad brzegami Biebrzy i Narwi. Na nic zdadzą się podróże wśród trzcinowisk czy bagien, gdzie gęsi pewnie są, ale cóż z tego, skoro nie sposób je zobaczyć.

Fragmenty książki Mikołaja Gospodarka *Jak poznać Podlasie?*, Paśny Buriat, Kielce 2024

eprasa.pl bbea4abf0d

Do lasu (odc. 4)

Wojciech Kuczok

Chyża Ala od zadręczyn

Wziął Eryś psinę na ręce i dał się polizać, a nagle Ala wybiegła przed dom, nawołując zwierzaka: – Bestyja! Bestyja, wracaj! On nie ugryzie…

Eryś oddał Bestyję, a jak już ją tak podał, to Ala zaprosiła go do środka, choćby i na kompocik, bo skoro tatko wyjechał, sama została na włościach i mogła sobie pozwolić na psikusy wszelakie. Wieś zamarła, bo kto na własne oczy podejrzał, że za Erysiem i Markówną wrota się zasunęły, ten już innym poszeptał, co to się porobiło.

Ala wróciła do wsi po latach nauk zagranicznych (co to za nauki, Podwójny trzymał w tajemnicy, widać nie było się pochwalić czym innym niż to, że zagraniczne) – wróciła, aby się wywyższać urodą i niedostępnością, wróciła na Tydzień Kultury Beskidzkiej, bo nawet jeśli nie wiadomo, czego tam się uczyła na akademiach, to tańczyć i śpiewać zawsze umiała. A jak już raz przywdziała strój ludowy, to paradowała w nim nieustannie, dziewczę malowane, karmiła się niemymi zachwytami chłopców i półgłośnymi przekleństwami innych dziewcząt, a że lato było skwarne, zdarzało się jej paradować w samym gieźle, i to w sam raz tak przydużym, żeby przy pochyleniach wszelkich pobudzać zmysły męskie.

– Uważajta, córa Podwójnego przyjechała na lato szczuć cycem! – niosły się przestrogi po dziedzinie, ale dla wielu brzmiały raczej jak zachęta; który by się tam nie dał zaszczuć.

Tymczasem Eryś u Ali zesztywniał, ale nie tak, jak mogłoby się zdawać wsi rozplotkowanej. Niby czuł się jak u siebie, bo w snycerce rozpoznawał rękę ojcowską, te same zdobienia ścian, drzwi i mebli, pośród których uczył się chodzić, póki nie wyszedł na ludzi – a jednak Eryś krępował się tym bardziej, im łacniej Ala się rozluźniała. Ona na niego popatrywała tak, jakby go sobie upatrzyła, jakby uwidziała w nim kogoś do hołubców, których na scenach ani parkietach nie zobaczysz. Dzikus inżynier, pomyślało jej się, tego jeszcze mi do tańca nie grali, a przy tym wygląda na nierozprawiczonego, i zagaiła niewyszukanie, lecz celnie: – Co taki przystojny mężczyzna robi całymi dniami sam w lesie?

I jak Eryś na uczelniach rozprawiać potrafił o drzewach, obficie zdawać sprawę z leśnogodzin, rozgadywać się choćby o korze samej tak, że na półroczny cykl wykładów by wystarczyło, tak teraz westchnął tylko, wzruszył ramionami i skłamał najkrócej, jak się dało: – E tam, nie ma o czym gadać.

Dziwił się Eryś nagłej swojej słabosze, bo choć zmężniał nieco na praktykach, z dwóch lewych rąk zrobiły mu się dwie prawe, robotny się stał, krzepki i ciężary słuszne podnieść by potrafił, ach, taką drobinę jak Ala uniósłby jedną ręką, tak tu nie miał siły, by wzrok na nią podnieść, w oczy jej spojrzeć. Wgapiał się w ojcowskie zdobienia nóg stołowych i myślał jedynie o tym, że kiedy kompot się skończy, to i kłopot się skończy. Dopije, podziękuje i pójdzie sobie. Do lasu, który zna i rozumie, gdzie bez wysiłku będzie mógł unieść spojrzenie ku koronom i przytulić się do gładkiej kory rozłożystego buka. Tego, który sobie upodobał najbardziej, z którym się witał za każdym powrotem z akademii i zwierzał mu się jak przyjacielowi najbliższemu.

– No, jakże to nie ma o czym, przecież Eryś wie o lesie wszystko.

– Tylko głupi gada wszystko, co wie. Mądry wie, co gada.

I duszkiem wychłeptał kompot, ogłaszając, że musi się zbierać. Tylko że Ala nie zaznała w swoim niedługim, a chyżym żywocie odmowy, wszelki opór rozpoznawała jako pozorny, dotknęła więc Erysia raz, a potem raz jeszcze, dokładnie tak, jak nauczyła się dotykać chłopców i mężczyzn, zanim każdego z nich dotknęła do żywego. Bo Ala wybierała sobie partnerów i trwała przy nich dopóty, dopóki nie leźli ku niej z kwiatami i pierścionkiem, wtedy odprawiała ich ostatecznie, by zamiast zaręczyn przeżywali zadręczyny. Taka już była Ala, ani dobra, ani zła, tylko swobodna, i tej swobody stracić na rzecz jednej pary cielęcych oczu nie miała zamiaru.

– Nie wstydź się – powiedziała. – Popatrz na mnie.

Pomogła mu się przemóc, oj pomogła, i oto Eryś w mig przestał się wstydzić, i już chciał do lasu, tylko nie sam, pokazać Ali wszystko naraz, nie wiedział nawet, od czego zacząć. Czy od świeżo pomierzonych daglezji nad Meszną, najwyższych drzew w całej Polsce, czy od buczyny tak splątanej w korzeniach, że przypominała kłębowisko ciał, czy od gęstej brzeziny nad osuwiskiem, w której o tej porze roku czerwieniły się koźlarze, czy od starego dębu, po którym się ześlizgnął piorun i zostawił mu pionową bliznę wzdłuż pnia na całej wysokości; wszędzie, wszędzie chciał Alę zabrać, dopóki mu nie powiedziała po raz drugi: – Potem mi opowiesz. Teraz chodź.

I pociągnęła go za sobą; Bestyja zapiszczała rozpaczliwie, bo jej nakazano pozostać za drzwiami. Eryś rozpoznał wzory na drewnianym oparciu łoża, przypomniał sobie, jak ojciec dłubał przed laty te dziewięćsiły w stolarni, pamiętał zapach tego drewna i błogo mu się zrobiło. Przeszłość i przyszłość nagle się połączyły w jedno – pod tą rozetą ojcowską był kiedyś pacholęciem i teraz właśnie pod nią miał się stać mężczyzną (cdn.). ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bbea4abf0d

Dziupla w drzewie to lokum dzięcioła.

PTAKODEWELOPERKA

Czyli gniazda w środowisku naturalnym

Marek Maruszczak

Wbrew tezom forsowanym przez zwolenników późnego kapitalizmu każdy powinien gdzieś mieszkać. W odróżnieniu od większości ludzi ptaki nie muszą jednak w tej kwestii polegać na kondycji branży budowlanej i łasce pańskiej, to znaczy programach rządowych. Ptaki same są całkiem sprawnymi konstruktorami.

Niektóre gniazda wyglądają jak świątynie boga śmierci, a inne to po prostu dziura w drzewie. Ptasie konstrukcje można podzielić na kilka sposobów, ale tutaj skupimy się na dwóch. Pierwszy to podział na gniazda ukryte, półukryte i odkryte, czyli to, w jakim stopniu gniazdo szpeci krajobraz.

• **Gniazda ukryte** – zaliczamy do nich konstrukcje schowane w głębokich dziuplach, norach i budkach lęgowych, które są niewidoczne z zewnątrz. Gdyby istniała jakaś ptasia ustawa krajobrazowa, to te gniazda by się w nią wpisywały. Żeby nie było za prosto, gniazda ukryte dzielą się dodatkowo na wysłane i niewysłane. W przypadku wysłanych na dnie gniazda znajdują się różne ptasie farfocle, jak patyki, kawałki roślin, mech lub resztki martwych ptaków, czyli pióra. W niewysłanych jajka leżą wprost na podłożu, czyli na przykład na próchnie pokrywającym dno dziupli, jak u dzięciołów. Zimorodki, podobnie jak mieszkańcy Trójmiasta, gniazdują nad wodą, w norach o szerokości ok. 8 cm. Nora składa się z korytarza długiego na ok. 60-70 cm, na którego końcu znajduje się komora lęgowa, a w niej samica i od sześciu do siedmiu jaj. W przypadku Gdańska w „apartamencie" zamiast samicy znajduje się warszawiak na Airbnb.

• **Gniazda półodkryte** – mieszczą się zwykle w dziuplach z dużym wejściem i zazwyczaj mają wyściółkę. Z takich miejscówek korzystają na przykład kopciuszek i rudzik. Gniazdo rudzika nie jest łatwe do zlokalizowania. Cwaniak chowa je między korzeniami drzew, w dziuplach, w dziurze w ścianie, na gzymsach, w połamanych drzewach i innych równie uroczych lokalizacjach. Gniazdo zbudowane jest z gnijących liści i mchu, tak jak połowa nowych budynków wielorodzinnych w naszym kraju.

• **Gniazda odkryte** mogą być zamknięte jak u świstunek, strzyżyka, piecuszka czy pierwiosnka lub otwarte jak u sroki bądź skowronka. Zamknięte to różne wariacje na temat kulistych kształtów z bocznym wejściem. Wyobraźcie sobie kokon, tylko znacznie większy. W dodatku siedzą w nim ptaki. Fuj.

W Polsce większość ptaków buduje jednak otwarte gniazda w kształcie czarek, czyli takie, jakie uczyliśmy

eprasa.pl bbea4abf0d

Ukryte w trawie gniazdo słowika.

Zimorodki gniazdują w norach.

się rysować w przedszkolu. Skowronek to całkiem cwany gość. Swoje gniazdo buduje wprost na ziemi. Zwykle pośród niezbyt wysokiej roślinności i w płytkim zagłębieniu terenu. Wyściela je trawą i końskim włosiem, więc od początku niezbyt łatwo je wypatrzeć.

W dodatku kiedy wraca do domu, to często nie ląduje przy samym gnieździe, tylko kawałek obok, a resztę odległości zasuwa na piechotę. Robi tak oczywiście po to, żeby zmylić potencjalnych skowronkożerców.

W Polsce większość ptaków buduje otwarte gniazda w kształcie czarek.

Wygląd gniazda wpływa nie tylko na stan okolicy. Rodzaj gniazda predefiniuje również często to, jak wyglądają składane w nim jajka. Przykładowo w gniazdach ukrytych jajka często są jednolitego koloru albo wręcz białe. W przypadku gniazd odkrytych znacznie częściej pokrywa je naturalny kamuflaż, czyli różne plamki, ciapki i inne ptasie moro. Dzięki temu wszystko to, co chce zeżreć ptakom potomstwo w stanie jajkowym, ma utrudnioną robotę. Nie tak łatwo jest bowiem dostrzec łaciate jajko na tle gniazda upstrzonego substancjami, których natury lepiej nie zgłębiać.

„No dobra, ale co z kurami?". Bardzo dobre pytanie. Nie mam pojęcia, więc się wypowiem.

Sądzę, że kury na drodze ewolucji całkowicie dały za wygraną i uznały, że skoro ktoś większy od nich i tak codziennie przychodzi porywać ich nienarodzone pisklęta, to trudno. Widocznie tak musi być. To ten sam przypadek co z polskim systemem oświaty.

Ptaki przyjmują różne strategie obronne. Niektóre maskują swoje gniazda przy pomocy trawy, mchu i innych chabazi, jak perkozy i niektóre siewkowate. Inne, na przykład lelki, jarząbki czy słonki, mają ubarwienie kryptyczne i same robią za maskowanie. Samice siedzą wtedy nieruchomo na jajkach, aż wróg (czyli również człowiek) pójdzie sobie w cholerę, czyli choćby do Krakowa. Bywają też ptaki, które aktywnie atakują przeciwnika, nawet jeżeli jest znacznie większy od nich. Kwiczoły atakują wrony, myszołowy próbują walki z puchaczem, a sowy potrafią z powodzeniem odganiać nawet lisy i kuny. Ludziom trzeba jednak zwykle wszystko dwa razy tłumaczyć.

Ptaki może i są pozbawionymi sumienia, krwiożerczymi i hałaśliwymi spadkobiercami dinozaurów, ale kto z nas jest doskonały? Dlatego warto zrozumieć aluzję i dwa razy pomyśleć, zanim podejdzie się do ptasiego gniazda lub, nie daj borze szumiący, wsadzi do niego paluchy.

Wiele ptaków, kiedy nie uda im się odgonić przeciwnika, po prostu porzuca gniazdo wraz z jajkami i szuka innego miejsca, wolnego od jajkomacaczy. Jeżeli więc nie jesteście wyjątkowymi dupkami i nie chcecie mieć na sumieniu ptasich sierotek, to lepiej podziwiajcie gniazda przez lornetkę. Nie mówię już nawet, żebyście zostali w domu i zrobili coś pożytecznego, bo skoro doczytaliście do tego miejsca, to, jak mawiała moja pani od matematyki, sprawdzając nasze klasówki: wszelka nadzieja jest już stracona.

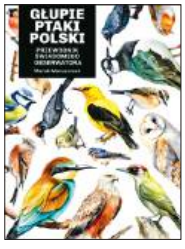

Fragmenty książki Marka Maruszczaka *Głupie ptaki Polski. Przewodnik świadomego obserwatora*, Znak Koncept, Kraków 2024

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl bbea4abf0d

JOLKA

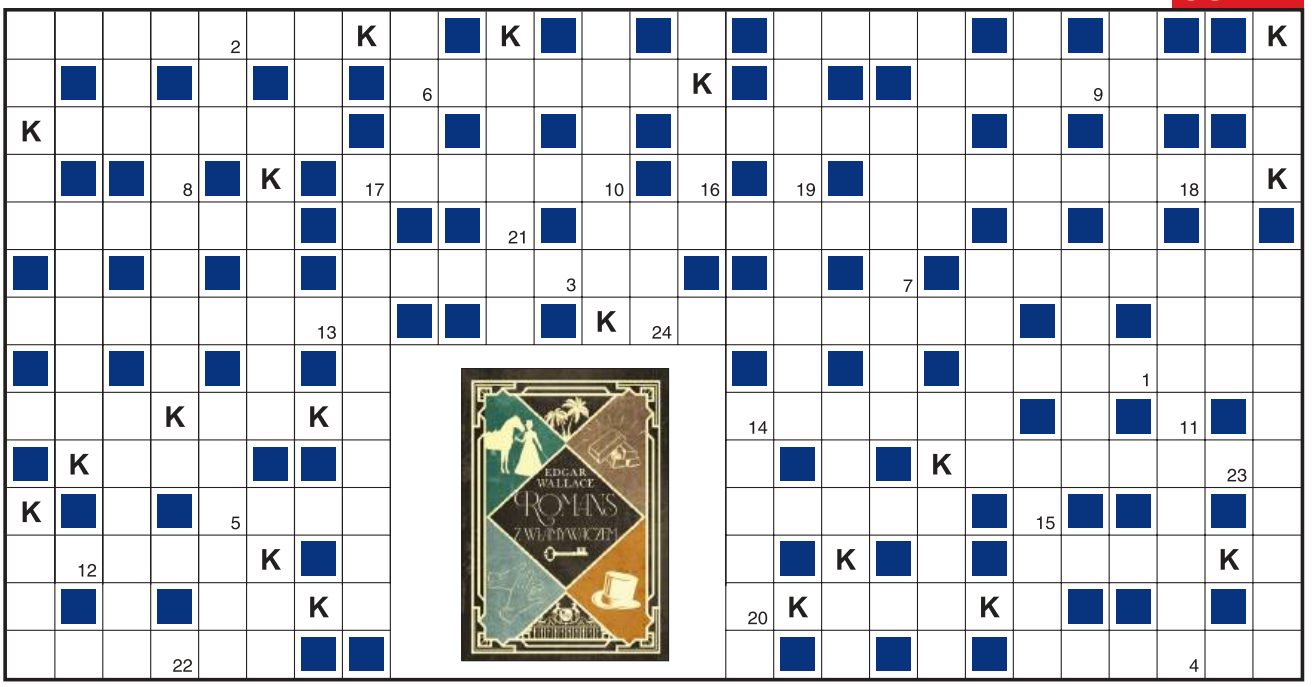

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- pięknis lub miłek wiosenny
- pani Asa
- rozpylacz, końcówka rozpryskująca
- mniejszy od tarasu
- farbowanie przędzy, tkaniny
- płaksa, mazgaj
- spodnie z mocno obniżoną talią
- przetacza mu się krew, wszczepia narząd
- pluje sobie w nią, kto pokpił sprawę
- eliminujący boksera to nokaut
- Samuela Łaszcza podbita wyrokami
- zespół punkrockowy Matery i Grabowskiego
- pochlebca przy władcy
- Mróz lub do orzechów
- autorytet, specjalista
- określenie rzeczownika
- i karetka, i nalepka na polecony
- najważniejsza treść, istota rzeczy
- krótka pelerynka z futra
- imię lekkoatletki Swobody
- do mapy ucznia wezwie
- Sodoma i…
- Kunicka lub Frąckowiak
- Szerpowie pomagają mu w wyprawie
- wigor, temperament
- Gmin lub Lordów
- jednej kropli z kranu, z nosa
- awans za awansem
- gra na nim David Krakauer
- mgławica w gwiazdozbiorze Byka
- „Poszłabym ja na… świata”
- drugiemu oka nie wykole
- majątek zdobyty harówką
- igrzysk w Paryżu – Frygijka
- gubi igły na zimę
- środek przeciwmolowy
- Schumannowska miniatura o swobodnej formie
- uroczysty utwór poetycki
- chrzestny lub Mateusz w tytule
- najsłabsze bierki w szachach
- grządka z różami
- stryj Gustawa w „Ślubach panieńskich”
- płynie przez Bonn i Kolonię
- główne miasto ROW
- podnosowa nad górną wargą
- grudka złota
- scenka kabaretowa
- pluskwiaki równoskrzydłe lub gra zręcznościowa
- na medal dla drugiego
- kobieta z rybim ogonem
- potrawa z surowego mięsa
- w 1844 r. powstanie śląskich
- święty od pląsawicy
- wyciąg z dokumentu
- przesąd
- magazyn, składnica
- najprostszy słoneczny to gnomon
- impreza dla harcerzy lub harleyowców
- naklejany na list
- fordanser, utrzymanek

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1179”. Do rozlosowania książki „Romans z włamywaczem” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 28 lipca 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1176” z nr. 27: *Dostatek młodego nie naprawi.* Nagrody otrzymują: Radosław Korzeniowski ze Strzelec Krajeńskich, Józef Maskiewicz z Rybnika, Andrzej Sokolnicki z Głogowa.

eprasa.pl bbea4abf0d

Luksemburg. Jak to pięknie brzmi!

W sprawie ambasadorów Andrzej Duda wybrał strajk. Polega on na tym, że prezydent nie podpisuje ambasadorskich nominacji. Żadnych.

Do tej pory można było się spodziewać, że nie podpisze nominacji osobom z politycznego nadania, takim jak Bogdan Klich czy Jan Vincent-Rostowski. Zresztą to zapowiadał, to można zrozumieć. Ale on nie podpisuje nikomu! Nawet zawodowym dyplomatom, którym – gdy wyjeżdżali na placówki w czasach PiS – nominacje podpisywał. A teraz nie chce. Wtedy byli dobrzy, teraz są źli?

Prezydent w jednej z wypowiedzi tłumaczył, że będzie tak robił, żeby wymusić na ekipie rządzącej szacunek dla swojej osoby. Cóż, nie w ten sposób szacunek się zdobywa…

Tak czy inaczej, Radosław Sikorski przestał już wierzyć, że uda mu się osiągnąć z Andrzejem Dudą jakieś porozumienie. Jak mówił, zawierali takie porozumienia już dwukrotnie i za każdym razem prezydent z nich się wycofywał. Minister zdecydował więc, że na prezydenta nie ma co się oglądać, że trzeba robić swoje. I jest w tym jakaś logika.

Zwłaszcza że ambasady RP wymagają roszad kadrowych – niektóre od miesięcy czekają na ambasadora, w innych zmiany powinny zostać przeprowadzone dwa-trzy lata temu. Ale PiS nie miało do tego głowy.

Taką placówką, gdzie można było przyjemnie pracować, a która nie rzucała się w oczy, był Luksemburg. Ambasadorem, od roku 2017 (sic!), jest tu Piotr Wojtczak. To trzeci ambasador RP w Luksemburgu – ambasadę w Wielkim Księstwie powołano w roku 2005, a pierwszą jej szefową, do 2010 r., była Barbara Labuda. W 2011 r. zastąpił ją Bartosz Jałowiecki. A potem szczęśliwym ambasadorem został Wojtczak. Szczęśliwym – bo co robić w Luksemburgu? Kraj niewielki, więc i placówka niewielka. Ambasador, konsul i kierowca. Tak było na początku. Ale…

Wojtczak to były dyrektor generalny służby zagranicznej, w swojej karierze był też m.in. zastępcą ambasadora RP w Belgii, jako chargé d'affaires kierował ambasadą przy Unii Europejskiej w Brukseli, był również dyrektorem protokołu dyplomatycznego, więc zna dobrze MSZ i działające tu mechanizmy.

Może dlatego, gdy wyjeżdżał do Luksemburga, ambasada otrzymała jeszcze jeden etat, radcy ds. ekonomiczno-politycznych, który objęła jego żona. No i udało im się spędzić siedem lat w miłym miejscu.

Ale teraz przychodzi czas zmiany. Na miejsce Wojtczaka do Luksemburga pojechać ma Rafał Hykawy. Nikt nie wątpi – taki wyjazd to dla Hykawego zadośćuczynienie. Ma on dwie specjalności – zajmował się sprawami Unii Europejskiej, a za pierwszego rządu Donalda Tuska był dyrektorem Sekretariatu Prezesa Rady Ministrów. Czyli należał do grona najbardziej zaufanych. Ale przyszło PiS i Hykawy został zepchnięty do roli szeregowego urzędnika. Wyrzucić go z kancelarii premiera PiS nie mogło, więc przez osiem lat trzymano go w bocznym pokoiku, gdzie wegetował.

15 października słonko zaświeciło. Tusk wrócił do KPRM, a Hykawy został jednym z trzech zastępców dyrektora Biura Prezesa Rady Ministrów. Na razie stanowisko dyrektora jest nieobsadzone, czeka na Pawła Grasia…

Pewnie zatem Grasiowi Hykawy zawdzięcza, że te osiem lat trwania będzie mu wynagrodzone i pojedzie do Luksemburga na miejsce, które tak pięknie ugrzali państwo Wojtczakowie.

I nawet prezydent Duda w tym nie przeszkodzi.

Attaché

Krokodyl zaatakował pijące wodę impale. Park Narodowy Krugera w Południowej Afryce.

FOT. SOLENT NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl bbea4abf0d

PENETRACJE

Press

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Dominika Wielowieyska w tekście o podejściu Donalda Tuska do kwestii nielegalnej migracji przez granicę z Białorusią podsumowała tak: „Wie, że większość Polaków jest za zdecydowanymi działaniami na granicy, a tylko niewielka grupa, tyle że znacząca i słyszalna w mediach, ma odmienne zdanie". Ta niewielka, ale znacząca i słyszalna w mediach grupka ma też odmienne zdanie w kwestiach dotyczących aborcji, wyrównywania praw małżeństw jednopłciowych, a ostatnio w sprawie prawa autorskiego, które rząd próbuje uchwalić w wersji przychylnej amerykańskim big techom, a wbrew polskim twórcom. Nasz głos się nie liczy. Nic dziwnego – nasze bezwartościowe diagnozy polityczne dały władzy prawo myśleć, że w innych kwestiach też się mylimy i nie opłaca się nas słuchać. Czas to zmienić.

DUŻY FORMAT

PIOTR HOFMAŃSKI,
PREZES MIĘDZYNARODOWEGO TRYBUNAŁU KARNEGO W HADZE

A jak Stany Zjednoczone uzasadniają to, że ich w tym wszystkim nie ma?

– Generalnie, że to jest kwestia suwerenności państwa. Zgoda na to, że np. państwo polskie jest członkiem tego systemu, w gruncie rzeczy oznacza scedowanie części suwerenności. Ponieważ godzimy się na to, że również nasi obywatele, w określonej sytuacji, będą mogli być pociągnięci do odpowiedzialności przez inny sąd niż nasz krajowy. Amerykanie po prostu wychodzą z założenia, że ich system wymiaru sprawiedliwości jest na tyle efektywny, a oni jako państwo na tyle silni, że sami sobie poradzą. Nie mają racji. Dlatego że to nie tylko o to chodzi, czy ich system jest efektywny. Czy rzeczywiście ich potencjalni sprawcy powinni, czy nie, odpowiadać przed sądem międzynarodowym. Ale także o to, że deklaracja uczestnictwa w tego rodzaju systemie to jest wyraźny znak, że nam prawo międzynarodowe jest drogie. Że szanujemy ogólne wartości. Współpracujemy. Chcemy być lojalnym członkiem społeczności międzynarodowej.

PANI

MAGDA UMER,
PIOSENKARKA, POETKA, MISTRZYNI

Jeśli czegoś żałuję, to tego, że mam tak chore oczy. Jestem po dwóch operacjach, czytanie mnie męczy. Powstaje tyle nowych, wspaniałych książek, a ja po półgodzinie czytania jestem wyczerpana. Ratuję się oczywiście audiobookami – ostatnio słuchałam Marysi Peszek czytającej „Chłopki" i byłam zachwycona – ale wciąż kupuję papierowe książki, które leżą wokół mnie takie bezradne. Nadal są to moje ukochane przedmioty. Teraz pracuję nad spektaklem, o który prosiła mnie Grażyna Barszczewska, zaprzyjaźniona z panem Wiesławem Myśliwskim. Chce zrobić listy Marii z „Ostatniego rozdania". A ponieważ jest to moja ukochana książka tego pisarza, zgodziłam się.

Twój STYL

ANDRZEJ SEWERYN,
AKTOR, REŻYSER, DYREKTOR TEATRU POLSKIEGO

Nienasycony – czy to słowo do pana pasuje?

– O tak, jest we mnie nienasycenie i ciągła gotowość na nowe. Z tego wiele może się urodzić. Występowałem w Klubie Komediowym, w piwnicy na MDM-ie. To teatr improwizacji komediowej. Tam poznałem Macieja Buchwalda, reżysera „1670". Potem zaprosiłem jego ekipę do naszego teatru. Udział w „Uchu prezesa" też pewnie nie był dla mnie typowy. Ale mam na takie doświadczenia apetyt. Na role, które dają masę możliwości. Weźmy przedstawienie „Pożar w burdelu"… Grałem Świętego Walentego, marszałka Struzika, Don Juana, w końcu samego siebie. Jaka to szansa poczucia artystycznej swobody! Jako aktor mogę zrywać się z uwięzi, lubię to.

FOT. FACEBOOK, KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA, POLSKA ORKA POLITYCZNA, MINISTERSTWO IRONII, SARKAZMU I CIĘTEJ RIPOSTY

eprasa.pl bbea4abf0d

UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów.
Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.

		L			

* w kieszeni przekornego

					T

* składany przewożonemu

					D		

* czarodziejska czapla

ROZWIĄZANIA: POLISA, RAPORT, NIEWIDKA

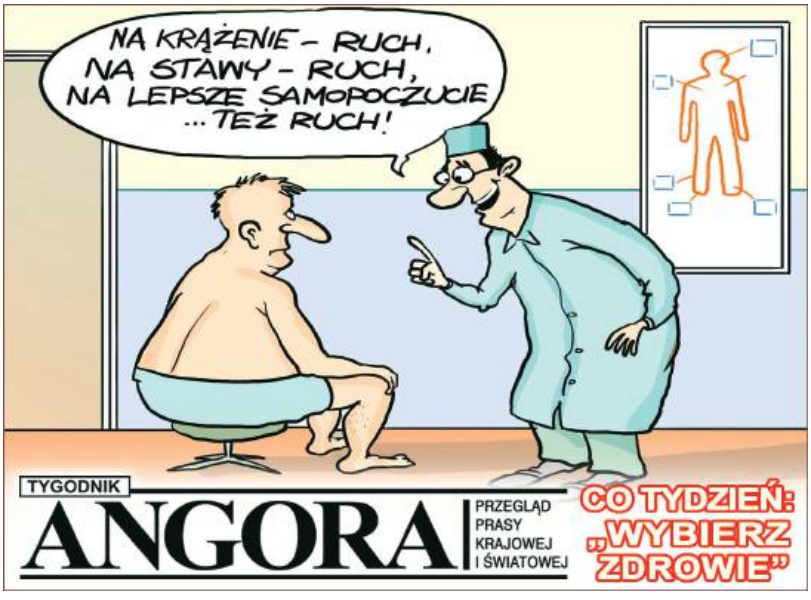

Aby język giętki…

MAREK SERAFIN
O CENTRALNYM PORCIE KOMUNIKACYJNYM
Decyzja o kontynuowaniu tej gigantycznej inwestycji jest klęską rozumu i triumfem propagandy.

RAFAŁ TRZASKOWSKI O ANDRZEJU DUDZIE
Od razu porzucił ideę pozostania prezydentem wszystkich Polaków. Każdy prezydent przed nim przynajmniej próbował.

BARBARA NOWAK
DO RYSZARDA TERLECKIEGO
Kocham cię, i to jest jedyne, co chciałabym, aby głośno i wszędzie było słychać.

PROF. MONIKA PŁATEK O CÓRKACH
Córkom zawdzięczam praktyczną wiedzę o pozytywnych skutkach marihuany.

BARTEK CHACIŃSKI
O GRZEGORZU HAJDAROWICZU
Przedsiębiorca z Krakowa odkupił „Przekrój” i przeniósł nas do pomieszczeń o czterokrotnie mniejszej kubaturze. Dostaliśmy małe biureczka i niewygodne krzesełka.

FILIP CHAJZER O RAJU
Mama mówi: „Musisz sobie stworzyć raj, tu, na ziemi”. Mama raj ma. Ja swojego jeszcze nie. To jest ciągłe poszukiwanie.

OLA ŻEBROWSKA O KARMIENIU DZIECI
Kobiety karmią publicznie, bo muszą, nie dlatego, że chcą się pokazywać.

MICHAŁ CZERNECKI O INSTRUKCJACH
Idąc na wywiad do jakiegoś programu, dostaje się listę słów lub rzeczy, o których nie powinno się mówić.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji: Małgorzata Fiejdasz-Kaczyńska, Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl bbea4abf0d

Laurent Proux, I'd put you in a mirror

Ecaterina Vrana, Chicken Army

Zjednoczeni w Sztuce United in Art

W przestrzeni radomskiej Elektrowni pokazane zostały różne aspekty postaw twórczych 13 artystów z 12 europejskich krajów: Austrii, Bułgarii, Czech, Francji, Hiszpanii, Irlandii, Litwy, Niemiec, Polski, Rumunii, Słowenii i Szwecji. To symboliczne spotkanie wielu kultur, „łączenie się poprzez sztukę". Sztuka bowiem jest potężnym narzędziem promowania wartości, które jednoczą ludzi ponad granicami i tradycjami. Każde prezentowane tutaj dzieło jest wyrazem nie tylko talentu i wizji artystów, ale także ich zaangażowania w budowę świata opartego na wspólnych zasadach i ideałach.

Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej Elektrownia Radom,
ul. Mikołaja Kopernika 1
do 1 września

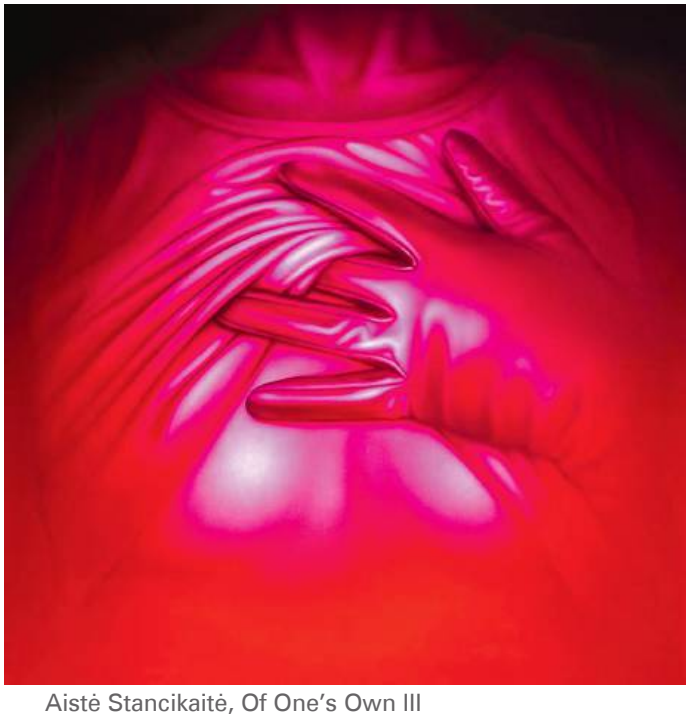

Aistė Stancikaitė, Of One's Own III

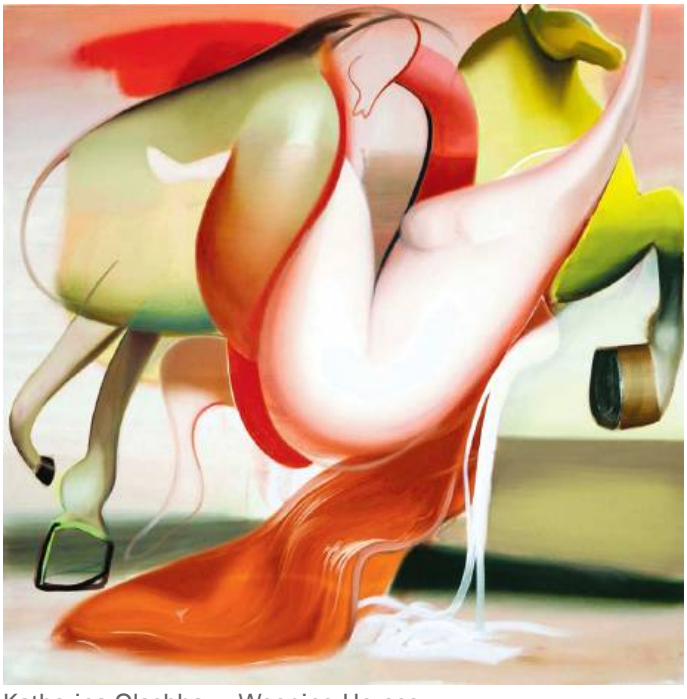

Katherina Olschbaur, Weeping Horses

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl bbea4abf0d

Program

9 sierpnia (piątek)

13:00 Jazz na statku ILAVIA
14:30 Start: przystań przy Galerii Jeziorak
Wstęp biletowany według cennika rejsów
Liczba miejsc ograniczona

20:00 Uroczyste otwarcie festiwalu

20:15 Lindy Hop Jazz Battle vol. 4

21:30 Leszek Możdżer

22:45 Olivier Franc Quintet

prowadzenie Paweł Sztompke
miejsce Amfiteatr Miejski im. Louisa Armstronga

cena biletu normalny 110 PLN, ulgowy 90 PLN*
karnet dwudniowy normalny 170 PLN, ulgowy 130 PLN*
ważne: do ceny biletu zostanie doliczona opłata serwisowa według regulaminu biletierii

00:00 Bal Jazzowy
Natalia Świerczyńska Quintet

miejsce Park Miejski, wstęp wolny

10 sierpnia (sobota)

Koncert Galowy

20:00 Ilava All Stars Big Band

21:15 Urszula Dudziak, Grażyna Auguścik
„To i hola"

22:30 „100 lat jazzu w światowym kinie"
feat. Mietek Szcześniak, Nanna Carling, Natalia Świerczyńska, Natalia Muianga, Tamara Behler, Martin Fitch

prowadzenie Paweł Sztompke
miejsce Amfiteatr Miejski im. Louisa Armstronga

cena biletu normalny 110 PLN, ulgowy 90 PLN*
karnet dwudniowy normalny 170 PLN, ulgowy 130 PLN*
ważne: do ceny biletu zostanie doliczona opłata serwisowa według regulaminu biletierii

11 sierpnia (niedziela)

14:00 Msza Jazzowa
Sisters in Jazz

miejsce Amfiteatr Miejski im. Louisa Armstronga, wstęp wolny

53.

Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego

Iława
9–11 sierpnia 2024 r.
Amfiteatr im. Louisa Armstronga

Złota Tarka

OLD JAZZ meeting

edycja Festiwalu 30. w Iławie

*** Uprawnieni do biletu/karnetu ulgowego:**

- **osoby z umiarkowanym i znacznym stopniem niepełnosprawności** (po okazaniu odpowiedniej legitymacji; opiekun wchodzi za darmo)
- **emeryci, renciści** (po okazaniu legitymacji emeryta/rencisty)
- **dzieci w wieku 6–12 lat** (dzieci do 5. roku życia wchodzą za darmo)

Bilety są dostępne na Goingapp.pl oraz w Empiku

Współfinansowane ze środków Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

PATRONAT HONOROWY

Marszałek Województwa Warmińsko-Mazurskiego
Marcin Kuchciński

organizatorzy

partnerzy

sponsorzy

media

eprasa.pl bbea4abf0d

TEATR CAPITOL

NAJLEPSZE KOMEDIE • PIKANTNE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY

ŁÓŻKO PEŁNE CUDZOZIEMCÓW

AUTOR DAVE FREEMAN

REŻYSERIA JERZY BOŃCZAK

PRZEKŁAD ELŻBIETA WOŹNIAK

• KUP BILET • www.teatrcapitol.pl •

Wakacyjne terminy spektaklu:
4, 9, 10, 28 i 30 sierpnia

CAPITALNE LATO!

GRAMY CAŁE WAKACJE

• klimatyzowane sale •
• orzeźwiające koktajle •
• niezapomniane wrażenia •

JEDZENIE I SZTUKA FOKSAL 11

UWAGA, SPRAWDŹ NASZĄ RESTAURACJĘ!

Patroni Medialni: RMF MAXX, onet, Rzeczpospolita, TeleTydzień, Kobiety, ams, Familie.pl, Przegląd

Partnerzy Teatru: Gatta, O bag, kicket, Aktywna Warszawa, Strefa Music, mzo

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl bbea4abf0d